

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIX.

ROK V.

TOM III — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1880.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Czerwca r. 1880.

ATENEUM.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIX.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1880.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Августа 1880 года.

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

2. LITERATURA.

3. NAUKI SPOŁECZNE.

Str.

4, BELLETRYSTYKA.

5. FILOZOFIJA.

6. PODRÓŻE I OPISY.

7. ŻYCIORYSY.

8. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

9. KRONIKI.

SYLWEK CMENTARNIK.

I.

Dzień jesienny miał się ku końcowi. Pomiędzy niebem a rozłogami brunatnych pól, wisiała mgła drobnego deszczu. W mgle téj toczyły się turkoty i gwarzyły szepty wiatrów a u spodu jéj fale wielkiéj rzeki biły się z pluskiem o wysokie brzegi.

Gdyby ktokolwiek, zawieszony na jednéj z chmur, ciężko wlokących się pod brudno-białém niebem, spojrzał z góry na pas przestrzeni, równoległy do jednego z brzegów rzeki, ujrzałby trzy punkty różnych wielce rozmiarów, lecz na jednéj linii i w niewielkiéj od siebie odległości zostające. Piérwszym i największym z punktów tych było miasto, zajmujące sobą wielkie koło gruntu i wybiegające po za to koło kilkunastu prostemi i krętemi odroślami. Odrośle te wyglądały jak ramiona, wyciągane przez olbrzyma ku przestrzeni, po łup albo ratunek. Ujęte w gęstszą niż gdzieindziéj mgłę deszczu i wyziewów niby w banię z brudnego szkła, miasto owo wydzierać się zdawało w górę wieżami swych kościołów a żalić się przed samotnością pól lub z niéj naigrawać się mruganiem i blaskiem gęsto po ciemném tle rozsianych ogników. Z szerokiego koła tego, od wywijających się zeń ramion, od mrugających świateł, nad strzeliste wieże, nad obejmującą to wszystko brudno-szklanną banię, wzbijały się głuche, chaotyczne gwary, w których gdyby przez długą chwilę zatopiło się baczne ucho, usłyszałoby turkoty kół, dźwięki muzyki, szczekania psów, uderzenia dzwonków, rubaszne śmiechy, urwane wołania, wrzaski, szepty, szmery mnóstwa śpieszących kroków, cały słowem wiecznobrzmiący akord zbiorowego ludzkiego żywota. Gwary te buchały w niebo gorączką, lecz spodem ich wiała nieznurtowana melancholia ludzkich przeznaczeń.

Drugim punktem był cmentarz, szeroko na wysokim a spadzistym brzegu rzeki rozłożony, podobny w zmroku do gaju napełnionego tłumem postaci nieruchomych, niewyraźnych, szarych, albo śnieżnie białych. I tu także, ciszy zupełnéj nie było. Nie przerywały jéj wprawdzie szepty wiatru w drzewach i pluski deszczu bijącego o grobowce, były to bowiem składowe jakby jéj części; lecz mącił ją gwar złożony z kilku głosów ludzkich i donośnego choć ochrypłego nieco śpiewu, napełniający dom cmentarnego stróża. Dom ten, przyrosły jakby do murowanego ogrodzenia cmentarza, był raczéj murowaną chatą niż domem. Niski, zżółkły od wilgoci i zaniedbania, z zapadłym dachem, posiadał on jedne drzwi i trzy okna. W dwu oknach gorzało jaskrawe światło rozpalonych łuczyw, u jednego z nich stała wązka ławka wilgocią przesiąkła. Rozmowy i śpiewy napełniające cmentarną chatę leciały z jednéj strony na groby, z drugiéj— na błotniste i suchemi badylami sterczące grunta.

Punktem trzecim, o kilka stai od cmentarza oddalonym, lecz coraz ku niemu zbliżającym się, była kobiéta, powoli bardzo i z ciężkością widoczną postępująca nad stromym brzegiem rzeki. Zkąd szła? Od dalekich jakichś krańców brunatnych pól tych, które słały się aż pod stopy niedojrzanych prawie lasów, czarną nicią odznaczających skłon nieba. Z najdalszéj głębi téj deszczowéj mgły, która od krańca do krańca napełniała widnokrąg. Od punktu jakiegoś niewiadomego z którego wyrywały się wiatry te, które uderzając w jéj plecy zdawały się wypędzać ją zkądciś, kędyś ją gnać, za coś ją karcić. Szła sama, zupełnie. Ani przed nią, ani za nią nie widać było żadnéj żywéj duszy ludzkiéj. Chwilami, wiatr miotał połami jéj odzienia, a gdy uciszyło się w powietrzu, stawała przy drzewie albo krzaku przydrożnym, dla odpoczynku zapewne. Doszedłszy do cmentarza, powoli i nieśmiało zbliżyła się ku domowi stróża i usiadła na ławie pod ścianą jego stojącéj. Czerwona smuga światła ukośnie spływała na nią z okna. Odzież okrywająca ją nie była bardzo ubogą, lecz na wskróś przejętą deszczem i gęsto oblepioną błotem, po drodze zebraném. Na głowie i ramionach miała wielką czarną chustkę, która i twarz jéj także zakrywała do połowy, tak że w migotliwém i skąpém oświetleniu ukazywało się tylko głęboko śniade czoło jéj, włosami kruczéj czarności bezładnie zarzucone i pod czołem tém gorejące wielkie czarne oczy. W ramionach trzymała a siadając na kolanach swych złożyła duże jakieś zawinięcie, kawałem baraniego kożucha okręcone.

Przez okna wylatywały wciąż urywki rozmów i śpiewów. Głos jakiś męzki, lecz cienki i ochrypły śpiewał.

— Od Boga zesłana
Śmierci ty kochana,
Stań się twoje żniwo
Będzie mnie na piwo!

Sposób odśpiewania cynicznéj strofki téj tém się odznaczał, że dwa piérwsze jéj wiersze brzmiały skocznemi taktami krakowiaka a dwa ostatnie powlekły się przeciągłą i żałośliwą nutą, przypominającą pieśni kościelne, znane pod nazwą Gorzkich żalów.

W odpowiedzi, odezwał się głos kobiécy krzykliwy i rozjątrzony.

— Piwo! piwo! jemu tylko piwo w głowie! weselenie się! radowanie się! chichotanie! śpiewanie! Będziesz ty miał na piwo jak cię ks. dziekan od *mogiłek* odpędzi! Kijem cię wtedy pod kościół pognam! Lokajem za młodu byłeś, kościelnym dziadem umrzesz!

— A no! ozwał się głos, który przed chwilą śpiewał piosnkę do śmierci; gdzie umrzéć to umrzéć, byle wesoło przeżyć! czy na schodach kościelnych, czy w złocistych pałacach, śmierć znajdzie się i chwyci! Ja stróż cmentarny, tamten pan wielki; ja człek prosty i tylko marnych prochów ludzkich pilnować umiém, tamten uczonym jest i gwiazdy na niebie liczy, a wszyscyśmy równi w obec Ojca naszego Wszechmogącego, który pochwalonym niech będzie na wieki wieków, Amen!

— Amen, z wyraźném przejęciem się powtórzyło chórem kilka głosów a wnet potém dał się słyszéć wykrzyk cienkiego i chrapliwego męzkiego głosu.

— Nastasiu! kiełbasy kawałeczek daj! no, daj kiełbasy! na zakąskę po piwie! kiedy poczęstunek to już niech będzie poczęstunek! kiedy bal to bal!

— Nie trzeba, nie trzeba! niech pani Łukaszowa nie fatyguje się! ozwali się goście a jeden z nich ciągnął.

— My tak sobie, na gawędkę tu przychodzim i dla okazania grzeczności naszéj. Pana Łukasza słuchać lubo! jakby z książki nabożnéj czytał!

Gospodyni, udobruchanym nieco, lecz zawsze grubym i popędliwym głosem, z kąta izby, w którym szukała może żądanéj kiełbasy, odrzekła.

— Ja tam poczciwym ludziom co nam grzeczność okazują nie żałuję niczego. Kiedy jest to niech sobie będzie. Już *on* mnie do tego przyzwyczaił. Tylko strach pomyśléć, ot, o starości! człek goły jakby tylko co się urodził! *On* co zarobi to przepije i przeweseli a potém co? żebrać przyjdzie?

Im więcéj mówiła tém więcéj w głosie jéj brzmiało rozjątrzenie zmięszane z płaczliwością. Gliniane naczynie jakieś, misa czy talerz, stuknęło o stół, na który stawiła go popędliwa snać ręka, a cienki głos męzki przewlekle mówić zaczął.

— To nasze co dziś, Nastasiu, to nasze co dziś! Czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka! Człowiecze z matki śmiertelnéj zrodzony nie wiesz dnia ani godziny swojéj. Dziś jesteś, jutro cię nie będzie. W zimną ziemię cię włożą, piaskiem oczy zasypią i czego nie widziałeś to już i nie zobaczysz, a czego nie zjadłeś to już i nie zjesz, a czego nie uradowałeś się to już nie uradujesz się... Do królestwa niebieskiego droga daleka i przez czyściec wiodąca.

I wnet potém ozwała się znowu piskliwa i chrapliwa śpiewka:

— Oj głębokaż to mogiła
W któréj leży ludzi siła;
Gdy w nią legniesz grzeszny człecze
Strawa z misy ci uciecze....

— Cha, cha, cha, cha, cha! piskliwym, lecz serdecznym chichotem zakończył śpiewający a zarażając się jakby wesołością jego zaśmieli się i inni. W wesołym chórze tym jeden tylko głos kobiécy odzywał się gdérliwém i rozjątrzoném mruczeniem.

Czy kobiéta siedząca na ławie, u zewnętrznéj ściany domu, słuchała tych rozmów, śpiewów i śmiechów, które przecież wyraźnie do ucha jéj dochodziły, trudno było powiedziéć. W oprawie czarnéj chusty okrywającéj głowę jéj i ramiona, twarz jéj zostawała wciąż nieruchomą. Błyszczącemi oczami swemi patrzała wciąż w jeden punkt szaréj przestrzeni. W sztywnym wzroku jéj malowało się osłupienie, sięgające stopnia bezmyślności. Z wystającego gzémsu dachu pod którym siedziała, spadały na odzież jéj gęste i grube krople deszczu, lecz ona nie zdawała się ich czuć, ani spostrzegać i nic nie czyniła, aby się od nich uchronić. Parę razy podniosła się z ławki, jakby do odejścia, postała chwilę z twarzą zwróconą ku miastu i siadła znowu.

W chacie cmentarnego stróża gwar to wzmagał się, to przycichał. Od czasu do czasu wybuchał zeń gruby, rozjątrzony głos kobiécy, zdający się zapowiadać srogą kłótnię. Za każdym razem jednak, cienki głos męzki przewlekle i tonem monotonnie odmawianego pacierza recytować zaczynał o doczesności człowieka na ziemi i o potrzebie użycia dopóki czas wszelkich uciech żywota a kończył śpiewem, którego piérwsze takty skoczne były i wesołe a ostatnie z żałośliwych pieśni kościelnych zapożyczone, a w których figurowały nieodmiennie: śmierć i piwo, mogiła i misa. W obec przemówień

tych i przyśpiewek kłótliwy i rozjątrzony głos kobiécy topił się w gniewne, lecz ciche i jakby zniechęcone mruczenie.

Nakoniec, otworzyły się drzwi domostwa i biesiadnicy po jednemu wychodzić z niego zaczęli. Byli to wszyscy ludzie prości i grubijańscy w ubogiéj odzieży, ze zczerniałemi twarzami. Każdy z nich, na progu jeszcze wymawiał jakieś słowo uprzejmego pożegnania i podziękowania za częstunek, każdy też mijając siedzącą u ściany kobiétę spoglądał na nią przez chwilę z obojętną ciekawością i odchodził. Z za otwartych drzwi od sieni gospodarz wykrzyknął jeszcze pożegnanie.

— A bywajcie tam zdrowi i żywi, bo wasze umieranie człowiekowi i dziurawych butów nie przysporzy!

Tu na nótę krakowiaka zaśpiewał:

— Od Boga zesłana
Śmierci ty kochana...
Zatrzęś kostkami swojemi...

I dokończył monotonnym pacierzowym tonem.

— Nad pałacami złocistemi, nad kamienicami murowanemi, nad szkatułami pełnemi, nad tymi co nosy do góry zadzierają a przed tobą w proch padają jak marne twory Pana Boga Wszechmogącego, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen.

Gdy przekleństwo to w dziwny sposób z modlitwą zmieszane, milkło w głębi domostwa, na progu zjawiła się gruba i wysoka postać kobiéca. Obejrzała się dokoła i nagle krzyknęła.

— A toż co? Zgiń maro, przepadnij! Kto tu taki siedzi pod ścianą?

Kobiéta siedząca pod ścianą zwróciła głowę ku mówiącéj i zwolna powstając, z cicha i nieśmiało wymówiła.

— Przepraszam... to ja!...

— Kto ja? jakie ja? zkąd ja? brzmiał w progu głos gniewny, gruby i kłótliwy. Włóczęga jakaś? czy żebraczka? czy złodziejka może? Panie Boże odpuść! Po nocach włóczyć się i pod cudzemi oknami siadać...

Z pod ściany, cichy i nieśmiały głos odezwał się.

— Siadłam odpocząć...

— Odpocząć! jak odpocząć? co odpocząć? gdzie odpocząć? pod naszemi oknami odpoczywać! Podsłuchiwać może i podpatrywać! Czy nie Jeżewicz to czasem przysłał tu panią, żebyś nas szpiegowała i żeby do ks. dziekana z językiem lecieć: u Łukasza piją! u Łukasza jedzą! u Łukasza hulają! Idź, idź zkąd przyszłaś i gadaj coś widziała i coś słyszała...

Kobiéta całkiem teraz ukryta w cieniu wymówiła.

— Przyszłam z daleka...

— Zdaleka! zdaleka! Od Jeżewicza, od wroga naszego! od szpiega naszego! z pod Fary! z kamiennego zaułku! zdaleka! zdaleka! zkądże naprzykład?

W cieniu ozwał się szept.

— Ze wsi...

Tym razem kobiéta stojąca w progu nie odpowiedziała nic. Nagle jakoś umilkła i wyciągnęła szyję w kierunku przybyłéj, chcąc snać śród cienia dostrzedz jéj rysy. Po chwili, ciszéj znacznie i łagodniéj niż wprzódy wymówiła.

— Ze wsi... A zkądże? z jakiéj strony?

— Z Targowa, odrzekła przybyła.

— Z Targowa? Nie znam. Nie wiem. Gdzież to jest?...

— Dziesięć mil ztąd... za temi wielkiemi lasami...

— Za lasami... w zamyśleniu powtórzyła gospodyni domostwa i dodała: dziesięć mil... no, no! kawał drogi! I cóż? piechotą szłaś? długo? wieleż dni?

— Piechotą. Trzy dni. Nie mogę iść prędko...

— No, no! ze wsi... za lasami!... ze wsi! cóż możebyś lepiéj w chacie odpoczęła jak tutaj! Z dachu leje się... cały boży dzień deszcz padał. Możebyś przenocowała u nas. Noc ciemna... ludzie ot zaraz spać pokładną się... jak pójdziesz do miasta, to chyba na ulicy nocować będziesz... chodź do chaty...

Przybyła nie poruszyła się z miejsca. Milczała.

— No cóż? z powracającą niecierpliwością powtórzyła gospodyni; głucha jesteś czy niema? Ja do niéj gadam jak do człowieka a ona jak słup... O Matko Boska! jakiż wicher zrywa się na dworze! Chodź do chaty!

Przybyła z większą jeszcze jak wprzódy nieśmiałością szepnęła.

— Dziękuję pani... przenocowałabym... czemuż? zmęczona jestem i... tak zimno. Ale... nie wiem... ja mam...

— Chodź do chaty! słyszysz! stentorowym już głosem i trzęsąc się od gniewu krzyknęła gospodyni. Noc taka, że psa z domu nie wypędzić... a ona tu jeszcze: dziękuję! niewiem!... ceregiele, fanaberye, głupstwa jakieś stroi! Jak nie pójdziesz mi zaraz to obiję, przepędzę i drzwi zarygluję! Idź i przepadaj! Cóż idziesz czy nie?

— Idę, idę, szybko odrzekła przybyła i weszła do domostwa.

Gospodyni z gwałtownym stukiem zaryglowała drzwi od podwórza.

Sporą izbę z dwoma niewielkiemi oknami, wklęsłemi głęboko w mur i ujętemi w przegniłe i zczerniałe ramy, oświetlał płomyk

łuczywa, dopalającéj się i zwisającéj u szczeliny glinianego pieca. Przy drgającém, czerwonawém światełku tém, sprzęty napełniające izbę zlewały się w ciemną i bezładnie grupującą się masę. Były to stoły grube i nieheblowane, drewniane zydle, koszlawe stołki, cebry, niecki, garnki, grabarskie i ogrodnicze narzędzia. Przez otwarte i nizkie drzwi ukazywała się druga malutka izdebka, z dwoma szerokiemi tapczanami służącemi za łóżka i z długim szeregiem świętych obrazów i obrazków zawieszonych na ścianie a w różnokolorowe i pozłacane ramki oprawionych. Przed jednym z obrazów tych, po samym środku ściany zawieszonym, na mosiężnym łańcuszku zwieszona, blado paliła się mała lampka. W piérwszéj od wejścia izbie czuć było wilgoć, stęchliznę, duszne gorąco silnie rozpalonego pieca, resztki swędu od jakiegoś smażonego mięsa i cuchnący dym tytuniu najgorszego gatunku. Słychać téż tam było przeciągłe chrapanie kogoś śpiącego. Na zydlu pod ścianą, z twarzą ku sufitowi zwróconą i rękami zarzuconemi na głowę, spał suchy, kościsty człowiek, w wyszarzanym spencerze nie posiadającym rękawów. Cienkie a długie ramiona jego okryte były rękawami grubéj, szaréj koszuli.

— Masz tobie! wchodząc do izby mruknęła gospodyni, już i spi! tak to zawsze! najé się, napije, wygada się, wyśpiewa i chrapie... a cała robota na moje ręce spada. Kto naczynie po nim i po jego częstunkach pomyje? ja. Kto graty pozbiera, żeby w brudzie nie marnowały się? ja. Kto drzewa z sieni na jutro nanosi? ja. Kto Jeżewiczowi oczy wydrapie za jego przeklęte plotki i intrygi? ja. Kto przed księdzem dziekanem wyjęczy i wypłacze, żeby nas ztąd nie wypędzał? ja. Wszystko ja. A co mnie za to? ot dziura ta, na teraz, a na starość... kościelne schody i tyle! Żebym ja była lepiéj światła dziennego nie zobaczyła... jeżeli kiedy żebraczką mam być...

W ten sposób szeptem lub półgłosem gdérząc i żaląc się chodziła po izbie wielkiemi, ciężkiemi krokami, zbierała ze stołu i przy piecu myła gliniane, ubogie naczynia, resztki jadła starannie chowała, grubym fartuchem ścierała ze stołu okruchy chleba i rozlane piwo. Nagle, zwróciła się ku drzwiom.

— Cóż tak stoisz pod progiem jak bałwan jaki! zawołała. Czemu nie siadasz? Czy może ława nasza za twarda, izba za ciasna... Podejdź, siądź... i pogadaj po ludzku a nie, to ruszaj sobie... Ja tu martwych nie potrzebuję, mam już ich dosyć tam...

Rzuciła ręką w stronę cmentarza.

Przybyła zbliżyła się cicho, usiadła na zydelku pod piecem i milcząc rozwijać zaczęła zawinięcie, które wciąż przedtém trzymała w ramionach. Gospodyni stanęła na środku izby jak wryta.

— Co to? zawołała. Dziecko?

— Dziecko, odpowiedziała przybyła.

— Czyjeż? twoje?

— Moje.

— Aha! rozpowińże to! udusić się może w takiém gorącém. Dziecko zakwiliło zcicha.

— Wieleż to ma? zapytała gospodyni.

— Ośm miesięcy.

— Z takiém maleństwem, w taką porę, w drogę wyprawiać się... no! O kilka kroków stojąc, bacznie przypatrywała się przybyłéj.

— Wdowa, co? mąż zmarł? zapytała.

— Nie, krótko brzmiała odpowiedź!

— Cóż? porzucił może łotrzysko jakiś?

— Nie, ciszéj jeszcze odpowiedziała kobiéta.

— Nie i nie! cóż tedy? dla czegóż włóczysz się po świecie, sama jedna i z dzieckiem?

Nagle umilkła i pytać przestała.

— Aha! rzekła jakby dowiedziała się już o wszystkiém.

— No, no, zaczęła potém łagodnie. Cóż robić? cóż robić? zdarza się różnie na świecie. Źle bo źle. Wstyd i obraza boska! ale kiedy stało się to już się nie odstanie. Chrystus Pan nam powiedział: kto z was bez grzechu, niech kamień rzuci!

We wspaniałomyślnéj przemowie téj było nieco szczeréj pobłażliwości; daleko więcéj jednak wywołała je ciekawość, bo małe oczki jéj zagłębione śród policzków pulchnych, lecz żółtą bladością okrytych, dziwnie żywo błysnęły i zamigotały. Usiadła pod piecem, obok przybyłéj.

— Biedna ty! zaczęła, któż ty taka? na panienkę jakby wyglądasz? sukienka elegancka kiedyś była, tylko teraz poplamiona i podarta a i ten płaszczyk niczego... na chłody nie zdał się... ale cienki... zgrabny, któżeś ty taka...

Przybyła uczuła się znać ujętą i ośmieloną przez okazywane jéj współczucie. Czarne źrenice jéj zatopione w malutkich, szarych oczkach pytającéj, posiadały w téj chwili wyraz śmiertelnie ranionéj łani.

— Sługą byłam, odpowiedziała głośniéj niż mówiła wprzódy, garderobianą u nieboszczki pani, matki młodego pana... dzieckiem z chaty mię wzięli, lubili, robót uczyli, ładnie ubierali... dobrze mi było.

Umilkła.

— Cóż daléj? co daléj? natarczywie pytała gospodyni.

Przybyła, kołysząc w ramionach dziecię i nie spuszczając z twarzy gospodyni cierpiącego wzroku swego, mówiła daléj.

— Kiedy nieboszczka pani umarła, byłam jeszcze cały rok przy pannie Placydzie, krewnéj pana, ale jak panna Placyda za mąż poszła, ot będzie już ze cztery lata temu, pan bratu memu dom zbudował w lesie i leśnikiem go zrobił. Mieszkałam przy bracie: pijak on i złośnik, bratowa prosta chłopka, ale pana lękali się i dobrzy dla mnie byli...

— No to czegożeś od nich wyszła? Trzeba było w chacie siedziéć i z braterstwem pracować.

Przybyła, po chwili milczenia odpowiedziała.

— Wypędził.

— Kto wypędził?

— Brat.

— A za cóż on cię wypędził? leniuch pewnie jesteś, albo złośnica!

— Nie, tylko się mu na nic nie zdałam. Żąć nie umiem, ani ogrodów kopać, ani strawy gotować... przytém... ludzie mu za mnie dojadali... i pan przestał przez palce patrzéć na to, że on drzewo z pańskich lasów sprzedaje... Komisarz zapowiedział, że wypędzi go ze służby, bo złodziejem jest i pijakiem... Wtedy on do mnie przyczepił się: a ty taka i taka! co ja z ciebie za korzyść mam? czego ty tu siedzisz mnie na karku i chleb zjadasz! Już to rok minął od tego czasu... cierpiałam, znosiłam... ale raz jak upił się to tak mnie wybił, że kaszlać zaczęłam i teraz jeszcze piersi bolą i kaszlę... A bratowa mówi: idź ty od nas, bo on jeszcze zabije cię kiedy po pijanemu i kryminał będzie... To i poszłam...

Gospodyni słuchała z uwagą.

— No, no, rzekła, co to się na tym świecie dzieje! Źleś ty zrobiła, nie ma co! bardzo źle! ależ i braciszek, niech go! póki korzystał, trzymał; jak korzyści nie miał, przepędził! No...

Zawahała się chwilę, lecz ciekawość przemogła wszystkie inne względy.

— No, a... pan? zapytała bardzo cicho i nad samem niemal uchem przybyłéj.

Pytanie to wywarło na znękaną kobiétę wpływ szczególny. Wstrząsnęła się cała jakby od elektrycznego uderzenia, z miejsca się porwała, dziecko uśpione na ławie złożyła i chustę gwałtownym ruchem z głowy i ramion zerwała.

— Ach! ach! ach! krzyknęła, żeby jemu każda godzina taka gorzka była jak całe moje życie! żeby on światłości boskiéj nigdy nie oglądał! Niech jemu Pan Bóg krzywdy mojéj nie pamięta! niech szczęście jego będzie takie wielkie jak moja niedola! Niech jemu własne dzieko nóż w serce zatopi! niech go Aniołowie Stróżowie

strzegą od mąk takich jak moje! żeby jemu jednę godzinę tak gorzko było jak mnie będzie do śmierci!

Łzy potokiem lały się po rozognionéj jéj twarzy. Oczy jéj gorzały, głos to wzdymał się namiętnie, to przebrzmiewał żalem połączonym z rzewnością.

Gospodyni wstrząsała głową wpół z litością, wpół z pośmiewiskiem.

— Waryatką jesteś, moja kochana, ozwała się trochę już gniewnie, przeklinasz i winszujesz... nienawidzisz i lubisz... sama nie wiesz co gadasz i koniec! Ale jakże to tam było? hę!

Z wrytemi w ziemię oczami przybyła odpowiedziała ponuro.

— Ożenił się.

Uspokoiła się nieco, siadła znowu na ławie i kołysząc w ramionach dziecko, zaczęła.

— Ot byłby może i nie ożenił się jeszcze; ale ludzie gadać zaczęli, że on ma romans z jedną panną z sąsiedztwa. Ktoś mu to w żywe oczy powiedział... Była podobno z tego powodu wielka kłótnia... wyzwał na pojedynek tego kto o téj pannie takie rzeczy mówił... strzelali się... plotki zrobiły się z tego jeszcze większe... raniony był w ramię i jak tylko wyzdrowiał oświadczył się téj pannie i ożenił się... Panu Sienickiemu, który z nim w wielkiéj przyjaźni żyje, powiedział: ja nie ścierpię, żeby przezemnie kobiéta stracić miała honor i opinią... Stałam wtedy pod oknem i podsłuchałam. On bo już taki jest, moja pani; dobrego serca i strasznie honorowy... to i nie dziw, że za panną ujął się i wynagrodził jéj krzywdę przez złe języki ludzkie wyrządzoną...

Anastazya słuchała opowiadania tego ze szczególnym uśmiechem na wydatnych i bladych wargach. Małe oczki jéj świeciły gniewną ironią.

— No a tenże? zapytała. Czemuż tobie nie wynagrodził?

Przybyła ze zdziwieniem wpatrzyła się na nią.

— Toż to wcale co innego, rzekła. Tamta pani z panów, śliczna jak obraz, po francusku mówi i na fortepianie gra... czy mnie z nią równać się?...

Nie było w słowach tych ani goryczy, ani szyderstwa. Mówiła szczerze.

Anastazya zamyśliła się. Zmarszczki okrywające wielkie blade jéj czoło poruszały się i falowały, pod wpływem jakby ciężko pracującéj myśli.

— Tak to tak; to prawda; zwolna i po chwili mówić zaczęła. Pani z panów... po francusku mówi... co nam równać się do takich... Jednakowoż, żeby mój Łukasz nie spał a słuchał... on widzisz leniwy

jest i obżarty, nie opój broń boże, bo piwo tylko pije a wódki do gęby nie bierze, ale co obżarty to obżarty i tęgo sobie leniwy... ale przytém rozumny bardzo, tak że aż ludzie schodzą się słuchać jego gadania .. toż żeby on nie spał teraz to ani chybi powiedziałby: ja stróż cmentarny, tamten pan wielki, ja prosty człek, tamten uczony i gwiazdy liczy... a wszyscyśmy równi w obec Ojca naszego Wszechmogącego...

Chwilę milczały obie. Przybyła ozwała się piérwsza.

— Żeby mi tylko chłopca z rąk zbyć... jakkolwiek już dałabym sobie rady... w służbę pójdę.

— Do miasta? zapytała gospodyni.

— Do miasta czy na wieś, jak się zdarzy... ale z dzieckiem ciężko... nie weźmie nikt...

— A no! zostawcie chłopca u kogo na hodowanie, płacić za niego będziecie a sami służyć.

— U kogo zostawić? w mieście żywéj duszy nie znam.

Anastazya zamyśliła się.

— Ochrzczone to? zapytała.

— A jakże! w targowskiéj parafii. Metrykę z sobą wzięłam, bo ludzie mówili, że bez niéj nikt chłopca nie weźmie.

Zwróciła się do gospodyni i kolana jéj rękami objęła.

— Matko najmilsza, zaczęła, narajcie mi miejsce jakie dla dziecka chatę jaką, gdzieby je przytulili a podhodowali choć troszkę. Ja w służbę pójdę i całą choć pensyą oddawać będę, sobie tylko na trzewiki i łachman jaki zostawiając... Narajcie dla miłości boskiéj, zarekomendujcie, pomóżcie, bo sama sobie w nieznajomém mieście rady nie dam!

Anastazya milczała długo.

— A no, ozwała się z trochą wahania w głosie, niech może chłopiec u nas zostanie... Dzieci nie mamy, we dwoje tu, w dziurze téj mogilnéj jak wilki mieszkamy i bogactwa u nas nie ma, oj nie ma! bo choć jaki taki grosz wpadnie czasem do chaty to go mój wnet przeje i przeweseli...

Przybyła pochwyciła jéj rękę i ucałowała ją gorąco. Długi jednak kwadrans upłynął, zanim zawarły z sobą stanowczą umowę. Anastazya wahała się. Chciała i nie chciała. Obiecywała i odmawiała.

— Dobrzeby było, mówiła, mieć jaką taką pomoc do tego nędznego naszego życia i czasem... śmiech dziecinny posłyszéć. My bo tylko dzwony a śpiewy pogrzebowe, lamenty a płacze słyszym ciągle i na mogiły patrzym... dla tego może Łukasz mój weselić się tak lubi .. niechby moją wesołością chłopiec ten był... bezdzietnam.

Po chwili jednak ostro wpatrując się w przybyłą, zapytywała.

— A jeżeli nam nic dawać nie będziecie? pójdziecie kędyś na skraj świata... goń wiatr w polu... my zaś jednéj gęby więcéj karmić nie mamy za co, nie mamy, nie mamy...

Z ostrych i gniewnych błysków, które strzelały z oczów jéj gdy to mówiła, można było odgadnąć jak bardzo byłaby rozgniewaną gdyby przyszło jéj dziecko to za darmo hodować.

Przybyła przyrzekała być słowną, przysięgała i w ręce ją całowała.

Po długiéj rozmowie Anastazya wzięła w ramiona uśpione dziecię i przypatrując się mu mówić zaczęła.

— Pan Bóg Wszechmogący, niech się stanie wola Jego święta, szczęścia mi nie dał... Ze szlacheckiéj okolicy rodem jestem, szlachcianką urodziłam się... i tęgą kiedyś dziewuchą byłam. Starało się o mnie wielu, ale ot Łukasza umiłowałam... dla czego? Bógże to wié! Za serce mię wziął mądrém swojém gadaniem i może tym czarnym surdutem, który nosił na sobie, bo lokajem w sąsiednim dworze był. Przeciw woli rodziców i familii całéj poszłam za niego a tu traf! i za nieposłuszeństwo kara boska na nas spadła. Miejsce stracił... powędrowaliśmy do miasta. W mieście jak w mieście... on, to miał służbę to nie miał a żyć z grosza, na bruku, ciężko. Prałam tedy, maglowałam, do ciężkich robót wszelakich najmowałam się, wodę nawet wiadrami nosiłam, jak się zdarzyło; zwyczajnie kobiéta bez domu ni łomu zostająca. Aż tu raz, zachorował... z choroby wstał, ale służby już ani rusz! nie dostał. Panowie mówili, że stary, mizerny, niepozorny i niezgrabny. Gdy bez służby został, bywało z początku ani go w chacie utrzymać, ani do roboty jakiéj napędzić... na lokajskim chlebie żreć tylko a weselić się przywykł, toż go i krótko trzymać zaczęłam... bez pardonu łajałam, biłam, jak wypadało... do piłowania drzewa i kopania miejskich ogrodów napędzałam i jakoś, z łaski boskiéj! nie rozpił się przynajmniéj a uczciwym i rozumnym człekiem jak był tak i pozostał... Potém, zdarzyło się to ot miejsce, przy *mogiłkach*. Chata, kawał ogrodu i jaki taki grosz od tych co tu swoich mają a mogił doglądać każą... Dwanaście lat już tu siedzim, ale kto wié czy długo siedziéć będziem! Źli ludzie intrygują a szczególniéj Jeżewicz ten, któremu te miejsce pachnie... Ks. dziekan powiada, że to zgorszenie i nieprzystojność, aby u cmentarnego stróża zgromadzenia jakieś bywały i gadania i śmiechy. A mój bez tego ani rusz! jak tylko grosz jaki w kieszeni, gości sprasza i częstuje... co ja mu zrobię! Już i sił nie mam krzyczéć i bić i żal mi go... stérany! Jeżelić jednak nas ztąd wypędzą, o Bożeż mój! prościuteńko pod kościół pójdziem. On stary, cherlawy i do żadnéj pracy, a ja... pięćdzie-

siąt też z górą lat mam i ot... zmęczyłam się... Niby to nic tak przy umarłych żyć... jednakowoż umarli żywych śmiercią zarażają... W obojgu nas zdrowia nie ma ani za grosz... ja niby gruba jestem i silna na oko, ale w rękach i w nogach mocy żadnéj i w piersiach coś takiego, że czasem ledwie dyszę...

Zadyszała się istotnie od długiego mówienia i długo milczéć musiała zanim odpoczęła nieco. Umiejętne oko rozpoznałoby natychmiast, że była silnie astmatyczną. Zarazem jednak była ona i gadatliwą. Odpocząwszy więc mówiła daléj.

— I z charakteru nie byłam ja taka dawniéj jak teraz. Złość w duszę z biedą razem wstąpiła. Dawniéj bywało, żeby mi tam nie wiem co, znoszę i milczę, a kiedy dobrze to tak śmieję się i wyśpiewuję, że aż z rodzicielskiéj chaty, na ogrody i pole chichoty i pieśni moje lecą... Oj, ogrody i pola i lasy szumiące i potok ten czysty co po zielonéj łące płynie!... Wszakci to cała młodość moja tam pomiędzy niemi przeszła... starość przechodzi między mogiłami!...

Małe, zapadłe jéj oczki zwilżyły się, policzki pulchne i wydatne, lecz pozór chorobliwéj obrzękłości mające zadrgały; nizko na pierś głowę opuściła.

— Terazem taka zła, mówiła znowu po chwili, że w złości gotowam człowieka zabić... Ot tak, co trzymam w ręku tém cisnę... Jużem się i spowiadała z tego i codzień Pana Boga proszę, aby mi cierpliwość i poprawę zesłał. Nie i nie. Coś we mnie wstąpiło i to nie od razu. Wstępowało, wstępowało aż i opanowało. A najmocniéj nieczysty wtedy mnie trzyma jak sobie wspomnę co ze mną i z Łukaszem będzie kiedy nas ztąd wypędzą... Nie już nam przyjdzie ostatnie lata nasze pod kościołem przeżyć i gdzie, pod płotem jakim zamrzéć... Uf!

Zatrzęsła się cała i obydwoma rękami objąwszy głowę, z któréj spadały w nieładzie siwiejące włosy, kołysała przez chwilę w strony obie grubą postać swoję, luźnym wyszarzanym kaftanem okrytą.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, przybyłéj wczoraj kobiéty nie było już w domostwie cmentarnego stróża. Ledwie zaświtało, wstała, chwilę porozmawiała z Anastazyą i zostawiwszy jéj trochę piéniędzy a ręce jéj ucałowawszy, wybiegła. Była to kobiéta dwudziestokilkoletnia, piękna, z cygańską cerą i namiętnemi, czarnemi jak noc oczami. Szła ku miastu, które budzić się już zaczynało nie tak jak wczoraj, z ciężkością i powoli, lecz szybko i śmiało. Znać było, że spadł z niéj ciężar, któremu podołać nie mogła, którego może

dźwigać nie chciała. W wyrazie ust jéj, w wyrazie oczu utkwionych w mury miejskie nie było już ani wstydu, ani trwogi. Czoło jéj tylko zorane nieco zdradzało wielką jakąś boleść przeżytą a w głębinach serca jeszcze tlejącą. Lecz nad zgliszczami temi, podnosiły się widocznie nowe jakieś nadzieje, żądza życia, ciekawość przyszłości. W starannie oczyszczoném i nawet gdzieniegdzie barwistym łachmankiem jakimś upstrzoném odzieniu, biegła raczéj niż szła, aż wpadła w tę banię z brudnego szkła, w któréj ciemna i ciężka, w fantastyczne kształty połamana masa będąca miastem, zaczynała rozwidniać się, gwarzyć, jęczyć dzwonami swemi i połyskiwać oknami purpurowo i złocisto gorejącemi we wschodzącém słońcu. Wpadła w banię tę i zniknęła, niby ziarnko piasku porwane ruchem klapsydry.

W téj saméj chwili, Łukasz stróż cmentarny po krótkiéj rozmowie z żoną, zbliżył się do małego okna, oprawionego w zczernione i zgniłe ramy, rozwinął zmięty arkusz papiéru i nie bez trudności wysylabizował.

„Roku 18, d. w parafialnym kościele targowskim, ochrzczoném zostało dziecię płci męzkiéj urodzone z Rozalii Klinównéj, włościanki i niewiadomego ojca. Imię mu dano Sylwester.“

II.

Piérwszą sceną z lat dziecinnych, którą Sylwek przypominał sobie potém jasno i wyraźnie, była następująca.

Jednego z wiosennych poranków obudził się pośród cmentarza, na wielkiéj spadzisto ułożonéj płycie białego marmuru. Bose nogi jego opiérały się o wypukłe marmurowe kwiaty, zdobiące grobowiec, a głowa spoczywała na tablicy z grobowym napisem. Dniało. Powietrze posiadało blado-siną barwę i przezroczystą gęstość zwolna rozwiewającego się dymu. Szarawe drzewa cmentarne i białe grobowce milczące były i nieruchome. Kędyś tylko w dole, z cicha szemrała rzeka i od czasu do czasu chłodny wiatr przylatywał, wstrząsał sinawém powietrzem, kołysał gałęźmi drzew i milkł nagle, a wszystko dokoła stawało znowu, w pełnéj niby oczekiwania sztywności i ciszy.

Chłodnemi powiewy temi zbudzony ze snu Sylwek, przeciągnął się, ziewnął i wpół nagie ramiona zarzucił na głowę, okrytą niezmierną gęstwiną głęboko czarnych, kędzierzawych włosów. Z twarzą zwróconą ku niebu, ścigał wzrokiem powolne falowanie górnych warstw powietrza, które z sinawych stawały się żółtawemi i jak

z lekka pozłocone dymy zakreślały przeróżne koła i skręty, pod błękitniejącém coraz sklepieniem. Bawiła go snać ta napowietrzna gra barw i linij, bo przypatrywał się jéj i bacznie i wesoło. Po cienkich, bladawych wargach jego przebiegały uśmiechy, a bose małe nogi wybijać poczęły fantastyczne jakieś takty, po zimnéj i twardéj płycie marmuru. Nagle, nad samą prawie głową jego przeleciał szary ptaszek, wpadł w gałęzie płaczącéj brzozy, zaszamotał niemi i na jednéj z nich zawiesił się w ten sposób, że młode liście musnęły czoło chłopca i oblały je gęstemi kroplami rosy. Sylwek zaśmiał się głośno. W téj saméj zaś chwili na krańcu widnokręgu, wybuchnęło jaskrawe, ogromne ognisko słońca. Pomiędzy drzewa cmentarne spadł deszcz iskier i błyskawic. Po zielonych mogiłach i białych grobowcach popłynęły złote i różowe łuny a jedna wielka płachta światłości spadła pod stopy kilku brzóz płaczących na płytę białego marmuru i dziecko pośród niéj rozciągnięte a śmiejące się do ptaka, który nad twarzą jego kołysał się na srebrzystéj gałęzi. Była to dla Sylwka chwila niewymównéj rozkoszy. Przedewszystkiém zziębłe od chłodu nocy i marmuru małe członki jego obejmowało i przenikało na wskróś miłe słoneczne ciepło. Nie po raz to piérwszy wprawdzie przepędzał on noc w ten sposób pod gołém niebem i na kamiennéj pościeli, lecz jakiemi bywały dotąd przebudzenia jego, nie wiedział. Nie posiadał jeszcze wyraźnéj pamięci przeszłości. Dziś po raz piérwszy uczuł świadomą siebie rozkosz ciała, wygrzewającego się w słońcu po długim chłodzie a uczuł ją z mocą zapowiadającą naturę silną i namiętną. Wyciągnął się na płycie w całéj swéj długości, stopy zarzucając już po za wieniec róż marmurowych, który płytę i jego obejmował dokoła, ramiona chude i śniade, podobne w słońcu do ciemnego bronzu z uczuciem niewypowiedzianéj błogości rozrzucił w krzyż. Oprócz jednak fizycznéj téj przyjemności, doświadczał on jeszcze innego uczucia, które w sposób niewyraźny wydawało mu się już znajomém, nienowém, lecz które w téj chwili dopiéro stawało się świadomém siebie, jakkolwiek ani umiałby on go nazwać, ani o nazywaniu go pomyślał. Było to przecież uczucie, pospolicie nazywające się zachwyceniem. Piérwsze drgnienia wewnętrznéj struny téj, która nie każdy organizm i nie w równym stopniu posiada a którą przyroda w organizmie Sylwka zaciągnęła, piérwsze drgnienia téj struny uczuł on przed chwilą, kiedy z ciekawością i upodobaniem szczególném przypatrywał się górnemu falowaniu mgieł porannych, przemieniających zwolna barwę sinawą na żółtą a rozpływających się w różnokształtne szmaty. Teraz, w słonecznem oświetleniu, nad nim i dokoła niego rozległ się obraz, złożony z ogromnego bogactwa szczegółów, które twórcza natura składa

w najskromniejszy choćby zakątek swego państwa. Cmentarz wyglądał jak czara po brzegi napełniona pięknością i kipiąca życiem. Sylwek nie rozważał szczegółów obrazu ani się nad żadnym z nich nie zastanawiał. Patrzał na wszystko. Patrzał z uśmiechem zrazu, potém ze szczególną powagą zdradzającą się zarysem w jaki ułożyły się drobne jego wargi i wyrazem czarnych źrenic, które promień słoneczny a także uczucie jakiego doznawał rozogniały. Jak inne dzieci w wieku jego będące bawią się błyszczącém i dzwoniącém cackiem, tak on bawił się pięknościami natury. Patrząc na żeglujące pod niebem obłoki, wyciągał w górę ramiona i wpół ze śmiechem, wpół z gniewem, mówił do siebie. Uciekają! uciekają! uciekają! Najdrażliwszym jednak ze zmysłów jego był słuch. Kiedy bowiem po raz piérwszy, nad głuchy gwar poranku wzbiła się i powietrzem popłynęła srebrna i smętna melodya dzwonów miejskich, Sylwek porwał się, usiadł, łokieć wsparł na kolanie a bronzowo-śniadą twarz na małéj, chudéj dłoni i słuchać zaczął. Dla czego słuchał? ani wiedział, ani myślał zapytywać się o to. Płynąca powietrzem melodya w nawpół obnażonéj piersi jego podnosiła falę uczucia zupełnie mu niezrozumiałego, lecz które przejmowało go i bólem i rozkoszą. W uczuciu tém, biegły psycholog odnalazłby dwa piérwiastki: tęsknoty i gniewu. Za czém Sylwek tęsknił, na co i na kogo gniewał się? Nie wiedział nawet o tem, że tęsknił i gniewał się, a gdyby dowiedział się, nie umiałby wskazać ani przedmiotów tęsknoty swéj, ani przyczyn gniewu. Jednakże uczucie, które w nim melodya dzwonów obudziła, nie było czém innem tylko tęsknotą i gniewem. Zasłuchał się, spochmurniał i żałośnie westchnął. Oj Bożeż mój Boże! Lecz kiedy dzwony uderzyły silniéj a wiatr, który powiał w tę stronę, pchnął nad cmentarz potężny, zgiełkliwy akord huczeń ich i jęków, Sylwek oderwał dłoń od twarzy, ścisnął obie pięści i wstrząsając niemi w powietrzu, wykrzyknął. A żeby was wszystkich dyabli wzięli! żeby pod wami ziemia rozstąpiła się! żeby was piekło pochłonęło!...

Czarne brwi jego zbiegły się pod bronzowém czołem, z oczu posypały się iskry.

W téj saméj chwili, kędyś od krańca cmentarza ozwał się donośny, gniewny głos kobiécy.

— Sylwek! Sylwek! Sylwek!

Zasłuchany w napowietrzną muzykę a wpatrzony w ognisko światła, które tuż przed nim zapaliło się w krzaku głogowym i oświetliło ukryte w głębi jego gniazdo ptasie, Sylwek nie słyszał wołań tych, powtarzających się wciąż i zbliżających się ku niemu.

— Sylwek! Sylwek! Sylwek! brzmiało wciąż wołanie na ścieżkach i w gąszczach cmentarza, ale coraz bardziéj zmęczonym

i zdyszanym głosem powtarzane. Nagle, chłopak uczuł się porwanym z tyłu przez dwoje twardych a gwałtownych ramion, które ścisnęły go jak żelazne obręcze i uniosły z nad marmurowéj płyty. Nad twarzą jego pochylała się twarz kobiéca wielka, żółta, z boleśnie pooraném czołem i małemi oczkami, które wśród obrzękłych policzków i wydatnych siwych brwi zatopione błyszczały złością. Na owo czoło poorane, z pod brudnéj chusty, opadały pasma siwych włosów. Łagodny szmer powietrza i melancholijną muzykę dzwonów, zagłuszył w uchu Sylwka grad łajań i złorzeczeń.

— Mléko! mléko! krzyczała kobieta, gdzie moje mléko, którém wczoraj w garnku za piecem postawiła! Wypiłeś je łotrze, złodzieju, włóczęgo, podrzutku jakiś! Do dna, do ostatka, do kropelki wypił mléko! A nam teraz krupnik postny jeść i tego nawet nędznego posiłku nie ma, którym ja za ostatni grosz przygotowała! Poczekaj! niech ja cię tylko do chaty przyniosę! Będziesz ty miał mleko!

Ramiona jéj i pięści wpijały się w ciało Sylwka, ze zdyszanéj piersi buchał ciężki, astmatyczny oddech, oblewający mu twarz duszném gorącem. Pomimo, iż zdawała się dusić prawie, nie puszczała dziecka i szła z nim ścieżkami cmentarza, okrążając mogiły.

W izbie palił się w piecu szeroki ogień; niedaleko pieca leżał stos nierówno porąbanych i ułożonych polan. Anastazya wszedłszy do izby postawiła Sylwka na ziemi a sama upadłszy na zydel, długo i ciężko dyszała. Nie mogąc jednak przez chwilę jakąś ani słowa przemówić, ani poruszenia żadnego uczynić, oczami roziskrzonemi piorunowała chłopca, który przysiadłszy na ziemi oparł twarz na obu rękach i osłupiałym wzrokiem wpatrzył się w ogień. Gdy odpoczęła już trochę, porwała się z siedzenia, pochwyciła znowu Sylwka i uniosłszy go z nad ziemi umieściła na stosie porąbanego drzewa, w postawie klęczącéj.

— Klęcz! wołała, klęcz tu przez cały dzień! do wieczora!

Wstać nie pozwolę i jeść nie dam! niech ci polana nogi pokaleczą! niech ci brzuch z głodu przepadnie!

Sylwek chciał być posłusznym nie przez łagodne poddanie się woli karcącéj go kobiéty, ale przez trwogę, którą go ona napełniała i mieszającą się z trwogą głuchą złość. Gdyby go miała zabić, nie przemówiłby w téj chwili do niéj ani słowa i nie spojrzałby na nią. Odwracając głowę, uparcie patrzał w ogień, który nawet zaczął go zajmować i bawić. Trwało to jednak krótko. Szczególny piedestal, na którym klęczało dziecię oblane gorącą łuną płomienia, począł stawać się ruchomym. Polana rozsuwały się pod nim. Nie mówiąc nic, nie odwracając twarzy od ognia, Sylwek usiłował zachować równowagę. Odzież jego była zniszczoną i podartą; ostre szpilki drze-

wne bez przeszkody wchodziły mu w ciało. Nagle, runęło wszystko, polana rozpadły się we wsze strony a Sylwek upadł na nie twarzą.

— A żebyś ty wskróś ziemi się zapadł! krzyknęła Anastazya podnieś się mi zaraz i klękaj znowu!

Podniósł się i milcząc zawzięcie ukląkł znowu. Kilka kropel krwi ukazało się na policzku jego, zranionym w upadku. Kolana jego, oparte o kanciasty kawał drzewa, drżały; na całéj twarzy pobladłéj, ponuréj, malowała się męka.

W téj chwili, pod oknami domostwa rozległy się szybkie, pośpieszne kroki i do izby wpadł suchy i przygarbiony człowiek, z grobową bladą twarzą i odrobiną rudawo-siwych włosów sterczących nad wpół łysą czaszką. Ze stukiem drzwi otwierając, wołał.

— Po umarłym, Nastasiu! po umarłym! po umarłyml

— Po umarłym! powtórzyła kobiéta tonem takim jakby rozumiała już o co chodzi. A skądże wiesz? nie kłamiesz?

— Ot kłamię! a cobym miał ciebie i siebie oszukiwać! Dzwony posłyszawszy poleciałem ku miastu i spotkałem zaraz, Ambrożego. Stróż nocny wié o wszystkiém co się w nockę Bożą z ludziskami dzieje. Umarł kto? pytam. A cóżeś to ogłuchł? mówi. Toż słyszysz. Dzwonią. A kędy dziś śmierć chodziła? pytam. Sklepową ulicą, odpowiada, do pięknéj kamienicy weszła i bogatego kupca schwyciła. Kiedy kończył się, pod samemi oknami jego, puściłem grzechotkę moję w taniec. Myślał pewnie, że śmierć mu nad uchem kośćiami klekoce! ha, ha, ha, ha!

Długo i wesoło śmiał się z ponurego konceptu przyjaciela swego, nocnego stróża. Potém zawołał.

— Będzie zarobek, Nastasiu, będzie i dobry! Żonkę zostawił i dzieci już podrosłe. Patrzéć tylko jak zacznie się kopanie, murowanie, stawianie pomnika, ubieranie mogiły... A bez stróża cmentarnego, nic nie zrobią, nic, nic! O wszystko muszą mnie prosić, bo ja tu pan... to moje hrabstwo udzielne, moja arenda, moja szkatuła...

Wziął się w boki i na środku izby podskakując a szczególne jakieś hołubce, stopami zaledwie okrytemi dziurawém obuwiem wybijając, zanucił.

— Oj śmierci kochana
Przez Boga zesłana,
Trząś ty kośćmi swemi...

Nagle, wzrok jego upadł na dziecko, klęczące wciąż przed ogniem. Stanął i śpiewać przestał.

— A to co? zapytał. Za co ty Nastasiu, klęczeć jemu kazałaś? i to na polanie! aj, aj! piękna mnie poduszka, kości przepiłować może! Co zrobiłeś łotrzyku ty? Może swojéj opiekunce i dobrodziéjce niegrzecznie odpowiedziałeś? Może tak jak onegdaj z żaru kartofle wygrzebałeś i za piecem zjadłeś? cha, cha, cha! sprytny z ciebie łotrzyk!

— Śmiéj się, śmiéj się jeszcze! zawołała Anastazya ze znacznie jednak mniejszą już niż wprzódy złością; tobie wszystko śmiech a mnie tylko troska i biéda! Mléko mi z garnka wypił podrzutek ten! Wczoraj wypił i z chaty uciekł, na *mogiłkach* nocował! Jeszcze go tam kiedy na chłodzie nocnym cholera weźmie, z mogiły wylazłszy i grześć go nam przyjdzie!

— Mléko wypił! powtórzył Łukasz z namysłem, aha! mléko ci wypił z garnka! znaczy ukradł, znowu ukradł! onegdaj kartofle, wczoraj mléko! źle, bardzo źle, Sylwku! Boskie przykazanie: nie kradnij! Nauczyłem cię przecież 10-ciu boskich przykazań! No, mów za pokutę dziesięć boskich przykazań! Jam jest Pan Bóg twój... no, mów daléj!

— Jam jest Pan Bóg Twój.... ozwał się głosik dziecinny, w którym łzy drgały. Kolana poranione i policzek przerznięty drzazgą, taki ból sprawiały Sylwkowi, że dotychczasowy stoicyzm jego topniał szybko a oczy szkliły się łzami. Łukasz stał przed nim, z rękami opartemi na kłębach i najsroższym tonem na jaki zdobyć się mógł cienki głosik jego, do śmiechu jakby stworzony powtarzał.

— No, mów daléj!

Sylwek recytował dziesięć przykazań tak jakby spodziewał się, że koniec ich będzie końcem jego męki. Na wyrazie: nie kradnij! Łukasz zatrzymał go.

— O! zawołał wyciągając ku niemu wskazujący palec, o! nie kradnij! widzisz! Pan Bóg Wszechmogący, Stwórca nasz, rzekł Mojżeszowi na górze Synai: nie kradnij! A tyś mléko ukradł? Dla czegoś kradł? dla czegoś grzeszył?

Oczy dziecka oschły nagle i strzeliły namiętną błyskawicą. Wpatrzył się w opiekuna swego i krzyknął.

— Głodny byłem!

Ramiona Łukasza opadły nagle i głowa z wyrazem pognębienia opuściła się na piersi. Chwilę milczał i trząsł głową. Potém mówić zaczął.

— Głodny był! ukradł dla tego, że był głodny! Nastasiu! o, jest racya! głód to rzecz brzydka! kiedy w brzuchu pusto, to i w głowie robi się niejako... brzydkie myśli zaczynają po niéj chodzić.... Wiem

ja to, wiem z praktyki! Ho, ho! Bożeż mój! wiele to razy człowiek głodny był w téj ziemskiéj pielgrzymce swojéj...

— A przecież złodziejem nie byłeś choć ci głód nieraz dokuczył, z nad garnka w którym mieszała strawę, mruknęła Anastazya.

Łukasz nie odpowiedział nic. Siwe brwi jego ściągnęły się ponuro, wzrok utkwił w ziemi a garstka włosów jego jeżąca się zwykle zdawała się bardziéj jeszcze zjeżoną. Milczał długo, potém, podnosząc nagle głowę i prostując się, wypowiedział.

— Nastasiu! dodał, daruj ty już łotrzykowi temu winę jego! I odpuść nam nasze winy jako i my... niechaj wstanie sobie i siądzie po ludzku! głodny był to i ukradł!

Anastazya, która przez całą powyższą scenę zajmowała się gotowaniem strawy, zupełnie już z gniewu ochłonęła. Czy perspektywa grubego zarobku, przynoszonego przez śmierć bogatego kupca, złagodziła wzburzone jéj uczucia? czy zresztą gniewy jéj o ile były gwałtowne o tyle musiały być krótkiemi? Obojętnie już spojrzała na Sylwka i rzekła.

— No, wstań już! wstań!

Sylwek z ciężkością powstał i wnet usiadł na ziemi pod piecem, bo na nogach zbolałych i poranionych utrzymać się nie mogł.

Anastazya nalała dwie misy krupniku z kartoflami i okraszonego trochą słoniny i postawiwszy je na stole dla siebie i męża napełniła strawą trzecią sporą miseczkę i umieściła ją na ziemi, przed chłopcem.

Usiadła i zaczęła jeść, ale po chwili zwróciła się ku dziecku, które chciwie pochłaniało strawę, drewnianą łyżką.

— Może więcéj kartofli chcesz? zapytała. Hm? chcesz jeszcze kartofli?

I nie czekając odpowiedzi, wstała i z garnka stojącego przed ogniem wydobywszy warząchwią trochę kartofli, włożyła je do miseczki dziecka. Kiedy mam sama, to ci daję, mruknęła; a kiedy wszystkim nam głodno, to i tobie także! co to gadać! U nas tak! jednego dnia za wiele drugiego za mało! co ja winna?

Zmoczyła szmatę jakąś w zimnéj wodzie i omyła nią skaleczony policzek Sylwka. Pod łagodném dotknięciem grubéj i wielkiéj jéj dłoni chłopiec pozostał równie sztywnym, ponurym, jak wtedy gdy ściskała go niby kleszczami twardemi ramiony i rzucała na raniący stos polan. Potém, w zwyczajny sobie sposób, wsparłszy łokieć na kolanie a twarz na dłoni, kołysać począł w obie strony drobną swą postać i żałośliwie, przeciągle westchnął. Oj Bożeż mój Boże!

Takiém było piérwsze, zupełnie jasne wspomnienie Sylwka. Miał wtedy lat pięć.

Wkrótce potém zaszło zdarzenie, które w pamięci jego a bardziéj jeszcze w uczuciach i myślach trwałe pozostawiło ślady.

Było to w śnieżny wieczór zimowy, nazajutrz po pogrzebie jednego z zamożnych mieszkańców miasta. Łukasz miał pieniądze i wyprawiał bal. Przy świetle jednéj łojówki palącéj się na stole i szerokiego ogniska płonącego w piecu, na zydlu i stołkach, siedziało kilku mężczyzn w podartych i zbrudzonych siermięgach lub kożuszkach, z ciemnemi, grubemi twarzami. Pili piwo a zakąsywali razowym chlébem i twardym sérem. Przed ogniem, Anastazya gniewna i ponura, jak bywało zwykle gdy mąż jéj sprawiał częstunek, zacierała mąkę na kluski i na trójnożku smażyła słoninę. Przy stole, rozmowa toczyła się gwarna, lecz spokojna. U Łukasza, ludzie jedli i pili, ale nie upijali się nigdy. Nie pozwalała na to bliskość cmentarza, budzącego zawsze pewną cześć zmieszaną z przestrachem; sprzeciwiał się temu urząd cmentarnego stróża, nadzorowany przez kościelną władzę; nie pozwoliłaby na to przedewszystkiém Anastazya, która na samo wspomnienie o wódce, i z mężem i z gośćmi obeszłaby się ze zwykłą sobie a w wybuchach swych straszną bezwzględnością. Mieszkańcy zresztą ubogiéj dzielnicy miasta, przez kawał pola tylko rozdzielonéj z cmentarzem zupełnie szczerze twierdzili, iż cmentarnego stróża odwiedzają daleko mniéj dla poczęstunku, który ich tam oczekiwał, jak dla rozumu i pięknéj mowy gospodarza, który kawał świata w życiu swojém zwiedził, wiele ciekawych rzeczy widział, różne pieśni i piosenki śpiewał a nawet sam je komponować umiał. W zdaniach, które o życiu i ludziach wygłaszał Łukasz, i w piosnkach, które wyśpiewywał, było coś, co głaskało mętne pojęcia i dla nich samych może tajemne pragnienia i żale ludzi takich, jak brodaty i ponury Ambroży, stróż nocny; stary i siwy Jakób niegdyś cieśla, dziś tracz; blady i wysmukły Antosiek, parobek ogrodniczy; Janek mularz nigdy roboty nie mający itp. Kędyś tam na mieście, różnie z nimi bywało, ale tutaj trzeźwi byli i tylko od czasu do czasu, żarty lub przyśpiewki gospodarza wtrącały ich w wesołość, objawiającą się wybuchem śmiechów i tryumfujących jakby wykrzyków.

W chwili właśnie jednego z takich wybuchów wesołości powszechnéj, otworzyły się drzwi izby i w progu ukazał się człowiek, nikomu z towarzystwa całego nieznany. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, szczupły bardzo, w dostatnim choć prostym baranim kożuszku, grubém, lecz mocném i do kolan sięgającém obuwiu i czapce

oszytéj baraniém futrem. Na plecach niósł spory tłómok a w ramionach podługowatą skrzynię, starannie w płótno i ceratę owiniętą.

Stanął na progu i odezwał się.

— Pokój temu domowi!

Obecni zwrócili się ku niemu twarzami.

— Pokój ludziom prostym i dobrym, weselącym się w niewinności serc swoich! wyrzekł jeszcze przybyły.

— Dziękujemy! dziękujemy! odpowiedziało parę głosów a Łukasz zawołał.

— Prosimy do chaty pana podróżnego, prosimy! Na dworze mróz i śnieżyca. Wejdźcie i ogrzéjcie się!

Anastazya z warząchwią w ręku pożerała oczami i podróżnego, który ku wielkiemu jéj niezadowolnieniu powiększyć miał grono tych, których ona „objadaczami“ nazywała, i męża swego, który go zapraszał.

Podróżny wszedł do izby.

— Dziękuję ci, gościnny i dobry człowieku, zaczął, mógłbym pójść do miasta nocować... ale zobaczyłem wesoły ogień w oknach domóstwa waszego, usłyszałem wasze poczciwe głosy i serce pociągnęło mię ku wam.

Mówiąc to zdjął z pleców tłómok, postawił na zydlu podługowatą skrzynię i otrząsnąwszy z odzienia okrywający je śnieg, zbliżył się do stołu.

Czy był młodym albo starym? trudno byłoby powiedzieć na pewno. Włosy miał lnianéj prawie barwy, miękkie i długie; czoło bardzo białe, lecz zorane rojem drobnych zmarszczek; oczy błękitne jak turkusy z niezmiernie łagodném, nieruchomém spojrzeniem. Zresztą, twarz jego blada i bez zarostu młodzieńczą wydawała się i zarazem zestarzałą.

Zbliżywszy się do stołu mówić zaczął.

— Jestem Szymon Kępa, nauczyciel wiejski z powołania. Niemam potrzeby taić przed nikim nazwiska mego. Nic złego nikomu nie uczyniłem a pragnę czynić wszystko co jest w możności mojéj, aby służyć ludzkości, szczególniéj zaś tym z jéj członków, którzy pędzą życie w prostocie, niewinności i niezasłużonych cierpieniach. Kocham ludzkość, kocham przedewszystkiém wszystkich ubogich, poniżonych i skrzywdzonych. Kocham i was bracia moi, choć pierwszy raz w życiu spotykam się z wami. Pozwólcie mi zasiąść w kole swojém; nie splamię go z pewnością ani słowem, ani czynem.

Szczególnéj przemowy téj obecni słuchali z pootwieranemi od zdziwienia ustami. Anastazya, przed ogniem stojąca, mruknęła. Aleź gada! jak najęty!

Sylwek wylazł z ciemnego kąta jakiegoś w którym dotąd niewidzialny zostawał, przeniósł się do innego kąta, bliższego stołu i przykucnąwszy na ziemi, oczy swoje ogniste, bystre a ciekawe w przybyłego wlepił.

Łukasz miał pozór człowieka zachwyconego. Przybywał mu gość, towarzysz do gawędy i szklanki a w dodatku jakiś bardzo rozumny i wymowny. Goście podzielali uczucie gospodarza domostwa. Piękna wymowa była pośród nich we czci szczególnéj. Jak zwykle bywa z ludnością miejską bezwiednie uczuwającą w sobie pracę pojęć i żądz, do dna nurtujących ogniska cywilizacyi, namiętnie lubili oni słuchać górnych wyrazów, długich rozpraw, płynnie wypowiadanych okresów, choćby w małéj tylko części zrozumiéć je byli w stanie. Rozsunęli się też pośpiesznie i z uszanowaniem, czyniąc pośród siebie miejsce przybyłemu. Przybyły usiadł a gospodarz, z ledwie tajoną ciekawością, wnet go zapytał.

— Zkądże Pan Bóg prowadzi? Zdaleka pewno?

— Nie tak bardzo i zdaleka, odparł przybyły; mnie, przywykłemu do pieszych wędrówek, mil piętnaście ujść, rozglądając się po okolicach, podziwiając wszędzie rozsiane piękności natury i od czasu do czasu wchodząc pod skromne dachy, aby z prostymi i dobrymi ludźmi przełamać się chlébem i sercem, to rozkosz i nauka. Bo uczyć się, bracia moi, powinniśmy wszyscy i nieustannie, uczyć się budowy świata, piękności i dobroczynności natury a przedewszystkiém miłości, téj wzajemnéj miłości, która wszystko rozumié, wszystko przebacza, wszystkiém się dzieli i kiedyś ziemię tę naszę w raj przemieni.

Umilkł, turkusowe oczy jego znieruchomiały, po cienkich, zwiędłych wargach przesunął się uśmiech niewymownego zachwycenia. Przy stole, dało się słyszéć parę głośnych i głębokich westchnień, takich zupełnie jakie wtórują kwiecistym kazaniom, donośnie rozlegającym się pod sklepieniami kościołów.

Szare źrenice Łukasza migotały z wielkiego zadowolenia.

— Tak to, tak, zaczął; kiedyś lepiéj będzie na świecie a tymczasem trzeba biédę klepać i zgryzotę jak można odpędzać misą, szklanką i dobrym humorem.

Kiedy Chrystus Pan pokaże się na obłokach i podzieli ludzi na kozły i barany, kto wié, gdzie człowiek popadnie? Co dziś, to nasze!

— Kozły, mój bracie, zaczął przybyły, to pyszni, samoluby, ludzie z twardemi sercami którzy nic nie czynią dla przybliżenia królestwa niebieskiego ku ziemi, ale owszem oddalają je przez swoje grzeszne rozkosze i zbytki. Barany, moi bracia, czyli wybrani

i błogosławieni, to wy, którzy pracujecie w pocie czoła, niesiecie krzyż swój w pokorze a serca macie niepokalane cudzą krzywdą i to ja także, który myślą moją a przedewszystkiém sercem mojém zobaczyłem wielkie dzieło przyszłości i opowiadam je maluczkim, aby widząc je umieli iść ku niemu.

Przy ostatnich wyrazach położył na piersi rękę swą długą i bladą, a na twarz całą wytrysnęły mu: duma i radość. Przy stole ozwały się znowu westchnienia. Słuchacze uczuwali się wzruszonymi i zarazem zgnębionymi rzuconym na nich potokiem słów, które wydawały się im i bardzo pięknemi i zarazem niezmiernie zadziwiającemi. Jakby dla ulżenia sobie, Antosiek, parobczak ogrodniczy, który młodzieńcze lata swe na wsi przepędził, zapytał.

— A jakież tam urodzaje po wsiach, panie podróżny? czy runie pięknie z jesieni pokazywały? Téj bo zimy chléb zdrożał. Gadają, że w przeszłym roku, żyto pod wczesnemi śniegami wygniło. Nie wiedzieć jak to na przyszły rok będzie?

— Urodzaje, odparł podróżny, nie będą zdaje się tak złe na rok przyszły, jak były w roku zeszłym. Runie były bujne, śniegi spadły w porę, na zmarzłą ziemię... i gdzie dobre było gospodarstwo tam i chleba dosyć będzie. Nieszczęściem, gospodarstwa nie są wszędzie dobre. Więcéj nawet jest złych jak dobrych. Ludzie nie opanowali jeszcze wszystkich sił natury, nie zawładnęli jeszcze wszystkiemi jéj bogactwami; zresztą uprawiać rolę ciężki, to mozół, który kiedyś zdjętym będzie z bark ludzkości...

— Jakto! panie podróżny! zawołał Łukasz, który tak pilnie i ciekawie słuchał, że wykrzywiając szyję w stronę mówiącego, konchę uszną dłonią w stronę jego zwracał. Jakto, panie podróżny! ludzie uprawiać ziemi nie będą? ani orać, ani siać, ani żąć? A jakże to... samo przez się...

— Nie samo przez się, człowieku dobry, ale przez maszyny, przez rozmaite maszyny, które serca miłością ludzkości gorejące wynajdą i wydoskonalą. Maszyny wszystko robić będą... dziś już widzimy początek tego, ale koniec daleki jeszcze, daleki. U końca dzieła, kula ziemska caluteńka przedstawiać będzie widok ogrodu, pełnego zbóż falujących jakby złote morza, drzew uginających się pod niezmiernym ciężarem owoców, kwiatów rajskiéj piękności i woni. Pustyni, piasków jałowych, podstępnych trzęsawisk i gruntów źle uprawionych, na całéj powierzchni ziemi na ukłucie szpilką nie zostanie. Nie będzie téż już nigdzie i nigdy ani skwarów, ani mrozów, ani śnieżycy, ani ulewy, ani posuchy, ani mokroty, lecz nad ziemią zapanuje wieczne ciepło, miarkowane przez powiewy łagodnych wia-

trów i ożywczą wilgoć strumieni czystych jak kryształ, jak sieć srebrzysta opasujących zboża, drzewa, kwiaty i białe domostwa, ciche przybytki miłości, cnoty i pokoju.

Tym razem, zachwycenie słuchaczy było wielkiém. Przed oczami ich rozpostarto obraz lśniący najponętniejszemi dla nich barwami; oni zaś jak dzieci, albo ludy zostające w pierwszych fazach rozwoju, pojęciem i wyobraźnią lgnęli najłatwiéj do obrazu i symbolu. Białe domostwa szczególniéj, stojące pośród zbóż i drzew owocowych, podobały im się bardzo.

— Za pozwoleniem, głosem stłumionym i głębokiego poszanowania pełnym ozwał się stróż nocny, Ambroży; jakże to... czyżby to wszystko... maszyny zrobić mogły?

— Wszystko to, bracie mój, zrobi przedewszystkiém miłość... która, gdy wszystkie serca napełni, cuda sprawi...

— Hej! hej! wykrzyknął stary Jakób, żeby już ta miłość prędzéj wszystkie serca napełniała... człowiek nie potrzebowałby piły na starym grzbiecie nosić i po całych dniach, pod bramami na robotę czekać... Aleć panie mój, oddawna już Chrystus Pan nasz rozkazywał ludziom, ażeby miłowali się pomiędzy sobą... jednak nie miłują się i... co im zrobić?

Podróżny wyprostował się, oczy mu gorąco błysnęły.

— Co zrobić? wykrzyknął, nauczać! opowiadać! błagać! wzywać! zziębłych rozgrzewać! sennych budzić! opornych gromić!

Łukasz promieniał. Złośliwe śmiechy biegały po całéj jego twarzy...

— Otóż to! otóż to! wołał. Gromić, gromić! niech ich śmierć gromi. Ja sobie zawsze przyśpiewuję:

Śmierci ty kochana,
Zatrząś kośćmi swemi.

Nad tymi co nosy do góry zadzierają a przed tobą w proch padają, jak nędzne twory Pana Boga Wszechmogącego, któremu niech będzie cześć i chwała, na wieki wieków, Amen.

Jak zwykle, piérwsze dwa wiersze szczególnego tego utworu swego, wyśpiewał na nótę krakowiaka, która stopniowo spływając w ton litaniowy, przechodziła nakoniec w montonne, pacierzowe mruczenie.

Anastazya umieściła pośrodku stołu wielką dymiącą się misę a wszystkim obecnym rozdawszy drewniane łyżki, przed Szymonem Kępą postawiła fajansowy, wyszczerbiony talerz.

— Nabierzcie sobie z misy i jedzcie! rzekła.

Przybyły porwał się z miejsca, pochwycił w dłonie swe mokrą i utłuszczoną rękę gospodyni i złożył na niéj pełen czci pocałunek.

— O Matko Boska! krzyknęła Anastazya, cóżem to ja obraz święty, albo wielka pani, że mię po rękach całujecie...

— Nigdy, odparł Kępa prostując się, nigdy głowa moja nie pochyliła się w pokorze przed wielkimi świata tego. Dłoń twoję, Matko, pocałowałem dla tego właśnie, że wielką panią nie jesteście, ale dzielną i mądrą niewiastą, w czystości i pracy strzegącą domowego ogniska...

Anastazya wpatrzyła się na niego szeroko roztwartemi oczami a odchodząc ku „domowemu ognisku“ splunęła i zcicha mruknęła. Panie Boże! plecie jak na mękach! A język! jak kołowrót! Waryat czy co!

Kępa tymczasem odsunął podany mu fajansowy talerz i prosił obecnych o pozwolenie spożywania z nimi strawy z jednéj misy. Naturalnie, wszystkie głowy poruszyły się w znak twierdzenia i zezwolenia a chór głosów odpowiedział.

— Prosimy! prosimy, kiedy łaska!

— Honorem to dla nas będzie, z powagą dodał Łukasz, pan podróżny jest bardzo uczonym człowiekiem a chociażeśmy wszyscy równi w obliczu Ojca Wszechmogącego, któremu niech będzie...

— O tak! z zapałem przerwał Kępa; tak! tak! wszyscyśmy sobie równi: uczeni i prostacy, wszyscyśmy bracia wyszli z łona jednéj natury. Ja nigdy wyróżniać się nie chciałem z pomiędzy braci mojéj, ani głowy nad nią podnosić, ani ze wspanialszych naczyń jadać...

Bóg tylko wié, jak bardzo, ów wyszczerbiony, fajansowy talerz, dalekim był od wszelkiego symbolu wspaniałości. Niemniéj, Kępa odsunął go od siebie i drewnianą łyżkę zatopił w wielkiéj misie, w któréj jednocześnie topiły się łyżki wszystkich obecnych. Jedli i jak zwykle bywa z ludźmi, którzy głód swój rzadkim dla nich przysmakiem zaspokajają, wpadali w coraz weselszy humor.

— Ależ pani Łukaszowéj kluski... to no! tonem najwyższéj admiracyi wyrzekł Ambroży.

— Moja nieboszczka téż tęgą sobie gospodynią była a jednakowoż kluski jéj ani się umywały do tych!... potwierdził stary Jakób i dłonią ocierając otłuszczone słoniną siwe wąsy dodał ze śmiechem: ot żeby sobie codzień tak podjeść, to toby człowiek choć dwa sążnie drzewa na dzień spiłował.

Blady Antosiek, tak pełne miał usta, że ledwie wybełkotał.

— Ot żeby komu kluską taką dać w łeb toby i kryminał był! Jak Boga kocham!

Łukasz jednak, aczkolwiek najłakomiéj ze wszystkich pożerał jadło, nie chciał tracić czasu na błahe gawędy.

— Panie podróżny! zaczął, a kiedyż to one szczęśliwe czasy nastąpią.....

Przeżuł nieco jadło, które mówić mu nie pozwalało, i dokończył.

— Te czasy kiedy maszyny wszystko za ludzi robić będą a świat stanie jednym rajskim ogrodem?

Kępa przestał jeść i odpowiedział.

— Czasy te, dobry człowieku, nastąpią wtedy kiedy na ziemi znajdzie się więcéj ludzi miłości, ofiary i zaparcia się... ludzi, którzy tak jak ja, ludzkość całą w sercu swojém noszą...

— A jakżeby to zrobić, żeby ci ludzie prędzéj narodzili się na świat! filuternie nieco i niedowierzająco zapytał stary Jakób.

Tajemniczy uśmiech przewinął się po ustach Kępy.

— Trzeba, ażebyśmy wszyscy na to pracowali! odparł. Ja pracuję.... Od kilku już lat piszę dzieło, które gdy ukończę... ludzie spojrzą na świat ten, na siebie samych i na wszystkie ideały ludzkości, tak, jak ślepi, którym nagle wzrok przywrócono. Dzieło to moje pozdejmuje im łuski z oczu, ukaże co uczynić oni mogą a nie czynią, jakie słońca nad nimi świecą i jak leniwie a opornie oni się ku nim wspinają. Dzieło to moje będzie zwiastunem nowéj ery świata....

Obecni zatrzymali łyżki swe pomiędzy misą a ustami. Pierwszy raz w życiu widzieli na żywe oczy człowieka piszącego książki.

— Pan podróżny jest autorem, w kształcie objaśnienia i wzrokiem tocząc po wszystkich twarzach rzekł Łukasz. Otóż to pan uczonym być musisz! Pewno jakich z tysiąc książek sam przeczytałeś...

— Czytałem! czytałem wiele w młodości mojéj, zaczął Kępa, ale teraz czytam już tylko we własném sercu i przepisuję to, co w niém napisano.

— Oto serce! o to złote serce! które człowieka takim rozumnym robi, że i książki pisać on potrafi! z amfazą zawołał Łukasz, i wnet dodał; ale czemuż to pan podróżny nie je i łyżkę już położył? czy kluski nie smakują?

— Owszem, owszem, pośpiesznie odpowiedział gość, zanadto są smaczne, abym miał prawo jeść ich dużo! Od najwcześniejszego

dzieciństwa postanowiłem sobie nie dawać woli łakomstwu i pożądliwościom ciała. Kiedy mi co smakowało bardzo nie jadłem wcale, albo mało jadłem a głód zaspakajałem byle czém... Zresztą, dzięki wam ludzie gościnni, głodny już nie jestem...

Że był jeszcze głodnym świadczyły o tém mimowolne spojrzenia, które rzucał na misę i nad któremi zapanować nie mógł; świadczył też o tém kawał razowego chléba, który posypywał solą i ze smakiem zjadał. Łukasz zaledwie mógł wierzyć uszom swoim.

— Nie jeść smacznéj strawy kiedy jest, ej! z przeproszeniem pana podróżnego, to wielkie głupstwo. Raz dla tego, że niezawsze ona jest, więc trzeba korzystać: powtóre:

> Oj głęboka to mogiła
> W któréj leży ludzi siła;
> Gdy w nią legniesz grzeszny człecze
> Strawa z misy ci uciecze...

— Cha, cha, cha, cha! zakończył śmiechem a po chwili dodał: niechże pan piwka przynajmniéj łyknie, po suchym chlebie...

Kępa odmówił. Nigdym, rzekł, żadnego trunku w usta nie brał. Dotychczasowe podziwienie i uszanowanie Łukasza zdawało się zmieniać w ironią.

— No, no! rzekł, żeby z panem nie było tylko tak jak z tym jakimś, który skąpił, głód cierpiał, umartwiał się a kiedy umarł, na pomniku mu napisali: nie najadłeś się, nie napiłeś się, jeżeli w niebie nie będziesz, otóż srodze okpiłeś się! cha! cha, cha, cha!

Kępa nie odpowiadał. Odkąd wspomniał o dziele swojém, wpadł w głęboką zadumę. Nagle jednak obudził się, powiódł wzrokiem dokoła i zawołał.

— Czémże ja wam, dobrzy ludzie, zapłacę za gościnne przyjęcie wasze, za miejsce przy waszym stole, za chléb i za sól. Skrzywdziłbym was gdybym w zamian tych darów serdecznych dawał wam lichy pieniądz, którego pewnie nie pożądacie...

— Oj! oj! i jak jeszcze pożądamy! półgłosem sarknęła przy piecu Anastazya, ale Kępa odezwania się tego nie słyszał. Wstał i wziął z zydla długą skrzynię, którą był przyniósł w ramionach.

— Wywdzięczę się Wam czém mogę i jak umiém, rzekł; uniosę na chwilę duchy wasze w wyższe sfery, wzmocnię je szlachetném wzruszeniem...

Zdjął ze skrzyni płótno i ceratę, otworzył ją i wyjął z niéj, skrzypce. Obecni wydali okrzyk zdziwienia i uradowania. Tak jak piękne frazesy lubili też oni muzykę.

— Oho! zawołał ktoś, i książki pisze i grać umié!

— I stare obuwie naprawiać, żartobliwie dodał Kępa; rzemiosła tego nauczyłem się w dzieciństwie jeszcze, od ojca, który za młodu był dobrym szewcem, ale potém nie powiodło mu się jakoś i ot, samo tylko stare obuwie do naprawiania mu dawali... Jestem dzieckiem ludu, bracia moi. Wiecie już kim był mój ojciec. Matka zaś żyje jeszcze i na Zielonym rynku warzywo i bułki sprzedaje... przekupką jest...

— Na Zielonym rynku, zawołali obecni, pan tedy rodem z naszego miasta!

— A z waszego, drodzy moi, z waszego! tylko żem tu od bardzo dawna nie był....

Pociągnął smyczkiem po strunach i nastrajał je przez chwilę. Siedzący dokoła stołu ludzie oddech nieledwie podtrzymywali w piersiach, Anastazya nawet, stanęła pod piecem, że skrzyżowanemi rękami, w postawie oczekiwania pełnéj.

Kępa grać zaczął. Zrazu uderzył silnie w struny i wywołał z nich tłum tonów pół wesołych, pół smętnych, które przez czas jakiś zdawały się wirować w chaosie i nieporządku, z płaczem i śmiechem zbiegać się ku sobie, łączyć się to odtrącać naprzemian aż nakoniec, szeregiem niby wyciągnąwszy się w długim i hucznym passażu, związały się w jeden wielki, pełen rozgłośny akord. Z akordu tego dopiéro, niby nić z kłębka, wysnuła się melodya dziwna. Z początku, byłto walc tylko, jeden z tych utworów muzycznych, które w epokach pewnych brzmią po świecie całym od góry do dołu, od sklepień wspaniałych sal koncertowych do błotnistego podwórza napełnionego skrzypiącemi dźwiękami ulicznéj katarynki. Wkrótce jednak, znana powszechnie melodya ta ustąpiła przed improwizacyą grającego, improwizacyą rozpaczliwą a zarazém usianą tu i owdzie uśmiechami ekstatycznéj radości, namiętną aż do szału to znowu rozlewającą się morzem sennych i łagodnych marzeń. Zgrzyty ponuréj żałości łączyły się tam z westchnieniami bezbrzeżnéj jakiéjś nadziei, burze szumiały i lały się łzy, wykrzyki i jęki topniały w przyciszone miłośne szepty. Nie była to gra prawidłowa ani czysta zupełnie, ani mistrzowska. Audytoryum złożone z wybrednych znawców nie zostałoby przez nią zachwyconém bezwarunkowo i trwale; jednak przypuszczać można, że na chwilę przynajmniéj mogłaby je ona porwać i unieść. Była to gra genialnego samouka, bezładna lecz porywająca gra szaleńca, który dla tego tylko może mistrzem nie został, że był szaleńcem. Słuchacze zebrani w izbie cmentarnego stróża nieruchomo poschylali twarze swe gęsto obrosłe lub blade i wychudłe nad stołem okrytym okruchami chleba i rozlaném tu i owdzie pi-

wem. Na stole, stała jeszcze misa wypróżniona, leżały w nieładzie drewniane łyżki i dopalała się w wielką brukiew oprawiona łojówka. Daléj, w czerwonawém oświetleniu dogorywającego ogniska, na tle żółtawego pieca, zarysowywała się gruba i ciężka postać zasłuchanéj Anastazyi; daléj jeszcze po za niziutkiemi otwartemi drzwiami, w sąsiedniéj izbie migotała jak blada iskra, lampka przed świętym obrazem płonąca, z ciemnego zaś kąta, z tego samego kąta w którym przed kilku laty, w pokorze i trwodze stanęła była wchodząc tu matka Sylwka, płynęła porywająca a nieprzerwana, w wiekuisty zda się strumień tonów przemieniona muzyka.

Kępa grał bardzo długo, nakoniec jednak grać przestał. Urwał w połowie taktu, opuścił w dół ramię ze smyczkiem i stęknął ze zmęczenia. Upłynęło kilkanaście sekund a nikt z obecnych nie wymówił ani jednego słowa i nie uczynił najlżejszego poruszenia. Wszyscy pozostali w postawach uprzednich jak skamieniali. Cisza zapanowała w izbie, niezupełna jednak: pośród niéj bowiem słychać było jakieś tłumione ciągłe, głębokie szlochanie. Po chwili, szlochanie to przebiło się do przepojonego jeszcze muzyką słuchu obecnych. Spojrzeli po sobie, obejrzeli się dokoła siebie. Dwie pary oczów, Anastazyi i bladego Antośka, zwilżone były łzami. Nie szlochali jednak. Szlochanie to odzéwało się kędyś z dołu, czyniło takie wrażenie jakby odgłos jego wychodził z pod ziemi.

— Wszelki duch pana Boga chwali! niosąc rękę do czoła szepnęła Anastazya.

— Zgiń maro, przepadnij! spluwając wykrzyknął Łukasz. Pan podróżny umarłych chyba muzyką swoją obudziłeś... ot, z mogiłek podziemnym jakimś korytarzem pod izbę moję podleźli i.... płaczą!..

— Kto płacze? zawołał Kępa, który w téj chwili dopiéro zbudził się z ekstazy i usłyszał to, czemu inni przysłuchiwali się już od minuty. Kto tam płacze? powtórzył i poskoczył w stronę, z któréj dochodziły nietylko nie ustające, lecz owszem coraz wzmagające się łkania. Odsunął ławę, odepchnął stół, pochylił się a gdy wyprostował się, w ramionach jego obecni ujrzeli płaczącego Sylwka. Dziecię, skurczone w kątku, pomiędzy ścianą a zydlem, przysłuchiwało się ciekawie rozmowom prowadzonym przy wieczerzy; kiedy Kępa grać zaczął, oczy jego zaiskrzyły się i błyszczały przez chwilę w cieniu jak dwie ponure iskry, potém łzy jak groch spadać zaczęły z długich rzęs jego na ciemne i chude policzki aż nakoniec zniknął on z kątka swego wsunął się pod stół przy którym siedzieli biesiadnicy i tam płakał. Pochwycony i wydobyty na światło, jak wąż wił się w ramio-

nach Kępy, usiłując się z nich wydobyć a obu drobnemi, ciemnemi dłońmi zakrywał twarz gorącą i spłakaną.

— Patrzcie państwo! wołała Anastazya, to łotrzyk ten płakał tam pod stołem! Poczekaj! dam ja ci zaraz za te beki! Wzięłam cię do chaty nie na to, żebyś beczał, ale żebyś mi czasem świat boży rozweselił...

— Nie dałaś mu klusek, Natasiu, zauważył Łukasz, tegoż pewnie i płakał.

Kępa całował dziecko i przyciskał je do piersi.

— Nie! zawołał, mylicie się, panie gospodarzu! dziecię to nie z łakomstwa płakało, ale ze wzruszenia. Gra moja poruszyła w dziecięcéj piersi jego jakieś struny tkliwości, żalu czy przeczucia. Dźwięki muzyki przyniosły mu może przed oczy jakieś podniebieskie, czarowne obrazy, może, niewyraźną mową jakąś, opowiedziały mu przyszłe jego cierpienia i męki... Rozumiem to, bom w latach dziecinnych doświadczał uczuć i wzruszeń podobnych... Widocznie, natura dziecka tego podobną jest do mojéj. Jest to natura ognista, głęboka.... wybrana!

Usiadł na ławie, Sylwka posadził na swych kolanach i łagodnie odjął mu dłonie od twarzy.

— Jakie prześliczne rysy! zawołał. Co za prawidłowość linij! jakie bogactwo karnacyi! Twarz ta dziwnie, dziwnie przypomina mi kogoś znanego.... dwie jakby znane osoby... Matko! czy to wasze dziecko?

Z pytaniem tém zwrócił się do Anastazyi. Niecierpliwa ciekawość brzmiała mu w głosie. Anastazya, jak zwykle bywało gdy ktokolwiek pytał ją o pochodzenie Sylwka, wybuchnęła gniewem i skargami...

— Moje dziecko! czy to moje dziecko! Alboż Pan Bóg Wszechmogący dał mi radość tę i to szczęście! Bezdzietnam! Ot, przybłęda to, podrzutek! benkart! Wzięłam go od matki na hodowanie, na lat dwa, trzy... no, niech kilka... Płacić mi miała... przyrzekała, przysięgała, po rękach całowała... Zlitowałam się nad tą niegodziwą... wzięłam... poszła i tyle już ją widziałem... Na oczy moje już ją nie widziałam... Zginęła, jakby w wodę wpadła... Cóż? na dwór dziecka nie wyrzuciłam, na ulicę nie wygnałam... hoduję, karmię, przyodziewam... a pociechy z tego żadnéj nie mam. Ponure to, krnąbrne, chaty nie lubi, po cmentarzu wciąż się włóczy i... kradnie!

Mówiła dłużéj jeszcze, długo bardzo podnosząc wciąż głos, chrypiąc i ciężko dysząc. Jedno i to samo powtarzała po wiele razy. Złorzeczyła przedewszystkiém matce, która jéj dziecko swe na kark rzuciła a sama jak poszła tak poszła.

— I co z nim będzie? zakończyła; my z Łukaszem nie długowieczni, edukować go nie mamy za co, ani też wiemy jak... Zamrzemy, i co potém? pójdzie to na włóczęgę po świecie i jeszcze, nie daj Boże, złoczyńcą jakim zostanie... Ot! nieszczęsne stworzenie i dość!

Ostatnie wyrazy wymówiła znacznie już łagodniéj odwróciwszy się twarzą do ognia smutnie głową wstrząsała.

Sylwek nie zakrywał już twarzy dłońmi. Oschłemi już i szeroko otwartemi oczami wpatrywał się w Anastazyą i widać było, że mowy jéj słuchał, słuchał, słuchał, z wielkiem natężeniem wszelkich swych władz umysłowych. Nieruchome źrenice jego pełne były jakiéjś mętnéj, głębokiéj zadumy.

Kępa słuchał téż mowy Anastazyi, ale z roztargnieniem widocznćm. Wpatrywał się wciąż w twarz Sylwka i zcicha mówił do siebie.

— Dziwne podobieństwo! dziwne, dziwne....

Potém, z nagłém uniesieniem i ze łzami, które mu do oczu nabiegły, całować począł usta, czoło i policzki dziecka.

— A! szepnął po chwili wstając, wspomnienie... mara przeszłości... senne marzenie...

Dokoła stołu, goście poruszać się zaczęli. Powstał gwar podziękowań i pożegnań. Wszyscy z kolei podchodzili do Kępy i podawali mu ręce, dziękując za piękną rozmowę, muzykę i honor....

— Honor ! podchwycił Kępa, o, żaden, żaden honor! Wyrazem tym, bracia moi, nie kalajcie sobie zacnych ust waszych! używają go ludzie próżni i pyszni... o! znałem takiego, który za honor niby kobiéty jednéj na śmierć się wystawiał a drugą kobiétę zgubił i zdeptał... Jam brat wasz... równy wam; szczęśliwy jestem, żeście mię polubili, że jednę przynajmniéj chwilę waszego uczciwego i pracowitego życia uprzyjemnić wam mogłem...

Wyszli wszyscy. Łukasz zwrócił się do Kępy.

— Przenocujecie u nas, panie podróżny, rzekł.

— Jeżeli pozwolicie, odpowiedział...

— Tylko bo to... zaczęła Anastazya; gdzież pan nocować będzie? Chyba my z Łukaszem tu na zydlach a pan...

— Za nic! zawołał Kępa, za nic, matko! nie przystanę na to, abyście dla mnie zwykłe miejsca spoczynku waszego opuszczali. Prześpię się tu na zydlu, albo na ziemi... i pościeli mi nie dawajcie żadnéj; pod głowę sobie tłómok mój podłożę a przykryję się swoim kożuszkiem...

Anastazya jednak przyniosła mu mizerną poduszkę jakąś i kawał staréj, sukiennéj siermięgi. W krótce potém, w domostwie cmentarnego stróża cicho było i ciemno. Lampka tylko dniem i nocą pło-

nąca przed świętym obrazem migotała blado w izdebce w któréj rozlegało się głośne chrapanie Łukasza i odzywał się od czasu do czasu ciężki kaszel Anastazyi. Kępa nie spał. W połowie nocy wstał z zydla, cicho bardzo zbliżył się do pieca, u stóp którego położył się do snu Sylwek. Potarł o piec zapałkę. Migotliwy płomyk oświetlał przez chwilę dziecko śpiące na garści chrustu rozsypanego i przykrytego szarym płóciennym workiem, z twarzą rozognioną i ku sufitowi zwróconą, z nagiemi ramiony zarzuconemi nad zczochraną gęstwiną czarnych włosów. Zapałka zgasła. Wzburzona twarz śpiącego dziecka i nędzna pościel jego wraz ze wznoszącym się nad nią żółtym piecem pogrążyła się w ciemności. Kępa rzekł cicho do siebie.

— Byłożby to jéj dziecko? Miałżebym trafić na jéj ślad?

(C. d. n.)

E. Orzeszkowa.

WALKA Z CENTRALIZMEM
W GALICYI.

(Ciąg dalszy).

Hasło do reorganizacyi w duchu autonomistycznym było wydane patentem cesarskim z dnia 20 Września 1865, wstrzymującym dalszą działalność szmerlingowskiéj rady państwa; wzięto się więc niebawem do pracy, zwłaszcza sejmy, które zaraz w jesieni rozpoczęły swoje obrady.

Sejm galicyjski otwarty został, po raz trzeci za czasów konstytucyjnych, na dniu 23 Listopada 1865; przewodniczył mu jak dawniéj, ks. Leon Sapieha, zastępcą marszałka był ks. Spirydyon Litwinowicz, unicki arcybiskup lwowski, który tak niewdzięczną odegrał rolę w Wiedniu, dając sygnały głosowania w duchu centralistycznym włościanom i księżom, stojącym pod jego komendą.

Po stronie rządu także zaszły zmiany: władzę namiestnika piastował br. Baumgardten, feldmarszałek nie rozumiejący się na administracyi, ale człowiek ludzki i wyrozumiały. Pomiędzy radcami namiestnictwa wybił się już br. Possinger na bardzo znaczące stanowisko i został komisarzem rządowym w sejmie. Rząd jednak na zewnątrz tylko zmienił dekoracyą, w prezydyum namiestnictwa zawsze bowiem p. Summer był wszechwładnym baszą, znamionując każdego, kto tylko się starał, choćby w najlegalniejszy sposób, o podniesienie kraju i narodowości, jako należącego „zu der polnischen Umsturzpartei.“ Pan Sumer dobrał sobie kilku urzędników, którzy jeszcze go przewyższali nienawiścią wszystkiego co polskie i protegowaniem najrozmaitszych w kraju żywiołów, aby tylko przeszkadzać rozwojowi kraju w duchu autonomicznym. Do nich należał p. Hehn, szef wydziału szkolnego w namiestnictwie, który pisząc w wolnych godzinach historyą cywilizacyi germańskiéj w Galicyi przyszedł do przekonania, że nawet w obec konstytucyi będzie można kraj daléj

zniemczać, gdyż przy dobréj woli da się osięgnąć w sejmie większość, złożona z urzędników Niemców, z Żydów zniemczonych i ze stronnictwa ks. Litwinowicza. Trzecim w szlachetnym związku był p. Wolfahrt, naczelnik cyrkułu złoczowskiego, były ulubieniec Mensdorfa, człowiek z szatańską na kraj zawziętością.

Marszałek, ks. Sapieha, człowiek bardzo wytrawny, umiarkowany, nie dość dotąd wysoko oceniony, prawdziwy mąż stanu, otworzył sejm krótką, ale pełną znaczenia przemową. Wyraziwszy ufność, że tym razem będzie się mógł sejm naradzać bez przerwy i swobodnie nad przyszłą organizacyą kraju, ostrzegał doświadczonym głosem, aby pamiętano „że trwały budynek nie stawia się od razu, ale tylko kładąc cegiełkę po cegiełce i bacząc, by każda na silnéj spoczywała podstawie.“ Ostrzeżenie to było tém potrzebniejsze, o ile że dziennikarstwo w najnierozważniejszy sposób wyprzedzało wypadki, jątrzyło i dawało tylko panu Summerowi sposobność pisania do Wiednia, że galicyjski sejm doprowadzi z pewnością do rewolucyi.

Trzechkrotny okrzyk, po przemówieniu marszałka, „Niech żyje konstytucyjny cesarz i król nasz,“ powtórzony był tym razem z prawdziwym entuzyazmem.

Namiestnik przemówił po niemiecku, bo po polsku nie umiał, była to jednak ostatnia niemiecka mowa w galicyjskim sejmie. Żołnierską swą prostotą i szczerością, po za którą nie było znać centralistycznych zachcianek zrobił dobre wrażenie. „Wejdźcie na wolną drogę, z pełném do rządu zaufaniem (Betreten sie diese *freie Bahn*)“ mówił, a tym razem, może po raz pierwszy w Galicyi nie czuć było w powietrzu téj zmory nieufności, która dotąd towarzyszyła wszelkiéj z rządem styczności.

Dobremu usposobieniu sejmu dał zaraz wyraz marszałek, motywując w kilkunastu słowach potrzebę bezzwłocznego uchwalenia dziękczynnego adresu do Najjaśniejszego pana.

Zajęto się na tém samém posiedzeniu ułożeniem adresu, pomimo wiecznéj opozycyi hr. Aleksandra Borkowskiego, który chciał odjąć temu aktowi charakter prawdziwego w téj chwili uczucia i rad był zrobić z niego temat długiéj politycznéj dyskusyi. Sejm jednak nie poszedł za tą radą, któraby była oziębiła ten akt wdzięczności, i uchwalił adres prawie wszystkiemi głosami.

Stronnictwo ks. Litwinowicza postąpiło tutaj w najwyższym stopniu niekonsekwentnie, głosując za adresem i zasłużyło sobie na bardzo złą notę u centralistów. Centraliści bowiem myśleli, że mają w niém sprzymierzeńca z przekonania i mogą nań liczyć jak na Zawiszę, tymczasem głosowanie za adresem oblało ich zimną wodą;

przekonali się, że mają przed sobą karyerowiczów, którzy wczoraj szli ze Szmerlingiem, dla tego, że od niego mogli się spodziewać ministeryalnych posad, różnorodnych ułatwień, łask itd., dzisiaj zaś dziękują cesarzowi za to, że zniszczył dzieło Szmerlinga i zaczynają się podchlebiać Belcrediemu, wiedząc, że od dawniejszego ministra nic więcéj otrzymać się nie da.

Uchwalony adres nosił na sobie, mimo dorywczości z jaką był napisany, obok cechy uczucia także i cechę polityczną, a dziękując monarsze za łaski jakiemi naród obdarzył, brał go zarazem za słowo, że w duchu manifestu daléj postępować będzie. Adres skonstatował przedewszystkiém i podniósł to, co cesarz powiedział, że instytucye zaprowadzone ustawą o reprezentacyi państwa nie zdołały dać pożądanéj rękojmi interesom całego państwa i poszczególnych krajów koronnych. Przechodząc następnie do objawionéj woli monarszéj, aby w umocnieniu potęgi państwa szukać podwalin przyszłéj konstytucyjnéj budowy, nie zapominał położyć nacisk na to, że cesarz słusznie upatruje to umocnienie w sprawiedliwém uwzględnieniu różnic, jakie zachodzą pomiędzy krajami i w historycznym tychże rozwoju, tudzież we współdziałaniu ludów w prawodawstwie i zarządzie finansów, przez uchwały legalnych reprezentacyj.

Adres wrócił następnie raz jeszcze do tego przedmiotu i pozwolił sobie wynurzyć nadzieję, „iż w tych przyszłych ustanowieniach, o których orzekać mają reprezentacye królestw i krajów, dostąpią także słusznego uwzględnienia właściwe, na podstawach historycznych i narodowych oparte, żywotne naszego kraju potrzeby“ a kończył się znaczącemi słowami: „Pełni przeto otuchy i przejęci wdzięcznością składamy u stóp waszéj Cesarskiéj Mości zapewnienie niezłomnéj wierności i niezmiernego przywiązania do Twéj Najj. Panie najdostojniejszéj osoby i do Twego z chwałą panującego nam Domu.“

Po uchwaleniu tego aktu wdzięczności wzięto się do organizacyjnéj pracy, a było jéj nie mało. Sam rząd przedłożył całą seryą nadzwyczaj ważnych projektów do ustaw, a więc i do ustawy gminnéj, ustawy o obszarach dworskich, o radach powiatowych, o budowie i utrzymywaniu dróg publicznych nieskarbowych, o spółudziale w utrzymywaniu kościołów i szkół, o uregulowaniu stosunków stanowego zakładu kredytowego, ustawę o środkach celem zmniejszenia ubóstwa, ustawę o księgach gruntowych i podziale administracyjnym kraju. We wnioskach wydziału krajowego i poszczególnych posłów miała przyjść nadto na porządek dzienny organizacya wychowania publicznego, organizacya służby krajowéj, kwestya propinacyjna i wiele innych spraw, do których następnie przyjdziemy.

Było się więc nad czém zastanowić, nad czém popracować, ale czy siły były po temu? Niestety! dużo miejsca na sejmowych ławach zajmowali włościanie nizkiego wykształcenia, księża uniccy, którzy w tak trudnych pracach żadną nie mogli być pomocą, a uderzmy się w piersi, że nawet nie wszyscy wybrani z większych posiadłości godnie mogli odpowiedzieć zadaniu. Jednak otuchę mieć było można, znalazło się dużo ludzi zdolnych, dużo chętnych, a z tych ostatnich nie jeden stał się późniéj nader pożytecznym człowiekiem parlamentarnego organizmu Galicyi i Austryi.

Ponieważ z nimi nieraz spotkać się nam przyjdzie, przeto weźmy na chwilę wykaz posłów z roku 1865, wyliczmy ważniejsze przynajmniéj nazwiska i zobaczmy, jak się te nazwiska mniéj więcéj ugrupowały.

Bezsprzecznie najważniejszą tego sejmu osobistością był hr. Agenor Gołuchowski, były namiestnik; cały kraj widział w nim człowieka chwili, człowieka znającego dokładnie społeczeństwo i jego potrzeby i posiadającego dość energii, aby w sposób praktyczny dobijać się praw autonomicznych. Że go uważano za reprezentanta, którego w sejmie nie mogło brakować, najlepiéj dowodzi, iż przy uzupełniających wyborach nazwisko jego wyszło z urny, aż w trzech miejscach, na prowincyi, a mianowicie w Złoczowie (mimo niechęci p. Wolfahrta), w Stryju i w Sączu. Były namiestnik przyjął jednak wybór najzaszczytniejszy, we Lwowie, témbardziéj, iż chciał okazać największym swym ówczesnym przeciwnikom, Żydom lwowskim, że nie jest wstecznym mężem stanu, za jakiego go okrzyczeli centraliści, ale że żąda od nich pracowania z narodem na wspólnéj niwie. Agitacya przed tym wyborem była ogromna, p. Summer wypuścił całą sforę posłusznych sobie biurokratów, wpływał jak mógł i umiał na Żydów, aby nie wybierali Gołuchowskiego, przeczuwał bowiem, że ten człowiek *porządku*, daleko mu jest groźniejszym, aniżeli dziesięciu brukowych krzykaczy. Z drugiéj znów strony namiętnemi wycieczkami przeciw Żydom, zamieszczanemi w „Gazecie Narodowéj,“ podnieceni przedmieszczanie nie występowali ze zbytnią łagodnością. Przyszło też przed ratuszem, gdzie się odbywały wybory, a nawet w korytarzach ratusza do scen gorszących, do bójek na pięście i noże, tak dalece, że policya występować musiała, ale koniec końcem Gołuchowski znaczną większością został wybrany. Pojął też, że jemu przypada wziąć ster praktycznéj, utylitarnéj polityki do ręki i ugrupował około siebie jak najwięcéj posłów.

Dążenia posłów polskich były wtedy tak jasne, że nie było pomiędzy nimi wybitnie różniących się stronnictw, jedyny może odcień dwóch większych odłamów leżał w bardziéj utylitarném, a mniéj za-

sadniczém pojmowaniu téj lub owéj kwestyi, co się osobliwie uwydatniło, jak to niżéj zobaczymy, przy pojmowaniu ustawy gminnéj. Posłowie ze wschodniéj części kraju, z wyjątkiem kilku przechylali się więcéj do utylitarnego kierunku, już może i z tego zupełnie się wytłómaczyć dającego powodu, że znając bliżéj hr. Gołuchowskiego łatwiéj ulegali jego wpływowi.

Do tego wybitnie utylitarnego zastępu należało wielu posłów. Wyliczmy nieco nazwisk: a więc przedewszystkiém poseł kołomyjski Kajetan Agoprowicz, który przez długi czas rozpoczynał listę poselską, Ormianin, członek tego odłamu galicyjskiéj ludności, która prawdziwy krajowi przynosi zaszczyt. Są to ludzie wytrwali, pracowici, oszczędni, w życiu publicznėm umiarkowani i stanowią bezsprzecznie bardzo silny filar społecznéj budowy w Galicyi. Poseł Agoprowicz przyczyniał się swym praktycznym, zdrowym zmysłem do rozświecenia nie jednéj kwestyi i był promotorem ustawy o zarazie bydła, która w swych skutkach wiele strat materyalnych krajowi oszczędziła.

Więcéj niezawisły, drugi poseł kołomyjski, Antoni hr. Golejewski, dowcipny w swych krótkich przemowach, umiał osobliwie w kwestyi drogowéj niejednokrotnie wielką być sejmowi pomocą. Był to zresztą jeden z tych posłów, którzy swym zdrowym rozsądkiem trafiali, jak mówią, każdą rzecz w sedno i tym sposobem wiele drogiego oszczędzali czasu.

Posłowie Alojzy Bocheński, Apolinary Hoppen, Tomasz Horodyski, Stanisław Polanowski, Dr. Jan Czajkowski, również dalecy byli od tworzenia sobie politycznych ideałów, a tém bliżsi praktycznych zdobyczy.

Oktaw Pietruski, członek wydziału krajowego, znakomity prawnik, dawniejszy radca sądu, człowiek umiarkowany, niezmordowanéj pracy i nader jasnego umysłu. Dr. Maurycy Kabat, adwokat lwowski, również niepospolity jurysta, późniejszy profesor procedury cywilnéj na uniwersytecie lwowskim, sprawozdawca w wielu kwestyach prawniczych, a w radzie państwa do najnowszych czasów wielce ceniony pracownik w specyalnych komisyach. Dr. Michał Gnoiński, syndyk instytutu kredytowego ziemskiego, od dawna towarzysz księcia Leona Sapiehy w pożytecznych pracach około dobra publicznego w Galicyi, dzisiejszy burmistrz miasta Lwowa, wielkiéj prawości i wytrawnego umysłu. Felicyan Laskowski, dyrektor towarzystwa kredytowego, również współpracownik księcia Leona Sapiehy, wszechstronnie wykształcony, wytrwały w działaniu, bardzo był sejmowi pożyteczny przy zmianie ustawy Towarzystwa Kredytowego. Zasiadał następnie w sejmie p. Edward Gniewosz, dzisiejszy

radca ministeryalny, w ministerstwie oświaty w Wiedniu i członek rady państwa, wtedy sekretarz namiestnictwa, już przez to samo, że był urzędnikiem administracyjnym i rozległe w swym zawodzie posiadał wykształcenie, bardzo się przydawał w sejmie. Należał tutaj także poseł Zygmunt Kozłowski, który wtedy rozpoczynał swój parlamentarny zawód, a dzisiaj z wielkim dla kraju pożytkiem pracuje w sprawach kolejowych w wiedeńskiéj radzie państwa.

Zazwyczaj zbliżali się do tego samego odłamu grona sejmowego posłowie także ze wschodniéj części kraju, wybitne bardzo i zasłużone osobistości, a mianowicie posłowie przemyscy: Maurycy Kraiński i Seweryn Smarzewski, tudzież poseł lwowskiéj większéj posiadłości, Korneli Krzeczunowicz.

O p. Maurycym Kraińskim, jużeśmy w poprzednim mówili artykule i dość wysoko postawić go nie możemy. Człowiek skromny, nie goniący zą popularnością, nie zyskał jéj też w tym stopniu, w jakim sobie na nią zasłużył. Gdy się jednak przejdzie te czynności, te zachody w życiu publiczném Galicyi, które wymagały wielkiéj pracy, wielkiéj wytrwałości i gruntownego, fachowego wykształcenia, tam się zawsze spotkamy z nawiskiem Kraińskiego. Pracował on dawniéj w wydziale stanowym, obecnie zastępował marszałka w wydziale krajowym i on to piérwszy z galicyjskich posłów przemawiał z mownicy sejmowéj, w czasach konstytucyjnych. Kiedyś potomność Galicyi zapisze Maurycego Kraińskiego pomiędzy najlepszymi synami kraju.

Równie wysoko powinniśmy podnieść posła Seweryna Smarzewskiego, jako nader logiczną głowę, jednego z najlepszych mówców, jakich dotychczas posiada Galicya, sprawozdawcę w wielu trudnych kwestyach. Późniéj chodził często p. Smarzewski w polityce własnemi drogami, bywał jak to mówią „dzikim,“ dzisiaj zajmuje w delegacyi polskiéj w Wiedniu jedno z najzaszczytniejszych stanowisk.

Któż z nas wreszcie nie zna p. Kornela Krzeczunowicza, który miał tę odwagę, aby nie zapuścić w dziewiczy las ustawodawstwa podatkowego w Austryi i po długoletniéj pracy, po wytrwałości bez granic, stał się nietylko najkompetentniejszym pod tym względem posłem w Galicyi, ale w całéj monarchii. Niczém niezrażony, żadnych trudności nie widzący przed sobą Kreczunowicz zawsze stoi na wyłomie interesów finansowych Galicyi, zawsze swą wiedzą, swym bystrym często dowcipem umié je godnie zastępować. O pośle Ziemiałkowskim, głównym tego stronnictwa filarze, późniéj mówić nam przyjdzie.

Posłowie Kazimierz Grocholski, a często i Ludwik Skrzyński, stali niejako na rozdrożu pomiędzy frakcyą utylitarną a więcéj zasadniczo zapatrują się na bieżące kwestye. Zresztą stanowisko dzisiejszego prezesa koła polskiego przyjdzie nam również wyjaśnić przy specyalnych sprawach; poseł Ludwik Skrzyński nie wiązał się prawie nigdy z żadném stronnictwem, miał często zupełnie odrębne i samoistne zapatrywania, a swą znajomością ekonomii społecznéj, zagranicznego prawodawstwa przynosił nieraz sejmowi nową myśl, swym dowcipem bywał niebezpiecznym przeciwnikiem.

Rzecz to zupełnie naturalna, że posłowie z jednych i tych samych okolic, znający się od dawna, może od dzieciństwa, łatwiéj się ze sobą łączyli, osobliwie, jeżeli pewne prowincyonalne uprzedzenia, czasem nawet słuszne, z lekka ich odgraniczały, od posłów z innych okolic. Nie będzie to nas zatém dziwić, jeżeli od samego początku czuć było w sejmie, że posłowie z zachodniéj części kraju ze sobą trzymają, tém bardziéj, że trudniéj im było aniżeli komu innemu z całą szczerością przystąpić do hr. Gołuchowskiego, który niejednego z nich sobie zraził za piérwszego swego urzędowania. Z większego zbliżenia się w życiu pochodziły naturalnie i zbliżone zapatrywania się w kwestyach politycznych, ztąd téż widywaliśmy tych posłów po większéj części głosujących razem, dążących wprawdzie do tych samych celów co posłowie grupujący się około hr. Gołuchowskiego, ale różniących się czasami od tamych w wyborze środków.

Wybitnych indywidualności było w tym odłamie sejmu także nie mało, widomą jednak głową frakcyi był hr. Adam Potocki, o którym mówić nie potrzebujemy, bo zna go cały naród polski jako człowieka wielkiego serca i znakomitego ducha polotu. Potocki zajął się szczególnie kwestyą edukacyjną i razem z Drem Dietlem, profesorem Majerem wielkie pod tym względem krajowi oddał usługi. Dr Dietl robiąc w téj mierze obszerne studya napisał nawet wówczas bardzo zajmującą i pożyteczną książkę o urządzeniu szkół. Dopomagał im p. Zygmunt Sawczyński, były profesor gimnazyalny, późniéj współredaktor „Czasu,“ po utracie publicznéj posady pod centralistyczném ministerstwem Szmerlinga. Poseł Sawczyński i Teodor Szemelowski, adwokat z Sambora wraz z kilkoma innymi posłami zaznaczali zawsze swoje polskie stanowisko, pomimo, że należą do obrządku unickiego. W przeciwieństwie z partyą ks. Litwinowicza, każdy z nich mówił, że jest *gente Rutenus*, *natione Polonus*, wpływ ich zatém i z tego względu bardzo był w sejmie pożądany.

Samo miasto Kraków wybrało dość słabych reprezentantów: profesora uniwersytetu Dra Michała Koczyńskiego, Ignacego Lipczyń-

skiego i Dra Szymona Samelsohna, inni krakowianie ratowali też znaczenie miasta, a pomiędzy innymi Henryk hr. Wodzicki, dobry mówca, człowiek doświadczony w rzeczach publicznych, a przytém rozległe posiadający wiadomości, Dr Jędrzéj Rydzowski, adwokat krakowski, który się późniéj bardzo zasłużył krajowi ustawą o lichwie. Hr. Ludwik Wodzicki, dzisiejszy marszałek sejmowy, także już wówczas dawał się poznawać ze swéj politycznéj zręczności, ze swéj łatwości w mówieniu, jasnego przedstawienia rzeczy i taktu w postępowaniu z ludźmi. Jako jeden z najmłodszych posłów był sekretarzem marszałka i miał sposobność praktycznie zapoznać się z regulaminem sejmowym, nad którego zachowaniem późniéj mu czuwać przyszło. O krakowianinie pośle Zyblikiewiczu, mówić nie potrzebujemy... Do téj grupy należeli następnie posłowie Franciszek Paszkowski, Leonard Wężyk i kilku księży z zachodniéj części kraju.

Postacią prawdziwie patryarchalną, dziwnie poważną i sympatyczną, był ś. p. książę Władysław Sanguszko, z Gumnisk, pod Tarnowem. Zdrowym swym sądem, jasnym a doświadczonym umysłem, dalekim od nowoczesnego doktrynerstwa umiał on w niejednéj sprawie do publicznego przyczynić się dobra, nie jedno zbyt ostre złagodzić wystąpienie.

Dr. Leon Zbyszewski, adwokat z Rzeszowa, obecny dyrektor banku włościańskiego we Lwowie, przechylał się wtedy więcéj do stronnictwa krakowskiego, mianowicie w zapatrywaniu się na ustawę gminną.

Bardzo skrajne federalistyczne stronnictwo reprezentowali Dr. Smolka, Dr. Klemens Butowski, adwokat z Tarnowa i Dr. Juwenal Brochowski. O piérwszym jużeśmy mówili, drugi mniéj więcéj szedł równolegle ze Smolką, trzeciego zwano c. k. radykałem, gdyż pomimo że był urzędnikiem należał do najskrajniejszych w galicyjskim sejmie umysłów. Bardzo zdolny, często cierpki i niedowierzający, nieraz pożyteczny swym w wysokim stopniu krytycznym zmysłem.

O pośle Aleksandrze Borkowskim, ostatecznéj lewicy w sejmie galicyjskim, wspominaliśmy kilka razy, a wyznać musimy, żeśmy się nigdy w nim nie mogli dopatrzéć politycznego męża, ale tylko znakomitego, na chwilę porywającego oratora, któremu nie chodzi o rzecz, ale o olśnienie słuchaczy swą wymową.

To były mniéj więcéj siły dodatnie, którémi sejm rozporządzał. Wypuściliśmy może kilkunastu pożytecznych posłów, niepodobna nam jednak wszystkich przechodzić po nazwisku. Przypatrzmy się jeszcze grupie antynarodowéj, która na każdym kroku tamowała

czynności sejmowe, wychodząc z tego przekonania, że najlepiéj było za dawniejszych czasów gdy się o konstytucyi nikomu nie marzyło.

Przedewszystkiém więc Niemcy, biurokraci: p. Andrzéj Seidler poseł z Biały, prowizoryczny, przez rząd narzucony burmistrz krakowski, Mejer Kallir, prezes izby handlowéj brodzkiéj, który dotychczas jeszcze nie pogodził się z narodowym rozwojem Galicyi, Eugeniusz Mor, rektor uniwersytetu lwowskiego i po części także Dr. Maksymilian Landesberger, adwokat z Kołomyi, który sam nie wiedział na jakim usiąść stołku, i dopiéro po zamianowaniu Gołuchowskiego namiestnikiem uwierzył cokolwiek w autonomią.

Wprawdzie nie Niemcy, ale gorsi od nich byli pp. Jakób Kulczycki i Ambroży Janowski, inspektorowie szkolni, protegowani Hehna i Summera. Ich podszeptów słuchał także trzeci pedagog, Teodor Biłous, ówczesny dyrektor gimnazyum w Kołomyi. Pomiędzy księżmi unickimi odznaczali się gwałtownością ks. Jakób Szwedzicki, ks. Teofil Pawlików, ks. Michał Malinowski, ks. Antoni Pietrusiewicz, ks. Michał Kuziemski, wszyscy kanonicy od św. Jura, tudzież ks. Jan Guszalewicz, katecheta gimnazyalny, ks. Jan Naumowicz, pleban z Przemyśla, ks. Antoni Juzyczyński rektor gr. kat. seminaryum duchownego, ks. Antoni Dobrzański i ks. Józef Łoziński, plebani z Walawy i z Jaworowa, wszystko — umysły nieprzejednane, do których ani rozsądkiem, ani podaniem przyjaznéj ręki trafić nie było można.

Jedynym z tego stronnictwa, z którym można było traktować, nie spotykając na bardzo złą wolę, był poseł Julian Ławrowski, radca sądu krajowego ze Lwowa. Ale nie był to człowiek błyszczących zdolności i silnego charakteru, dał się więc bardzo często teroryzować księżom i sam nie miał nigdy stanowczego wpływu.

Takie więc siły i obozy zabierały się do sejmowéj pracy.

Piérwszym przedmiotem obrad był naturalnie regulamin sejmu, na którego uchwalenie nie było dość czasu, ani na piérwszéj, ani na drugiéj sesyi. Z powodu regulaminu wystąpiła kwestya wewnętrznéj polityki pod postacią kwestyi języka urzędowego w uchwałach sejmu. Dotychczas każdy przemawiał w sejmie w tym języku, którym podobało mu się mówić. Posłowie rozumieli głos każdego. Zdawałoby się przeto, że nikomu krzywda się nie dzieje, że wszyscy mogli być zadowolnieni. Ale trudno zadowolnić tych, którzy, bądź co bądź, w roli pokrzywdzonych ukazywać się pragnęli.

Sygnał do walki dał ksiądz Pawlików, za nim prawie każdy z księży unickich miał sobie za obowiązek namiętnie występować. Żądania téj partyi sformułował ks. Pietrusiewicz we wniosku, które-

go przeprowadzenie w praktyce było niemożliwém, i groziło, według zdania hr. Gołuchowskiego, „zamętem w załatwianiu spraw.“ I chyba tylko o sprowadzenie tego zamętu chodziło napastnikom, bo, aby się przekonać, że nie byli szczerzy, dość powiedziéć, że w samym nawet sejmie, jak zauważył któryś z mówców, znalazłoby się było zaledwie kilkunastu, a może i mniéj posłów, którzyby byli w stanie poprawnie pisać w języku, za którym się niby ujmowali.

Ze strony popiérającéj wniosek odwoływano się do historycznego stosunku Rusi z Polską, przywoływano prawa z Voluminów legum, wreszcie cytowano Lindego (!), Czackiego, Daniłowicza, na dowód swych zapatrywań.

Słuszną jednak była odpowiedź, że wszystkie te wywody nie są na miejscu, gdyż nikt nie zaprzecza nikomu używania jego języka, nawet w sejmie, jak to najmocniéj świadczy wniosek komisyi, o którym zaraz powiemy.

Za dalekoby mnie to zaprowadziło, gdybym chciał przytaczać wszystkie argumenta mówione z jednéj i z drugiéj strony, mówiono w téj mierze bowiem bardzo wiele... Przyznać jednak trzeba, że Polska większość mówiła prawie zawsze bardzo umiarkowanie i chętnie wyciągała rękę do porozumienia. W rezultacie dyskusyi uchwalono też wniosek wydziału krajowego, który uprawnił oba języki krajowe w obradach, protokułach i sprawozdaniach, a marszałka sejmowego zarówno jak wydział krajowy zobowiązał do odpowiadania w tym języku, w jakim uczynione było do nich podanie.

Wniosek ten został uchwalony i stał się podstawą uregulowania językowych stosunków w galicyjskich urzędach, następnie bowiem ta sama zasada, przyjęta dla urzędów autonomicznych, przeszła także do rządowéj administracyi i do sądownictwa. Czas późniejszy okazał, że przesadzone żądania pod tym względem stawiane przez stronnictwo ks. Litwinowicza nie miały rzeczywistéj w społeczeństwe podstawy, gdyż obecnie w praktyce się okazuje, że na 1.000 podań do władz wchodzi zaledwie *pięć* a najwyżéj *dziesięć* w języku rusińskim.

Spór ten wszakże, podsycany jeszcze przez nierozważne dziennikarstwo, przyczynił się do wielu rozterek, a centralistycznym dziennikom w Wiedniu dał powód do deklamacyi o niemożliwości oddania rządów w ręce polskie i t. d.

Po kwestyi języka najważniejszym bezsprzecznie przedmiotem obrad sejmu była ustawa gminna.

Od czasu zniesienia byłych dominiów, reprezentujących organizacyą, odpowiadającą pojęciom pańszczyźnianym, w których wła-

ściciel dóbr tabularnych spełniał zwierzchnictwo nad włościańskiemi gromadami, zwanemi pospolicie gminami, pozostawała Galicya w najzupełniejszéj społecznéj anarchii. Wydawano, jak zwykle, w biurokratycznéj Austryi prowizoryczne przepisy, jak: „Prowizoryczne postanowiena z 10 Maja r. 1856 o urządzeniu gmin (gromad)“ i „Instrukcyą dla wójtów gminy (gromady),“ ale te przepisy zaledwie jaki taki utrzymywały porządek w osadach włościańskich, niedostateczny wszakże, aby samorząd gmin mógł się wyrobić. Nie chcąc zaś właścicieli tabularnych, a tém samém dawnych zwierzchników gmin, odrazu podporządkować pod niewykształcony zarząd gminny, zapytano się ich, czy chcą odosobnienia, czy téż radzi uledz zarządowi gminy, łącząc swoje posiadłości z obszarem gromadzkim? Właściciele dominikalni, z wyjątkiem niewielu, oświadczyli się prawie jednogłośnie za odosobnieniem od gromad.

W ten sposób pozostały tak zwane *obszary dworskie*, którym równe nadano prawo jak przełożonym gromadzkim i równe na nich włożone obowiązki.

Na téj istniejącéj już podstawie wypracował rząd swoje przedłożenie do ustawy gminnéj i ustawy o obszarach dworskich, wkładając szczegółowe galicyjskie stosunki, w ramy powszechnéj ustawy gminnéj, wydanéj dla całego państwa 5 Marca r. 1862. Jako trzecią ustawę dopełniającą organizacyą społeczną, przedłożył rząd ustawę o radach powiatowych, ciałach pośredniczących pomiędzy gminą a najwyższą władzą zarządu autonomicznego, to jest wydziałem krajowym.

Wnioski te wywołały w sejmie trojakie zapatrywania się, wybitnie od siebie się różniące i stały się powodem do jednego wniosku większości sejmowéj i wniosków dwóch mniejszości.

Trzeba wiedzieć, że przedkładając swój projekt do ustawy gminnéj dał rząd przez swego komisarza wyraźnie do poznania, że zgodzi się tylko na takie modyfikacye tego projektu, które nie wyjdą po za zakres zasad i granic, wytkniętych w obowiązującéj w innych prowincyach ustawie gminnéj z roku 1862, o któréj wspomnieliśmy powyżéj. Gdyby zaś sejm chciał w przedłożeniu rządowém *zasadnicze* przeprowadzić zmiany, w takim razie cesarz odmówi uchwalonéj ustawie swéj sankcyi. Biurokracya, układająca projekta do ustaw, niczego się tak nie obawiała, jak tego, aby która z prowincyj nie wyszła w swych instytucyach po za ogólne dla całego państwa zrobione ramy i przedstawiała każde zboczenie od zakreślonych zgóry prawideł, jako zamach na jedność i wielkość państwa.

W obec kategorycznego oświadczenia komisarza rządowego trzeba było, albo trzymać się zasad przez rząd wytkniętych, albo się

narażać na nowe prowizorya i odwlekać na Bóg wié jak długo organizacyą gminną. Stosunki jakie nagliły, aby jaki taki przywrócić ład społeczny, a stronnictwo utylitarne wystąpiło tutaj po raz piérwszy ze swą przewagą, aby przeprowadzić taką ustawę, jaka w obec deklaracyi rządu była możliwą.

Znalazła się wszakże bardzo poważna, ze znakomitych posłów złożona mniejszość, do któréj należał także hr. Adam Potocki, która wychodziła z tego stanowiska, że gminy powstałe na podstawie dotychczasowych gromad nie będą miały dość sił żywotnych, aby się rozwijać, tudzież, że wprowadzając organizacyą gminną nie należy pod jedno prawo i jedno znaczenie podciągać miast i osad wiejskich. W piérwszych bowiem doprowadza urządzenie gminne do coraz większego samorządu i niezawisłości, tworzy w kraju całości odrębne, posiadające nietylko środki wystarczające zadaniom własnego zarządu, ale i zaród dalszego postępu. Na wsi nie ma zazwyczaj tych warunków, i tak dla braku liczniéj skupionéj ludności w jednych miejscach, jak i ze względu na różnorodność składowych żywiołów, organizacya gminna wiejska musi nietylko obejmować większe przestrzenie, aby celowi swemu odpowiedziéć i uzyskać przynależne znaczenie, jako piérwszy stopień administracyi kraju, ale zarazem starać się oprzéć na wszystkich bez wyjątku żywiołach, ustrój wiejski stanowiących.

Bezwzględne wyłączenie obszarów dworskich ze związku gminy było zdaniem mniejszości zapoznawaniem najżywotniejszych potrzeb kraju, tém zgubniejszém, że uprawniałoby fakt, który w przyszłości nie byłby może do usunięcia.

Mniejszość sejmowa wypowiadała téż w swym projekcie do ustawy zasadę: „że te tylko osady stanowić mogą samoistne gminy, które prawnie uznane będą jako posiadające środki do wypełnienia praw i obowiązków na nie spływających. Samo zaś pojęcie gminy, jako części składowéj całego organizmu krajowego, wyklucza możność, aby po za nią stały odrębne organiczne ciała, a przeto, aby tak zwane obszary dworskie były wyłączone ze związku gminnego.“

Większość, podobnie jak mniejszość, uznawała także nieprawidłowość wyłączania obszaru dworskiego z gminy, uważając ten stosunek jednak za konieczny, stosunek przejściowy, nie wykluczała możności łączenia się obszaru dworskiego z gminą i pozostawiała to woli właściciela tego obszaru.

Trzecie nareszcie stronnictwo w izbie, stronnictwo księdza Litwinowicza, chciało głosować za przedłożeniem rządowém ustawy gminnéj i ustawy o obszarach dworskich bez jakichkolwiek zmian,

aby się przypodobać ministerstwu, przeciwném jednak było zaprowadzeniu rad powiatowych, wychodząc z téj zasady, że dlań wszelka autonomia jest szkodliwą, a najlepsze czasy były za rządów Stadiona i Bacha. Jak poważném liczebnie było jeszcze wówczas to stronnictwo, to dość powiedzieć, że przy imiennem głosowaniu za zaprowadzeniem rad powiatowych głosowało przeciw ustawie 50 posłów. Ustawa jednak przeszła 76 głosami.

Większość utylitarna pozostała także zwycięzcą co do ustawy gminnéj i ustawy o obszarach dworskich i odtąd stała się przez dłuższy czas rządzącą partyą w galicyjskim sejmie. Członków do niéj należących nazwano „Mamelukami,“ gdyż karnie trzymali się hasła wydanego przez przewódców. Przy innéj sposobności będziemy mogli podnieść zalety tego stronnictwa i całe tegoż znaczenie w przyszłéj polityce galicyjskiéj, co do stanowiska zaś jakie to stronnictwo zajęło w obec ustawy gminnéj musimy wyrazić przekonanie, że inaczéj nie dało się postąpić. Sami należymy do zwolenników zasady gmin zbiorowych i sądzimy, że wiele złego w administracyi gmin byłoby się nie stało, mianowicie mnóstwo majątków gminnych nie byłoby roztrwonionych, gdyby była możliwość przeprowadzenia ustawy o gminach zbiorowych. Gdy téj możliwości wszakże nie było, stało się lepiéj, że przyszło do organizacyi gmin na podstawie powszechnéj ustawy gminnéj, aniżeli gdyby było nastąpiło jakie prowizoryum. Dalsza dezorganizacya byłaby bowiem wyszła na złe krajowi i opóźniła autonomiczny rozwój Galicyi. Tym sposobem zaś przeszła już autonomia w krew ludności i bezsprzecznie zyskała sobie uznanie pomiędzy włościanami. Jesteśmy téż przekonani, że gdyby dzisiaj ci sami posłowie znaleźli się w sejmie co w roku 1865 i po raz wtóry przyszło im głosować nad zaprowadzeniem rad powiatowych, to przeciw zaprowadzeniu głosowaliby tylko sami księża uniccy, pomiędzy włościanami jednak nie znaleźliby powolnych sobie towarzyszy.

Organizacyi kraju miał dopełnić przedłożony przez rząd projekt podziału administracyjnego królestwa Galicyi z W. Ks. Krakowskiém, a właściwie projekt urządzenia władz politycznych. Rozdział władz administracyjnych od sądowniczych nie był dotąd przeprowadzony w Austryackiéj monarchii. Za czasów ministeryum Schmerlinga zaczęto się tą myślą zajmować, ale dopiéro Belcredi podjął ją z całą energią, jak tylko stanął na czele ministeryum stanu. Największą trudność napotykał minister w kwestyi finansowéj téj sprawy; przyjęto bowiem za zasadę, że wydatki na nowy organizm władz administracyjnych i sądowych nie mają przekraczać sumy wyznaczonéj dotąd na ten cel, w budżetach państwa. Chodziło więc prze-

dewszystkiém o podzielenie téj kwoty w stosownych częściach, pomiędzy ministeryum spraw wewnętrznych, a ministeryum sprawiedliwości, a po dłuższych rokowaniach zgodzono się na zasadę, że na utrzymanie urzędów administracyjnych piérwszéj instancyi miało być użyte dwie piąte części, a na utrzymanie sądów piérwszéj instancyi trzy piąte powyższéj summy.

Oprócz téj podstawy finansowéj przyjęto także, przynajmniéj dla Galicyi, w ministeryum zasadę, aby liczba administracyjnych powiatów odpowiadała liczbie posłów na sejm, z gmin wiejskich, czyli liczbie okręgów wyborczych gmin wiejskich. Ponieważ zaś przy oznaczaniu téj cyfry założono sobie, aby liczba posłów z gmin wiejskich wynosiła połowę wszystkich posłów do sejmu, czyli 74, więc tym sposobem cyfra 74 stała się cyfrą okręgów wyborczych i administracyjnych powiatów.

Minister Belcredi był jak najlepszym dla Galicyi ożywiony duchem, sam jednak nie wypracowywał projektu téj organizacyi, a chociaż, jak tylko objął tekę, usunął kilku urzędników staréj szkoły, to przecież wszystkich na raz usunąć nie mógł i musiał się posługiwać siłami, które choćby z nawyknienia ciągnęły ku centralizmowi.

Wypracowanie projektu organizacyi władz administracyjnych w Galicyi dostało się radcy ministeryalnemu Bernardowi Meyerowi, sekretarzowi rady ministrów, który sobie przybrał do pomocy radcę ministeryalnego Breiskiego. Piérwszy, człowiek uczciwy, Szwajcar rodem, ale wielbiciel Bacha i wylewający rzewne łzy na samo wspomnienie, że wiedeński rząd mógłby uronić cokolwiek swéj władzy, na rzecz autonomii krajów, drugi, Niemiec z czeskiém nazwiskiem, dzisiejszy szef biura prezydyalnego w ministerstwie spraw wewnętrznych, również centralista. Obydwaj jednak nie byli nigdy w Galicyi, którą organizować mieli.

Z takich rąk musiał zatém wyjść projekt organizacyi władz z szczerze centralistycznym zakrojem. Opiérał on się na następujących zasadach:

Administracya kraju ma być oddzielona we wszystkich instancyach od sądownictwa.

Sprawy administracyjne załatwiają władze polityczne, o ile takowe nie były przekazane statutem krajowym, ustawą gminną, albo osobnemi przepisami krajowéj lub gminnéj reprezentacyi do wspólnego załatwienia, lub samoistnego rozstrzygnięcia. Wyjątek stanowią sprawy administracyjne przydzielone wyraźnie innym władzom rządowym.

Władza polityczna krajowa z szefem kraju na czele jest najwyższą władzą administracyjną w kraju. Do jéj zakresu działania należą: sprawy administracyi politycznéj w ściślejszém znaczeniu, sprawy wyznań i oświaty, sprawy zarządu policyjnego, sprawy handlu i gospodarstwa krajowego.

Osobne przepisy stanowią, o ile polityczne władze krajowe i szefowie kraju mają brać udział w sprawach ministeryum finansów.

Dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi mają istniéć jako polityczne władze krajowe: Namiestnictwo we Lwowie i w Krakowie.

Namiestnik we Lwowie ma tytuł „Generalnego gubernatora,“ i do niego należy naczelny zarząd spraw wspólnych całéj prowincyi; pod nim prowadzi interesa administracyjne wschodniéj części kraju prezydent namiestnictwa we Lwowie, a zachodniéj części, prezydent namiestnictwa w Krakowie.

Odgraniczenie zakresu działania tych władz i ich szefów postanowione będzie osobnemi instrukcyami.

Politycznéj władzy krajowéj podlegają polityczne władze piérwszéj instancyi i wszystkie urzędy i organa, istniejące w kraju dla spraw należących do jéj zakresu.

Dla sprawowania administracyi politycznéj będą ustanowione polityczne władze powiatowe, zostające bezpośrednio pod krajową władzą polityczną.

Marzeniem, nieraz już realizowaném centralistów, było rozdzielenie Galicyi na dwa administracyjne okręgi, któreby tém łatwiéj ulegały wiedeńskiemu rządowi. W czasie gdy powstał projekt organizacyi, o którym mówimy, nie był ten podział wprawdzie wyraźnie rozgraniczony, ale tym sposobem naszkicowany, że w Krakowie istniała komisya namiestnicza, małe namiestnictwo, pod przewodnictwem prezydenta, który nie zawsze słuchał i potrzebował słuchać lwowskich namiestników. Projekt pp. Meyera i Breiskiego utrwalał ten podział, stawiał dwa równorzędne obok siebie namiestnictwa i dawał im za naczelnika „generalnego gubernatora,“ który, jak już po samym można było sądzić tytule, miał się stać raczéj wojskowym, aniżeli administracyjnym władzcą nad obydwiema prowincyami.

O ile Polacy w sejmie galicyjskim z przyjemnością powitali rozdział władz administracyjnych od sądowniczych i zwiększenie okręgów administracyjnych, gdyż dotychczasowe małe powiaty, pod patronatem większych cyrkułów, bardzo dużo kosztowały i napełniały kraj legionami drobnych urzędników, o tyle z wielkiém niezadowoleniem przyjęli myśl stanowczego podziału Galicyi na dwie prowincye i mianowania owego generalnego gubernatora.

Wybrana z łona sejmu do rozpatrzenia rządowego projektu komisya stanowczo wystąpiła przeciw tym dwom postanowieniom, sądząc, „że nie może się dopatrzyć ani potrzeby, ani pożytku takiego podziału kraju; owszem, sądziła, że takowy, oprócz znacznych wydatków, któreby skarb państwa z tego powodu bez potrzeby ponosić musiał, byłby wielce szkodliwym, gdyż nie dopuszczałby ogólnego poglądu na sprawy krajowe i czyniłby niemożliwą jednolitą administracyą, a nawet przy dalszym rozwoju życia autonomicznego byłby prawie niewykonalnym, w obec jednego sejmu i jednego wydziału krajowego.

Komisya postawiła zatém następujący wniosek: Z uwagi na niezbędną potrzebę jednolitéj administracyi całego kraju i oszczędzania niepotrzebnych wydatków państwa, sejm oświadcza:

a) iż z zamierzonym podziałem administracyjnym królestwa Galicyi na dwa namiestnictwa i z ustanowieniem generalnego gubernatora się nie zgadza;

b) iż niezwłoczne zwinięcie komisyi namiestniczéj krakowskiéj usilnie zaleca.

Nadto wypracowała komisya projekt podziału administracyjnego kraju, w którym zatrzymała przyjętą przez rząd liczbę 74 powiatów. Przewodniczącym komisyi był hr. Gołuchowski, referentem p. Felicyan Laskowski.

Jak się tylko wniosek komisyi pojawił w izbie, podniosły się zaraz przeciw niemu ramiona centralistycznego polipa. Piérwszy wystąpił p. Seidler, ubolewając nad Krakowem, że mu się krzywda stanie przez usunięcie komisyi namiestniczéj i różne jeszcze inne wynajdywał argumenta. Ze zwykłą sobie zaciekłością wystąpił po nim ks. Łoziński. Namiętny ten człowiek wziął sobie za zadanie, aby z każdéj w sejmie korzystać sposobności, aby rzucać kość niezgody pomiędzy reprezentantów kraju i razem przeprowadzać do ostateczności. Nie żądał ni mniéj ni więcéj, jak tylko zupełnego podziału Galicyi na dwa odrębne kraje, z dwoma osobnemi sejmami i namiestnictwami. Szedł zatém o wiele daléj aniżeli projekt rządowy. Poparł go w téj mierze, w długiéj przemowie ks. Pawlików, argumentując także, że powinny być „dwa sojmy i dwa wydiły krajewi."

Panu Seidlerowi dał dzielną odprawę ze stanowiska administracyjnego hr. Gołuchowski, a sami mieszkańcy Krakowa zaprzeczyli jego ubolewaniom, przesyłając sejmowi petycyą, podpisaną przez pięciuset przeszło kupców, właścicieli kamienic, w któréj jak najmocniéj uznali słuszność zasady opiérania się wszelkiemu podziałowi kraju na dwie odrębne połowy polityczne i prosili tylko, aby sejm obmyślił stosowne wnioski, aby mimo zwinięcia komisyi namiestni-

czéj mógł Kraków zachować swe dotychczasowe materyalne stanowisko.

Patryotyczne to oświadczenie mieszkańców Krakowa, wniesione na ręce posła Lipczyńskiego, jak najlepsze w sejmie zrobiło wrażenie.

Posłowie: Henryk Wodzicki, Dietl, Wężyk i sprawozdawca Laskowski bardzo dokładnie i obszernie zbili dalsze zarzuty centralistycznych przeciwników, którym w końcu sam komisarz rządowy pomieszał szyki, oświadczając w skutek świéżo nadesłanéj z Wiednia instrukcyi, „że rząd uważa Królestwo Galicyi i Lod. wraz z W. Ks. Krakowskiém, jako jeden kraj, tak pod względem administracyi, jak i pod względem politycznym, że rząd o podziale kraju, jako takiego, o podziale politycznym nie myśli, że zatém o takim podziale, ani o dwóch sejmach mowy być nie może; że co do urządzenia władz może mieć rząd tylko na uwadze względy i potrzeby administracyjne, a przy podziale administracyjnym nie może się powodować żadnym innym celem, bo polityka byłaby tutaj na niewłaściwém miejscu.“

Co więcéj rząd, czyli raczéj minister Belcredi, który jak to przypuszczać można nie rozważył dobrze projektu ułożonego przez pp. Meyera i Breiskiego, kazał oświadczyć swemu komisarzowi, „że o takim podziale, jaki jest wspomniany w przedłożeniu rządowém, t. j. o podziale na dwa okręgi administracyjne, z dwoma namiestnictwami, pod kierunkiem jednego generalnego gubernatora we Lwowie, nie myśli już ze względów oszczędności i z uwagi na wielkie wydatki, któreby podobne urządzenie za sobą pociągnęło, i sądzi, że takie urządzenie w celu jednolitego i dobrego administrowania kraju *jest niepotrzebném.*“

Oświadczenie komisarza rządowego przyjęte było hucznemi oklaskami, minister zaprzeczył centralistycznym zachciankom biurokracyi.

Rozchodziło się wszakże jeszcze o jednę wcale ważną kwestyą. Rząd chciał niektórym z naczelników powiatów dać stanowisko nadzorczo-policyjne nad sąsiedniemi urzędami powiatowemi, a takich byłoby w kraju tylko kilkunastu. Komisya sejmowa słusznie się obawiała, aby ci naczelnicy nie zaczęli zajmować przez nadmiar służbistości jakiegoś wyłącznie policyjnego stanowiska i nie wyłamywali się z pod wpływu namiestnika, w celu bezpośredniego znoszenia się z ministeryum, w Wiedniu. Kraj mógłby się w ten sposób doczekać porozrzucanych dyrektorów policyi, którzyby nietylko ludność, ale i urzędy mogli kontrolować i w razie niechętnego krajowi ministeryum stać pomiędzy Galicyą a ministeryum jako wrogie żywioły. Hr. Gołuchowski stanowczo występował przeciw téj nowości. Biurokraci

nie mogli sobie jednak wyobrazić hierarchii rządowéj bez różnorodnych kontrolujących organów, a komisarz rządowy osobiście był bardzo gorącym zwolennikiem projektu, témbardziéj, że o ile mówiono, on sam był tegoż autorem.

Sejm nie dał się wszakże przekonać wywodom komisarza rządowego i uchwalił podzielić kraj na 74 powiaty, w którychby wszyscy naczelnicy równą mieli władzę.

W ten sposób ukończono projekt do ustawy o wewnętrznéj organizacyi kraju, pozostawała jeszcze jedna, najdrażliwsza kwestya: uzyskanie tego, aby Galicya była reprezentowaną w radzie korony. Rząd naturalnie téj sprawy nie dotknął, trzeba ją zatém było poruszyć w sejmie.

Ignotus.

(D. n.)

HERBERT SPENCER.

IV.

PSYCHOLOGIA.

2. Psychologia podmiotowa.

1. Analiza szczegółowa. Zadaniem psychologii podmiotowéj jest rozbiór wszystkich stanów świadomości, rozłożenie na składowe piérwiastki tak uczuć, jak i myśli. Zadanie to nie łatwe. Jeżeli bowiem wszystkie formy myślenia, nie wyłączając najbardziéj złożonych, zawierają piérwiastki, które łatwo dają się odróżnić i określić; to uczucia tak są niewyraźne w swych zarysach, składowe ich części tak ściśle są spojone i zlane z sobą, że niepodobna dokładnie oznaczyć ich piérwiastki i wykryć wzajemny ich stosunek. Dla tego téż Spencer wyłącznie zajmuje się w téj części swéj psychologii rozbiorem myślenia, zaczynając od form najbardziéj złożonych, które sprowadza do prostych, aż w końcu dochodzi do piérwiastków najprostszych i najogólniejszych, nie dających się już więcéj rozłożyć.

Najwyższą formą myślenia jest rozumowanie *świadome*, nazwane tak dla odróżnienia go od rozumowania nieświadomego, czyli automatycznego, które główną rolę odgrywa w naszych postrzeżeniach. Gatunkiem rozumowania świadomego, najbardziéj złożoném t. j. takiém, które najwięcéj zawiéra w sobie piérwiastków oznaczonych i połączonych z sobą, jest rozumowanie *ilościowe*. Rozumowanie to ze swéj strony dzieli się na złożone i proste. Tak w tych jak i w tamtych chodzi o oznaczenie ilościowych stosunków, albo między ilościowemi stosunkami, albo między samemi tylko ilościami. Właściwe one są matematyce, oraz naukom, w których matematyka ma zastosowanie. Rozumowanie ilościowe, mające za zadanie stwierdzić równość stosunków ilościowych lub samych ilości, jest *dokładném*, gdyż składa się z piérwiastków ściśle oznaczonych. Z ilu-

kolwiek składa się ono części, ilekolwiek zawiera w sobie wielkości, rozumowanie ilościowe dokonywa się przez porównywanie z sobą dwóch wielkości, które to porównywanie jest aktem intuicyi, bezpośredniego ujmowania, pojmowania następującéj prawdy: że stosunki, które są równe temu samemu stosunkowi, są rowne między sobą; albo, że rzeczy, które są równe téj saméj rzeczy, są równe między sobą. Przeciwnie rozumowanie, które stwierdza nierówność danych wielkości, jest *niedokładném*. Nierówność bowiem bywa rozmaitych stopni i stwierdzenie nierówności nie jest stwierdzeniem jakiegoś faktu, ale raczéj prostém jego zaprzeczeniem. Poznanie nierówności, nie zawierając w sobie nic oznaczonego, nie może téż prowadzić do żadnego oznaczonego wniosku. Proces myślenia w rozumowaniach niedokładnych jest taki sam, jak i w dokładnych. Tak tu, jak i tam punktem wyjścia dla niego jest intuicya, prawda bezpośrednio pojmowana i nie mogąca być dowiedzioną: że stosunki, które są równe temu samemu stosunkowi, są równe między sobą. Zdolność bowiem postrzegania równości zawiera w sobie współrzędną zdolność postrzegania nierówności. Jedno bez drugiego być nie może.

Ponieważ podstawą rozumowania ilościowego jest intuicya (bezpośrednie pojmowanie) równości dwóch wielkości, musi ono przeto zawierać w sobie koniecznie trzy pojęcia: współrozciągłości, współistnienia i tożsamości natury. Nie może być żadnego porównania między wielkościami, które nie są téj saméj natury, jak również nie może być spostrzeżoną tożsamość przestrzeni, zajętéj przez dane wielkości, jeżeli te wielkości nie są współistniejącemi.

Zadaniem rozumowania ilościowego jest oznaczyć jak najściśléj względną wielkość rzeczy. Jeżeli te rzeczy mają się do siebie tak, że względna ich wielkość poznaje się bezpośrednio, drogą intuicyi, natenczas wszelkie rozumowanie staje się zbytecznem. Rozumowanie więc możliwém jest w tych tylko razach, gdy rzeczy znajdują się w warunkach, które nie pozwalają na bezpośrednie ich z sobą porównywanie; gdy względna ich wielkość może być oznaczona tylko za pośrednictwem innych wielkości, z któremi się porównają. Jeżeli np. między A i B zachodzi ilościowy stosunek, którego nie znamy, lecz który pragniemy oznaczyć, to nie inaczéj do tego dojdziemy, jak przez porównywanie ich z innemi stosunkami, znanemi już nam w sposób pośredni lub bezpośredni, jak przez zastanowienie się, czy są one równe lub nierówne tym ostatnim. Oznaczyć, czém jest rzecz, lub czém nie jest, jest to oznaczyć do jakich rzeczy jest ona podobną lub niepodobną, do jakiéj należy klasy. Całe więc działanie rozumowania ilościowego polega, jak widzimy, na stwierdzeniu stosunku równości i nierówności.

Pojęcia współrozciągłości, współbytności i tożsamości natury, są jedyne, które mogą być ściśle oznaczone i które prowadzą do wniosków pewnych i dokładnych. Jeżeli więc w skład rozumowania nie wchodzi pojęcie współrozciągłości, a przynajmniéj nie stanowi głównego jego piérwiastku, natenczas przestaje ono być ilościowém, lecz staje się *jakościowém.* Przejście od rozumowania ilościowego do jakościowego jest nieznaczne i ścisłéj granicy między niemi niepodobna przeprowadzić. W rozumowaniu jakościowém stwierdza się *równość* dwóch stosunków, podobnych do siebie bądź pod względem swych oznaczeń, które są téj saméj natury, bądź téż pod względem współistnienia, jakie zachodzi między każdym poprzednikiem, a jego następnikiem. Przez równość rozumiemy tu nic innego, jak podobieństwo np. kolorów, dźwięków, wielkości i t. d. takie, w którém żadnéj różnicy dostrzedz niepodobna.

Rozumowanie jakościowe, w którém się stwierdza nie ilość pewnych rzeczy, ale istnienie lub nieistnienie pewnych własności, albo też jednoczesność lub niejednoczesność pewnych zmian lub grup zmian, rozumowanie, słowem, w których nie rozważają się na raz stosunki czasu i przestrzeni, ale wyłącznie tylko stosunki czasu, odznaczają się w wielu wypadkach tą samą koniecznością, jaką napotykamy w rozumowaniach ilościowych. Do takich należą mianowicie dwa rodzaje rozumowań: jedne obejmujące stosunki rozłączone, drugie stosunki złączone. Do piérwszego rodzaju należą te wypadki, w których, na podstawie pewnych własności, spostrzeganych w przedmiotach, wnosimy, że muszą w nich być inne jeszcze własnóści, od piérwszych oddzielić się nie dające. Co się tyczy drugiego rodzaju, to w nich się stwierdza albo współistnienie, lub niewspółistnienie pewnych rzeczy, oznaczonych przez swój stosunek do trzeciéj rzeczy, albo jednoczesność lub niejednoczesność pewnych wypadków, oznaczonych przez swój stosunek do trzeciego wypadku. Tego rodzaju rozumowania są rozumowaniami jakościowemi doskonałemi. Do nich potrzeba jeszcze zaliczyć te, w których idzie o stwierdzenie koniecznego stosunku między zjawiskami następczemi, między skutkiem, jako następnikiem, a pewną siłą, jako poprzednikiem.

Przejście od rozumowania jakościowego doskonałego do niedoskonałego jest nieznaczne i w praktyce nie zawsze daje się odróżnić jedno od drugiego. Przejściową ich formą są mianowicie rozumowania, których wynik jest *prawie* koniecznym, ale nie bezwzględnie. Jakim jest naprzykład stosunek między własnościami rzeczy wzrokowemi, a dotykowemi.

We wszystkich rozumowaniach jakościowych niedoskonałych stwierdza się nie równość rzeczy, lecz ich podobieństwo lub niepo-

dobieństwo. Jeżeli przedmioty, dane do porównania, są pojedyńcze i mogą być rozważane tylko pod jednym jakimś względem, nazywamy je natenczas *równemi* albo *nierównemi*; przeciwnie, jeżeli te przedmioty są złożone, jeżeli muszą być rozważane naraz pod wielu względami, jak np. wielkości, formy, koloru, budowy wewnętrznéj i t. d., natenczas do określenia ich stosunku używamy wyrazów *podobne* i *niepodobne*, które oznaczają, że przedmioty są równe sobie pod względem niektórych tylko przymiotów, a nierówne pod względem innych.

Forma rozumowania sylogistycznego przechodzi nieznacznie w formę rozumowania przez analogią; ta ostatnia forma różni się od piérwszéj tém, że w niéj dane wywnioskowanego stosunku posiadają daleko mniejszy stopień podobieństwa do danych stosunku znanego, który, przypuszczamy, że jest równoległym do piérwszego.

Dotąd mówiliśmy o rozumowaniu jakościowém niedoskonałém, który wnioskuje z ogółu na szczegół, wypada nam teraz zająć się tym rodzajem rozumowania, które wnioskuje ze szczegółu na ogół, t. j. rozumowaniem indukcyjném. Jakkolwiek oba te rodzaje rozumowania mają za przedmiot porównywanie stosunków, różnica przecież między niemi jest dość ważna i polega na tém, że w piérwszym przypadku liczbowa przewaga należy do stosunków przyjętych zgóry, a priori; w drugim zaś do stosunków wywnioskowanych. Jeżeli stosunki znane, razem wzięte, jako do tego samego rodzaju należące, przewyższają pod względem liczebnym stosunki nieznane, które są do nich podobne, natenczas rozumowanie jest dedukcyjném; jeżeli zaś rzecz ma się przeciwnie, natenczas rozumowanie jest indukcyjném.

Oprócz wymienionych już gatunków rozumowania jest jeszcze jeden, który wnioskuje ze szczegółu na szczegół. Jest to piérwotna forma rozumowania, do któréj dają się sprowadzić tak dedukcya, jak i indukcya. Takiém mianowicie rozumowaniem posługują się dzieci i zwierzęta wyższych rodzajów. Umysłowym w niém aktem jest intuicya, bezpośrednie postrzeganie podobieństwa lub téż różnicy jednego stosunku do drugiego; w niém nowy stosunek jest pojętym jako podobny lub różny od stosunku, który poprzednio już był poznany.

Ostatniemi czasy sylogistyczne rozumowanie stało się przedmiotem licznych powątpiewań, i kiedy jedni utrzymują, że jest ono zasadniczą formą myślenia, to inni znów twierdzą przeciwnie i odmawiają mu wszelkiego znaczenia. Ta sprzeczność w zapatrywaniu się pochodzi głównie ztąd, że biorą zwykle za jedno sylogistyczne rozumowanie z logiczném. Dla pogodzenia téj sprzeczności po-

trzeba pamiętać, że pomiędzy przedmiotem a podmiotem jest różnica, któréj zapoznawanie prowadzi do licznych błędów i nieporozumień; potrzeba pamiętać, że logika formułuje najogólniejsze prawa współzależności między rzeczami, rozważanemi przedmiotowo; teorya zaś sylogizmu formułuje najogólniejsze prawa współzależności, jaka zachodzi między pojęciami a odpowiadającemi im przedmiotowemi rzeczami. Sądy logiczne wyrażają przedewszystkiém konieczne zależności między rzeczami, nie zaś między myślami. Konieczne zależności przedmiotowe są po większéj części natury *statycznéj*, tymczasem konieczne zależności podmiotowe mają charakter czysto *dynamiczny*. Dla tego też o tyle tylko konieczne zależności rozumowe mogą odpowiadać koniecznym zależnościom logicznym (przedmiotowym), o ile współzależności dynamiczne dają się użyć do symbolicznego przedstawienia współzależności statycznych. Z tego wynika, że logika, zostająca w bezpośrednim stosunku z rzeczami przedmiotowemi, ma rzeczywistą wartość, oznaczoną jak najściśléj, że sylogizm nie jest wyłączną formą rozumowania, albowiem są prawdy, które nie dadzą się wyrazić za pomocą sylogizmu, są rozumowania bardzo proste i bardzo złożone, które do sylogizmu sprowadzić się nie dają. Sylogizm więc, będąc tylko jednym z aktów rozumowania, całego rozumowania nie obejmuje. Wartość więc sylogizmu nie jest ta sama, co wartość logicznego rozumowania. Zadaniem sylogizmu jest, co najwięcéj, sprawdzenie indukcyi już dokonanéj i to nie każdéj, ale tylko do pewnéj klasy należącéj. Sprawdzenie to nie da się wykonać ani w prawdach, znanych pod nazwą axyomatów, ani w wypadkach, w których zastosowanie sylogizmu prowadzi z konieczności do znanego sofizmatu, *petitio principii*.

Powszechnie jest przyjętém dzisiaj, że w rozwoju rozumowania indukcya musi poprzedzić dedukcyą; że my nie piérwéj zdołamy przejść od ogółu do szczegółu, aż wprzód wzniesiemy się od szczegółu do ogółu. Stosuje się to nietylko do rozumowania, pojmowanego w swéj całości, ale i do każdego szczególnego rozumowania.

Z tego, co wyżéj powiedziano, jasno się okazuje, że wszelkie rozumowanie, bez względu na rodzaj, do jakiego należy i stopień doskonałości, nie jest czém innném, jak porównaniem stosunków.

Ponieważ treścią wszelkiego rozumowania jest pewien stosunek, ponieważ każdy stosunek może być pomyślanym tylko jako należący do pewnéj klasy stosunków, uprzednio poznanych; możnaby zatém rozumowanie nazwać *klasyfikacyą stosunków*. Określenie to wszakże nie jest zupełnie ścisłem. Pamiętajmy bowiem, że są dwa rodzaje poznania: *pośrednie* i *bezpośrednie*. Oba stwierdzają jakiś stosunek, ale gdy poznanie bezpośrednie jest intuicyą, poznanie po-

średnie jest tylko rozumowaniem, wnioskowaniem. Rozumowanie więc możnaby nazwać: *pośredniém oznaczeniem określonego stosunku między dwiema rzeczami*. Że to pośrednie oznaczenie stosunku może się dokonać li za pomocą stosunku bezpośrednio poznanego, albo w ogóle uprzednio już poznanego, każdy łatwo się domyśli.

Jeżeli więc rozumowanie w najobszerniejszém swém znaczeniu nie jest czém innem, jak klasyfikacyą stosunków, zatém klasyfikacya jest tylko odmiennym kształtem rozumowania, jest témsamém aktem umysłowym, w odmiennéj tylko formie objawiającym się. Podstawą klasyfikacyi tak samo jak i rozumowania jest równość, podobieństwo stosunków. Dokonywamy klasyfikacyi, gdy przywołujemy na pamięć jakąś rzecz, do któréj podobnym jest, albo mu równym pewien szczególny przedmiot; rozumujemy zaś, gdy opierając się z całą świadomością na podobieństwie stosunków, myślimy o pewnych własnościach, jakie w tych stosunkach są zawarte.

Podobnaż analogia zachodzi między rozumowaniem a mianowaniem, nadawaniem pojedyńczym przedmiotom odpowiedniéj nazwy. Miano, nazwa pewnéj rzeczy, nie jest czém innném, jak kopią istotnéj jéj własności. Mowa dzieci i dzikich przekonywa nas, że każdy język był naśladowczym w swych początkach. To téż nietrudno wykryć w podstawie każdego języka zasadę podobieństwa stosunków.

Tak samo ma się rzecz i z poznawaniem. Poznawanie, zarówno jak i klasyfikacya, jest tylko odmienną formą rozumowania. Nie jest ono czém innném, jak indukcyą, która, opiérając się na doświadczeniu ogólném, łączy z niém doświadczenie szczególne, stanowiące właśnie przedmiot poznania. Między poznaniem a klasyfikacyą nie mniéjsze zachodzi podobieństwo. Jeżeli poznanie można nazwać klasyfikacyą wrażeń obecnych z wrażeniami przeszłemi; to klasyfikacyą można nazwać poznawaniem pewnéj szczególnéj rzeczy, jako należącéj do szczególnéj grupy przedmiotów.

Tak więc ścisły rozbiór umysłowy spraw prowadzi nas nieuchronnie do zniesienia wszystkich tych dowolnych różnic, jakie między niemi pozaprowadzano, przekonywa nas, że wszelkie czynności naszego umysłu dają się sprowadzić do jednéj zasadniczéj, że upatrywane między niemi różnice główne swe źródło mają w języku, w naszych systematach, a jak najmniéj należą do saméj ich natury.

Klasyfikacya więc i poznanie są to dwie formy umysłowéj czynności, zapomocą których stajemy się świadomi otaczających nas rzeczy. Pozostaje nam teraz wykazać, że otaczające nas rzeczy mogą stać się przedmiotem naszéj świadomości tylko za pomocą klasyfikacyi i poznawania.

Spostrzeżenie jakiegokolwiek przedmiotu zewnętrznego wymaga, by przedmiot ten przedstawił się umysłowi, jako pewna, mniéj lub więcéj oznaczona rzecz; co ze swéj strony wymaga, albo poznania tego przedmiotu, jako rzeczy szczególnéj, albo zaliczenia go do szeregu pewnych rzeczy, które są do niego podobne. Zarówno więc, jak nie może być klasyfikacyi i poznania przedmiotów bez ich spostrzegania, nie może być także spostrzegania przedmiotów bez ich klasyfikacyi i poznania. Każdy akt postrzegania wymaga sądu twierdzącego, wyraźnego lub domyślnego, wymaga stwierdzenia własności, stanowiących naturę spostrzeganego przedmiotu. Utrzymywać, że jakaś rzecz jest, to znaczy wskazywać, co jest do niéj podobném i do jakiéj klasy ona należy. Stosuje się to nietylko do rzeczy, które się przedstawiają naszemu umysłowi jako podobne do innych, dawniéj przez nas poznanych, ale i do takich, które zdają się nam być do nich niepodobnemi. Mimo bowiem największéj różnicy, jaka nas uderza między przedmiotem po raz piérwszy widzianym, a przedmiotami, dawniéj poznanemi, zawsze da się w nim wykryć pewne podobieństwo, mniéj lub więcéj ogólne, które pozwoli go odnieść do pewnéj klasy, poznać, jako podobny do tych lub innych przedmiotów.

Dodać jeszcze potrzeba, że spostrzenie, za pomocą którego uznajemy pewien przedmiot za taki lub inny, wymaga rozumowania, wnioskowania, co znaczy, że wiele piérwiastków, które przyczyniają się do poznania spostrzeganéj rzeczy, znane są nie bezpośrednio przez zmysły, ale pośrednio, za pomocą nieświadomego i szybkiego rozumowania. Akt poznawania takich przymiotów w rzeczy, jak rozciągłość, kształt i t. d., które zdają się być wrażeniami wzrokowemi, nazywa się spostrzeganiem *nabytém*, czyli pośredniém.

Przekonywa nas to, że spostrzeganie jest téj saméj natury, co i rozumowanie, że różnica między niemi polega na stopniu oddalenia się od czynności umysłu bezpośredniéj, od intuicyi, że zatém jest względną, lecz nie bezwzględną.

Trojaki zachodzi stosunek w akcie spostrzegania między podmiotem, a przedmiotem: 1) podmiot może zachowywać się biernie w obec przedmiotu, który nań działa, następuje w tym razie spostrzeganie własnych własności ciała, które właściwiéj będzie nazwać dynamicznemi; 2) podmiot może działać na przedmiot, który w równéj mierze oddziaływa, w skutek tego następuje spostrzeganie wtórno-piérwotnych, czyli statyczno-dynamicznych własności; 3) podmiot może być czynnym, przedmiot zaś zachowywać się biernie, spostrzeganą natenczas własnością jest własność piérwotna, czyli statyczna ciał.

Trzy te rodzaje własności ciał nastręczają się zwykle naszéj świadomości nie z osobna, ale razem. Rozciągłość i wszystkie wła-

sności przestrzeni stają się świadomemi tylko zapomocą oporu i innych przymiotów siły; własności ciał dotykowe są zazwyczaj spostrzegane w związku z kształtem, z położeniem. Z pomiędzy zaś własności niedotykowych kolor bywa powszechnie pojmowany, jako należący do powierzchni ciała i nie można go sobie przedstawić w oderwaniu od rozciągłości o dwóch wymiarach.

Do własności dynamicznych należą: dźwięk, ciepło, światło, woń, smak, które nie są czém innóm, jak skutkami, wywartemi na nas przez siły otaczającego nas środka. Podmiot doznaje w tym razie pewnéj zmiany stanu, spowodowanéj zewnętrznóm działaniem przedmiotu, który je wykonywa bądź pośrednio, bądź bezpośrednio. W obec tego działania podmiot zachowuje się biernie.

Własności ciała, zwane wtórne, różniące się od innych tém, że są natury czysto dynamicznéj, mają jeszcze to sobie właściwego, że działają z odległości, że mogą być poznane w oderwaniu od ciał, że są nareszcie przypadkowemi, t. j. że objawiają się w ciałach na różny sposób i w różnym stopniu, że stosownie do otaczających warunków mogą się nawet zgoła nie objawiać w ciele. Co więcéj, możnaby powiedziéć, że nie są one wcale własnościami ciał, że są to raczéj objawy pewnych sił rozlanych we wszechświecie, które działając na ciała, wywołują w nich oddziaływanie. Słowem własności ciała wtórne nie są ani podmiotowe, ani przedmiotowe; dla dokładnego ich zrozumienia potrzeba się zastanowić nad trzema rzeczami: 1) nad siłą, bądź rozproszoną, jak światło i ciepło, bądź skupioną, jak siła mechanicza; 2) nad przedmiotem, na który działa cząstka téj siły, i który, o ile znosi działanie téj siły, jest biernym, o ile zaś oddziaływa na nią i nadaje jéj pewien kształt i kierunek, jest czynnym; 3) nad podmiotem, na który przechodzi cząstka zmienionéj w ten sposób siły, wywołując w nim to, co my nazywamy wrażeniem, i który, jako odbierający tę siłę, jest biernym, chociaż w następstwie jéj działania może się stać czynnym.

Jeżeli wyobrazimy sobie człowieka, pozbawionego wzroku, słuchu, smaku, powonienia i czucia temperatury, mającego tylko zmysł dotykania i mięśniowy; natenczas jedynemi własnościami ciała, jakie będzie on mógł poznać, będą własności statyczno-dynamiczne i statyczne. Do piérwszych należą wrażenia oporu: miękkość, gładkość, i t. d., do drugich— wrażenia rozciągłości: kształt, położenie. Obie te klasy spostrzeżeń zlewają się w świadomości w nierozdzielną całość, przynajmniéj w umyśle dojrzałego człowieka. Własności ciała statyczno-dynamiczne nazwane są tak dla tego, że są one nam znane, jako objawy pewnéj mechanicznéj siły. Spostrzeganie ich polega głównie na ustalaniu stosunku współczesności i następstwa między na-

szemi wrażeniami dotykania, ciśnienia, natężenia i ruchu, które znamy, jako wzmagające się, słabnące, albo jednostajne i jako połączone z sobą w różny sposób i w różnym stopniu.

W stosunku do własności przestrzeni, objętość, kształt, położenie, przedmiot zachowuje się całkiem biernie i spostrzeganie tych własności dokonywa się wyłącznie za pomocą pewnych umysłowych czynności, za pomocą działania myśli. Dla tego téż własności przestrzeni nazwane są statycznemi. Spostrzeganie tych własności nabywa się za pomocą ruchu. Spostrzeżenia statycznych własności wzrokowe i dotykowe wytwarzają się później, na podstawie spostrzeżeń ruchowych, i dla tego dają się z łatwością rozłożyć na spostrzeżenia względnych położeń, które się nabywają za pomocą ruchu. Położenia te, które uporządkowane w myśli, stanowią nasze pojęcia kształtu i wielkości, muszą być ściśle z sobą spojone, muszą stanowić nieprzerwaną ciągłość z położeniami pośredniemi, mniéj określonemi; jeżeli bowiem części, objawiające opór, są oddzielone od części, które nie okazują oporu, natenczas następuje spostrzeganie nie jednego ciała, lecz kilku.

Wiemy już, że własności ciał dynamiczne nie są konieczne, że ich współistnienie w ciałach zależném jest od warunków naszéj świadomości. Inaczéj ma się rzecz z własnościami statyczno-dynamicznemi i statycznemi: opór i rozciągłość są koniecznemi i niezmiennemi piérwiastkami naszéj wiedzy. Całość pewnego spostrzeżenia, w którém wszystkie trzy rodzaje własności ciała są ujęte, jest stanem świadomości złożonym, zawiérającym w sobie najprzód pewne ogólne wrażenia oporu i rozciągłości, połączone między sobą i z podmiotem *bezwarunkowym* stosunkiem współistnienia w czasie i zetknięcia się w przestrzeni; daléj pewne szczególne wrażenia oporu i rozciągłości, znajdujące się w stosunku *warunkowym* tak do siebie, jak i do podmiotu; w końcu inne jeszcze wrażenia, zostające do siebie i do podmiotu w stosunku *podwójnie warunkowym* tak pod względem czasu, jak i przestrzeni.

Rozważywszy piérwiastki, z których składa się spostrzeżenie, wypada nam słów kilka powiedzieć o czynności umysłowéj, która te piérwiastki porządkuje i układa je w całość. Czynność tę możnaby nazwać *klasyfikacyą organiczną*.

Wiemy już, że sąd twierdzący, zawarty domysłowo w każdém spostrzeganiu, jest aktem klasyfikacyi i poznania. Sąd ten nie potrzebuje być ani wypowiadany, ani pomyślany; potrzeba tylko, by przedmiot postrzeżony był odniesiony do właściwéj sobie klasy w sposób mniéj lub więcéj świadomy. Otóż ta klasyfikacya na wpół świadoma, zawiérająca się w każdém spostrzeganiu pewnego przedmiotu,

musi być koniecznie poprzedzona klasyfikacyą mniéj jeszcze świadomą składowych własności przedmiotu i ich wzajemnych stosunków. oraz warunków, pod jakiemi te własności i ich stosunki są poznane, W każdém spostrzeganiu zachodzi klasyfikacya różnych własności z własnościami uprzednio poznanemi, stosunków między temi własnościami ze stosunkami uprzednio poznanemi, warunków, pod któremi własności te i ich stosunki są znane, z podobnemiż warunkami przedtém już poznanemi.

Trudno nam zrazu pojąć, jak może tego rodzaju czynność umysłowa, tak bardzo złożona, dokonywać się z taką szybkością, ażeby po niéj żadnego nie zostało śladu w naszéj świadomości. Zastanowienie się wszakże nad kilku przykładami rzecz wyjaśni i trudność tę rozwiąże. Każdy z nas wyszedłszy na ulicę, zapełnioną tłumem przechodniów, odróżni w nich w każdéj chwili mnóstwo pojedyńczych ludzi, odnosząc ich do klasy mężczyzn, kobiét, dzieci, dziewic itd. i cały ten akt umysłowy dokonywa w sposób tak szybki, tak automatyczny, że zaledwie zdoła on przerwać zwyczajny bieg naszych myśli. Dziecię, ucząc się czytać, musi klasyfikować każdą pojedyńczą literę za pomocą oddzielnéj czynności umysłu. Przez ciągłą wprawę czynność ta staje się coraz szybszą i w równéjże mierze mniéj świadomą. W następstwie nabywamy zdolności klasyfikowania zapomocą jednéj czynności umysłowéj całych wyrazów, a nawet szeregów wyrazów. Jeżeli więc tego rodzaju klasyfikacya, która się zaczyna w piątym lub szóstym roku życia, może się stać automatyczną, organiczną; to cóż już mówić o klasyfikacyi, o wiele prostszéj, która się zaczyna z urodzeniem się, o klasyfikacyi kształtów, objętości, odległości, kolorów, ciężkości, zapachów, smaków i t. d!...

Spostrzeganie przestrzeni. Ciało od przestrzeni różni się tém jedynie, że gdy pierwsze przedstawia rozciągłość, objawiającą opór, to przestrzeń jest rozciągłością bez oporu. Wiemy już, że spostrzeżenie wzrokowe i dotykowe ciał, czyli przestrzeni, stawiającéj opór, rozkłada się na spostrzeżenia względnych położeń tak przedmiotu, jak i podmiotu, i że stosunki tych położeń znane nam są za pośrednictwem ruchu; otóż nastręcza się nam pytanie: w jaki sposób doświadczenie rozciągłości wypełnianéj, tj. ciał, może dać nam pojęcie rozciągłości niewypełnianéj, tj. przestrzeni? W jaki sposób przechodzimy od stosunków między położeniami, stawiącemi opór do stosunków między położeniami bez oporu.

Gdybyśmy w skutek poruszeń naszych członków doznawali zawsze jakichś wrażeń, np. gładkości, miękkości, twardości itd., gdybyśmy również w skutek poruszeń oczu doznawali zawsze róż-

nych wrażeń koloru natenczas mocą praw kojarzenia się ustaliłby się tak trwały stosunek między pewnemi ruchami i pewnemi wrażeniami, że niepodobna byłoby ich rozdzielić. W takim razie nie inaczéj moglibyśmy pojmować położenia tylko jako zajęte przez ciała, wywołujące w nas pewne, szczególne wrażenia. Wrażeń od rzeczy oddzielićbyśmy nie mogli. Rzecz się ma atoli pod tym względem inaczéj. Doświadczenie nas przekonywa, że jak ruch ręki nie zawsze prowadzi nas do zetknięcia się z jakimkolwiek ciałem, tak również i ruch oczu nie zawsze pociąga za sobą widok jakiegoś przedmiotu czarnego, białego itd. Wypada ztąd, że pojęcie szczgólnego położenia, towarzyszącego każdemu z tych ruchów, oddziela się w drodze doświadczenia od przedmiotów i wrażeń i bywa pojmowaném w oderwaniu. Otóż te położenia, pojmowane w oderwaniu od ciał, stanowią materyał, składowy pierwiastek, z którego wytwarza się pojęcie przestrzeni.

W wytwarzaniu przestrzeni z powyższego materyału główną odgrywa rolę oko, które dzięki swéj budowie łączy współistniejące położenia w jednę nierozdzielną całość, stanowiącą pojęcie przestrzeni. Ponieważ niedokończone stosunki współistniejących położeń ustanowione były piérwotnie za pomocą ruchu, i sama myśl o tych stosunkach przywodzi na pamięć odpowiednie im ruchy, które, mogąc się dokonywać we wszelkich możliwych kierunkach, wykluczają z myśli szczególny ich kierunek; przeto powstaje w naszym umyśle uczucie *zdolności poruszania* się, uczucie *swobody ruchów*, co właśnie uzupełnia nasze pojęcie przestrzeni.

Nie jednemu może się wydać trudném do zrozumienia, jak może pojęcie przestrzeni na pozór tak proste i tak jednolite, być wypadkiem czynności umysłu tak złożonéj i skomplikowanéj. Trudność atoli zmniejsza się, gdy zważymy, że czynność ta rozpoczyna się z początkiem życia, że się powtarza w ciągu całego życia co dnia, co godzinę, że wszystkie doświadczenia w zakresie téj czynności, są bezwzględnie niezmienne, zgodne i jednostajne.

W pojęciu przestrzeni znajdują się pewne pierwiastki konieczne, które należy odnieść do warunków organizacyi, ustalających się drogą dziedziczności pod wpływem zewnętrznych stosunków. Do nich należą granice odległości, z jakiéj przedmiot może wywołać wzrokowe wrażenie, daléj stosunek między powierzchnią siatkówki, zakrytéj przez pewien przedmiot, w pewném znajdujący się oddaleniu, a mięśniowém przystosowaniem oczu do tego oddalenia. Słowem między wrażeniami wzrokowemi, dotykowemi i mięśniowemi zachodzi ścisła odpowiedniość i zależność, mające swe źródło tak w odziedziczonéj organizacyi, jak i w nabytém doświadczeniu indy-

widualném. Rzecz naturalna, że zależność ta i odpowiedniość zostaje w ścisłym związku z wielkością i budową ciała i jego członków, zarówno jak z wielkością, budową i położeniem oczu. Pierwiastki te koniecznemi są dla tego, że podczas przystosowania się organizmu do jego środka w drodze rozwoju, wewnętrzne stosunki ukształciły się podług zewnętrznych tak, że ustaliła się między niemi odpowiedniość, której żadne usiłowania znieść nie potrafią.

W spostrzeganiu przestrzeni zachodzi jeszcze pewna właściwość, o której wypada nadmienić. Jeżeli np. zwrócimy uwagę na naszę rękę, albo inny jakiś również blizko znajdujący się przedmiot, to znajomość przestrzeni, zawartéj między naszemi oczami a rozważanym przedmiotem jest, możnaby powiedzieć, zupełną. Jesteśmy tu świadomi najmniejszych różnic położenia. Jeżeli teraz zwrócimy oczy ku odleglejszym częściom pokoju, nasza świadomość przestrzeni staje się mniéj dokładną; gdy zaś spojrzymy przez okno, kierując swój wzrok ku odległym częściom horyzontu, nasze pojęcie przestrzeni staje się niewyraźném i nieokreśloném. Właściwość ta najwymowniéj świadczy o doświadczalném pochodzeniu pojęcia przestrzeni. Mniéj dokładne spostrzeganie przestrzeni w miarę, jak ona w większéj odległości od nas leży, jest bezpośredniém następstwem tego, że nasze doświadczenia względnych położeń stają się mniéj licznemi.

Podobnegoż świadectwa dostarczają nam te dziwaczne uczucia, jakie towarzyszą pewnym a normalnym stanom naszych nerwów. De Quincey powiada w swych „*Marzeniach zjadacza opium*", że nieraz przedstawiały mu się w jego widzeniach gmachy i widoki w rozmiarach tak olbrzymich, że cielesném okiem niepodobna było je objąć. Przestrzeń sama rozdymała się i dochodziła do wielkości nieskończonéj, nie dającéj się wyrazić. Fakt, że nasza znajomość przestrzeni bliższéj jest dokładniejszą, niż przestrzeni odleglejszéj, przeczy stanowczo kantowskiéj hipotezie, która z przestrzeni robi formę myślenia. W takim bowiem razie nasze pojęcie przestrzeni musiałoby być bezwzględnie jednorodném, jednostajném.

Pojęcie *czasu* zostaje w ścisłéj zależności od pojęcia przestrzeni i odwrotnie. To téż, jeżeli w czasach piérwotnych i dzisiaj jeszcze w krajach nieucywilizowanych przestrzeń wyraża się za pomocą czasu, to ze swéj strony czas oznacza się dziś w ucywilizowanym świecie, w nauce, za pomocą przestrzeni.

Wiemy już, że pojęcia przestrzeni i współistnienia są nierozdzielne; tożsamo należy powiedzieć o pojęciach czasu i następstwa. Czas zarówno, jak i przestrzeń mogą być pojęte, pomyślane tylko przez ustanawianie pewnego stosunku między co najmniéj dwoma

pierwiastkami świadomości; cała różnica leży w tém, że gdy myślimy o przestrzeni, pierwiastki te przedstawiają się naszemu umysłowi jednocześnie, gdy zaś myślimy o czasie, przedstawiają się one w następstwie, po kolei.

Że czas znanym nam jest, jako następstwo naszych stanów umysłowych nikt temu nie zaprzeczy. Każdemu wiadomo, że tydzień spędzony w podróży, lub na zwiedzeniu pewnych rzeczy, w skutek silnie podnieconéj czynności umysłu, zdaje się nam daleko dłuższym, niż tydzień spędzony w domu. De Quincey powiada, że podczas snów, spowodowanych zażyciem opium, w skutek nadzwyczaj licznych i różnorodnych wrażeń umysłowych, jakich wtedy doświadczał, zdawało mu się nieraz, że w ciągu jednéj nocy przebywał całe wieki, tysiące lat. Nasze więc pojęcie jakiegokolwiek przeciągu czasu określa się jedynie długością następujących kolejnie stanów umysłu, które się przypomina, pamięta, jako zaszłe w owym czasie. Stany bowiem, które nie są obecne w naszéj pamięci, nie mogą stać się miarą upłynionego czasu. Stany naszego umysłu znane nam są przez to, że zajmują pewne miejsce w całym szeregu stanów umysłu, doznanych w ciągu całego życia. Czas więc, w którym coś się stało, znanym nam jest przez zajmowane w owym szeregu stanów umysłu położenie. Czas zatém, w oderwaniu, tak jak np. zwykle pojmujemy nie jest czém innném, jak stosunkiem położenia między stanami umysłu, położenia, samo się przez się rozumié, względnego.

Pojęcie czasu nabywa się tak samo doświadczeniem, jak i pojęcie przestrzeni. Czas, pojmowany, jako stosunek położeń, może się ustalić w naszym umyśle w swém oderwaném znaczeniu wtedy dopiéro, gdy rożne stosunki położeń między stanami naszego umysłu będą spostrzeżone, porównane i przyswojone, gdy nagromadzenie w doświadczeniu licznych stosunków różnorodnych położeń da nam możność odłączyć, oderwać pojęcie stosunku od szczególnych położeń. Że pojęcie czasu oddaloném jest, podobnie jak pojęcie przestrzeni samą budową organiczną, przekazywaną istotom żyjącym dziedzictwem, wykazują to liczne fakta. Miarą czasu właściwą każdemu zwierzęciu, jest rytm jego żywotnych i ruchomych spraw, które nieskończenie różnią się w różnych ich rodzajach.

Nasze pojęcia *ruchu*, przestrzeni i czasu tak ściśle są z sobą związane, że tylko z wielką trudnością dają się od siebie rozdzielić. Z tém wszystkiém, chociaż ruch, jak go pojmuje umysł rozwinięty, nie może być przedstawionym w myśli bez towarzyszących mu pojęć czasu i przestrzeni, nie wynika ztąd jeszcze by ruch, jak go zna umysł *nierozwinięty*, nie mógł być bez nich pojętym. Zgodzi się na to każdy, kto rozważy, że umysł, łącząc nabyte doświadczenia, wytwa-

rza pojęcia, które są całkiem różne od tych, jakie miał w początku; że doświadczenia, które od samego początku występowały ciągle i niezmiennie w połączeniu, zlewają się w pojęcia, których podmiotowa analiza nie potrafi rozdzielić. Jakąż drogą dochodzimy do pojęcia ruchu w oderwaniu od współrzędnych mu pojęć czasu i przestrzeni?

Wiemy już, że pojęcie przestrzeni jest pojęciem stosunku między współistniejącemi położeniami. Można to określenie sprowadzić do najprostszéj formy, a mianowicie, że pierwotném pojęciem przestrzeni jest pojęcie stosunku współistniejących położeń między dwoma punktami powierzchni naszego ciała. Podobnież pojęcie czasu jest pojęciem stosunku położeń w następstwie stanów naszego umysłu.

Otóż wiemy już, że wszelka zmiana, zachodząca w naszéj świadomości, dokonywa się za pomocą ruchu; że przezeń tylko znane nam są stosunki następczych położeń między stanami świadomości i stosunki położeń współistniejących.

Ażeby więc rozwiązać zagadnienie pochodzenia naszych pojęć ruchu, czasu i przestrzeni, musimy odpowiedzieć na następujące pytanie: w jaki sposób przychodzimy do poznania dwóch punktów powierzchni naszego ciała? Dwa te punkta, rozważane jako współistniejące z sobą, stanowią zasadnicze pojęcie przestrzeni; znane nam zaś, jako dwa następujące po sobie dotykowe wrażenia, stanowią zasadnicze pojęcie czasu; następstwa zaś wrażeń mięśniowych, oddzielające dwa wrażenia dotykowe, stanowią zasadnicze pojęcie ruchu. W jakiż sposób powstają i rozwijają się te zasadnicze pojęcia, które Spencer nazywa *zarodkowemi*?

Gdy dziecię porusza ręką i w poruszeniach tych niczego nie dotyka, wytwarza się w niém pewien stan świadomości, który możnaby nazwać rodzącą się świadomością. Świadomość ta nie daje się podzielić na stany w sposób określony, zachodzące w niéj zmiany przechodzą jedna w drugą nieznacznie, jako wahania się mniéj lub więcéj obszerne. W tym stanie świadomości nie może być mowy o pojęciach ruchu, czasu i przestrzeni, jak my je pojmuje. Jeżeli zaś przeciwnie ręka dziecięcia dotyka czegośkolwiek w swym ruchu, następuje wtedy nagła zmiana w jego świadomości, zmiana dobitna zarówno w początku, jak i w końcu. Zmiana ta stanowi, możnaby powiedzieć, pewien *znak* w świadomości. Podobneż doświadczenia wytwarzają inne tego rodzaju znaki, które dają się porównywać pod względem stopnia i położenia. Jednocześnie czucia mięśniowego natężenia, podzielone przez te znaki na szeregi różnéj długości, dają

się również porównywać z sobą. W ten sposób zdobywa się materyał dla myślenia najprostszego porządku.

Wrażenia dotykowe, stanowiące w świadomości znaki, oddzielone od siebie wrażeniami mięśniowemi, mogą także współistnieć, towarzyszyć wrażeniom mięśniowym. Otóż, jeżeli np. dziecię wodzi ręką po powierzchni swego ciała, dajmy na to od punktu A do Z, powstają w jego świadomości trzy szeregi wrażeń jednoczesnych: wrażenia, pochodzące z działania mięśni; wrażenia dotykowe, powstające w punktach dotykanéj po kolei powierzchni jego ciała; a następnie wrażenia, które mają swe źródło w kończynach jego ręki. Otóż ponieważ wszystkie te wrażenia powstają zawsze razem, gdy odpowiednie poruszenie ręki wzdłuż powierzchni naszego ciała odbywa się; łączą się one z czasem z sobą tak ściśle w naszym umyśle, że niepodobna ich od siebie rozdzielić. Ztąd też wrażenia dotykowe i mięśniowe, w skutek silnego skojarzenia się z sobą, stają się równoważnikami, wzajemnie się wywołującemi w świadomości. Szereg wrażeń mięśniowych, stawszy się równoważnikiem szeregu współistniejących położeń, bez nich nie może być pomyślanym. W ten sposób stosunek współistniejących położeń między punktami A i Z objawia się nie inaczéj, jak przez porównanie doświadczeń; pojęcia przestrzeni, czasu i ruchu rozwijają się razem. Gdy następujące po sobie stany świadomości od A do Z są pomyślane, jako mające stosunki położeń, powstaje natenczas pojęcie czasu; gdy te stany świadomości powstają nie po kolei, ale jednocześnie, względne ich położenia, będące przedtém następczemi, stają się teraz współistniejącemi i tym sposobem wytwarza się pojęcie przestrzeni; gdy zaś oba te stosunki położeń współistniejących i następczych przedstawiają się naraz naszemu umysłowi jako szereg wrażeń mięśniowego natężenia, powstaje natenczas zarodkowe pojęcie ruchu. Łatwo zrozumiéć, że rozwój tych pojęć dokonywa się w drodze nagromadzania się doświadczeń i ich porównywania. Dodać tu potrzeba, że rozwój tych pojęć zależnym jest od rozwoju organizmów: od rozwoju ich objętości, ich budowy, i nerwowego systemu.

Najprostszemi pierwiastkami naszéj wiedzy są wrażenia zmysłowe. Jest to materyał, z którego wytwarza się cała budowa naszych doświadczeń. Cóż jest fundamentem téj budowy? Oto wrażenie *oporu*. Jest to pierwotny, powszechny i zawsze obecny pierwiastek, świadomość, jest to podścielisko całéj wiedzy naszéj.

Wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, prowadzi nas do wniosku, że nasze spostrzeganie ciał opiéra się ostatecznie na wrażeniu oporu; że w stosunku do naszego umysłu opór jest pierwotną własnością ciał, rozciągłość zaś własnością wtórną. Opór znamy bezpośrednio,

rozciągłość zaś pośrednio, przez skombinowane wrażenia oporu. To samo rozumié się i o naszych pojęciach przestrzeni i ruchu, które są nam znane tylko za pomocą doświadczenia wrażeń oporu. Nie inaczéj ma się rzecz i z pojęciem siły, któréj miarą, równoważnikiem dla nas jest opór, jaki okazują ciała naszemu mięśniowemu natężeniu. Ponieważ wszystkie wrażenia, za pośrednictwem których znanym jest nam świat zewnętrzny, są ostatecznie rezultatem pewnych form siły, cała więc znajomość nasza zewnętrznego świata opiéra się na wrażeniu oporu.

Nasza świadomość oporu nabywa się za pomocą wrażeń ciśnienia, a więc dotykania i mięśniowego natężenia. Dla naszéj świadomości oba te wrażenia są równoważnikami, które wzajemnie się zastępują w naszém myśleniu. W każdym razie jedno z nich występuje w naszym umyśle, jako znak, drugie—jako rzecz tym znakiem oznaczona. Innemi mówiąc słowy: nasza świadomość oporu sprowadza się ostatecznie do świadomości mięśniowego natężenia, które pod względem czasu jest piérwszém doświadczeniem, najogólniejszém, poprzedzającém doświadczenie ciśnienia. Wrażenie więc mięśniowego natężenia stanowi zasadniczy pierwiastek naszego umysłu.

Pamiętać atoli należy, że samo czucie mięśniowe nie stanowi jeszcze spostrzegania oporu: spostrzeganie to zależném jest od stosunku współistnienia między czuciem mięśniowém a pewnym szczególnym stanem świadomości, zwanym *wolą*.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, w spostrzeganiu łatwo się przekonać, że wyraz ten oznacza stany świadomości tak pod względem odcieni, jak i natury bardzo różniące się od siebie. Spostrzeganie może się różnić nieskończenie pod względem złożoności, stopnia ciągłości i sposobu mniéj lub więcéj pośredniego. Z jednéj strony może ono stać się rozumowaniem, tak że wszelka różnica między dwiema temi czynnościami umysłu zaciera się, z drugiéj może zaledwie o jeden stopień wnosić się po nad proste wrażenie zmysłowe. Dla tegoż, pomimo, że wyraz spostrzeganie jest bardzo dogodnym do powszedniego użytku, pod względem naukowym nie ma on wielkiego znaczenia. Spostrzeganie, które z łatwością przechodzi w rozumowanie, różni się tylko od zmysłowego wrażenia. Spostrzeganie jest niejako ustanowieniem stosunków oznaczonych między stanami świadomości i dla tego różni się od ustanawiania samychże stanów świadomości. W zmysłowém wrażeniu umysł zajętym jest wyłącznie podmiotowém uczuciem, w spostrzeganiu zewnętrznego przedmiotu stosunkiem, albo stosunkami między wrażeniem zmysłowém obecném a wrażeniami przeszłemi. Wrażenie zmysłowe jest stanem świadomości prostym, nie dającym się rozłożyć na składowe części; gdy tymczasem spo-

strzeżenie zewnętrznego przedmiotu jest stanem świadomości nieraz bardzo złożonym.

Ponieważ spostrzeganie nie jest czém inném jak ujmowaniem, ustalaniem stosunków między stanami świadomości, należy nam przeto zbadać, jakie to są zasadnicze objawy świadomości, które wyrażają owe stosunki.

Najbardziéj złożonym stosunkiem jest stosunek *podobieństwa*, mocą którego przedmioty tego samego rodzaju umieszczamy razem, mimo ich różnicy pod względem wielkości, oraz zaliczamy do téj saméj klasy zjawiska przyczynowości, pomimo ich różnicy co do stopnia.

Podobieństwo pod względem przedmiotowym niedoskonałe, to które służy za podstawę w rozumowaniach, odnoszących się do życia zwyczajnego, każe się domyślać tożsamości stosunków między poprzednikami téj saméj natury i następnikami téj saméj natury; podobieństwo doskonałe, służące za podstawę rozumowaniom matematycznym, wymaga stosunków téj saméj natury i jednakowego natężenia. Podobieństwo rozważane podmiotowo jest świadomością *współnatężenia* dwóch stosunków téj saméj natury między stanami świadomości, które są podobne pod względem rodzaju, różne zaś pod względem stopnia. *Niepodobieństwo* jest świadomością *niewspółnatężenia* dwóch stosunków innéj natury między stanami świadomości, które są podobne pod względem rodzaju, ale różne pod względem stopnia.

Czémże są te stosunki *współnatężenia* i *niewspółnatężenia*?

Nie ulega zaprzeczeniu, że możemy myśléć nietylko o stanach naszéj świadomości prostych i niezłożonych, ale nadto o zmianach jakie między niemi zachodzą, o przejściach od jednego wrażenia umysłowego do drugiego. Ponieważ daléj możemy być świadomi różnic co do stopnia i rodzaju nietylko następujących po sobie wrażeń, ale także i zmian, jakie po nich następują, wypada, że zmiany te mogą być tak samo klasyfikowane, porównywane, jak i proste wrażenia. Otóż stosunek współnatężenia nie jest czém inném, jak podobieństwem co do stopnia między wrażeniami, do tego samego rodzaju należącemi; stosunek zaś niewspółnatężenia jest niepodobieństwem co do stopnia między zmianami i wrażeniami tego samego rodzaju. Słowem, współnatężonemi są stany świadomości, równe co do stopnia swego natężenia.

Wiemy już, że rozciągłość daje się sprowadzić do stosunków współistniejących położeń. Przestrzeń znana nam jest jako nieskończona mnogość współistniejących położeń, które nie okazują oporu; ciało zaś, jako grupa współistniejących położeń, które stawią opór.

Najprostsza forma przestrzeni, jaką jest linia, nie jest czém innémn, jak szeregiem współistniejących położeń, stąd linie równe jako równe szeregi współistniejących położeń. Równość oddzielnych szeregów współistniejących położeń stanowi *współrozciągłość*, co znaczy, że każdy z tych szeregów zawiéra jednaką liczbę współistniejących położeń.

Następuje pytanie: jaki stan świadomości odpowiada pojęciu współrozciągłości, jaką drogą do tego pojęcia przychodzimy? Dwie równe rozciągłości znane są nam najprzód, jako dwa równe szeregi wrażeń mięśniowych i dotykowych, współrozciągłość zatém przedstawia się nam jako równość tych szeregów przed względem długości. W czasie późniejszym, gdy w skutek rozwoju naszéj świadomości oddzielne szeregi wrażeń zlewają się, stanowiąc złożone stany naszéj świadomości, współrozciągłość przedstawia się nam pod względem podmiotowym, jako dwa stany świadomości złożone, dotykowe i wzrokowe, podobne do siebie pod względem liczby i porządku pierwotnych stosunków, z jakich się składają. W każdym razie, ponieważ rozciągłość znana nam jest jako stosunek współistnienia, przeto i współrozciągłość zrozumianą będzie należycie wtedy dopiéro, gdy drogą analizy wyjaśnimy, co stanowi istotę stosunku współistnienia.

Jasném jest, że stosunek *współistnienia* jest złożonym, chociaż dla umysłu dojrzałego zdaje się on być prostym. Współistnienie pewnych rzeczy nie może być pomyślaném bez przestrzeni, w któréj te rzeczy współistnieją. Wypada ztąd, że dwa punkta jakieś, umieszczone obok siebie na papiérze, mogą być poznane wtedy tylko, gdy je poznamy, jako znajdujące się jeden zewnątrz drugiego, w pewnéj od siebie odległości. Warunek ten wymaga przeto uprzednich doświadczeń, tych samych, które nam dają pojęcie rozciągłości. Doświadczenie to stanowią szeregi wrażeń dotykowych i wzrokowych, takie mianowicie, które wytwarzają stany złożone z położeń następujących po sobie zdolnych przemienić się w położenia jednoczesne, a zarazem odwrócone. Mianowicie, że szereg stanów świadomości od A do Z wywołanych poruszeniem ręki wzdłuż jakiegoś ciała, albo ruchem oka, może nastąpić w odwrotnym kierunku o Z do A z równąż łatwością. Mówiąc więc, że stosunek współistnienia jest taki, którego ogniwa przedstawiają się naszéj świadomości z równąż łatwością w jakimkolwiekbądź porządku, nie twierdzimy nic innego, tylko, że między dwoma uczuciami, towarzyszącemi zamianie poprzednika w następnik i następnika w poprzednik zachodzi podobieństwo i równość.

O stosunku tożsamości natury niewiele da się powiedziéć; opiéra się on poprostu na podobieństwie rodzajowém dwóch stanów świadomości. Mniéj jeszcze jest do powiedzenia o stosunku tożsamości natury o ile on zachodzi nie między stosunkami, ale między pierwotnemi stanami świadomości, między zmysłowemi wrażeniami, albo ich przypomnieniami. Jaka jest natura wrażenia ciepła, barwy itd.; nikt na to nie potrafi odpowiedziéć. Są to pierwiastki umysłu nie dające się rozłączyć i dla tego nie nadające się rozbiorowi. Utrzymując więc, że dwa wrażenia tego rodzaju są tożsame pod względem natury, wyrażamy tylko intuicyą, bezpośrednią świadomość rzeczy, to tylko, że tę świadomość mamy. Nic więcéj nadto powiedziéć nie możemy.

Samo się przez się rozumié, że stosunek nietożsamości pod względem natury jest różnicą rodzajową między zmianami świadomości, albo stanami, które je łączą.

Tym porządkiem dochodzimy do stosunków, które są podstawą wszystkich innych, fundamentem całego rozwoju umysłu do stosunków *podobieństwa* i *różnicy*. Wszelkie rozumowanie, najbardziéj złożone i abstrakcyjne, jakiemi się posługuje umysł dojrzały, zarówno jak i proste intuicye dziecięcia, polegają na ujmowaniu, ustanawianiu stosunków podobieństwa i różnicy. Jakież to są stany świadomości, które te stosunki oznaczają? Czy dadzą się one określić?...

Dla określenia pewnéj rzeczy potrzeba mieć pojęcia bardziéj ogólne, takie, którebyby stały po nad temi rzeczami. Otóż takich pojęć nie ma, nie ma stosunków, któreby były ogólniejszemi od stosunków podobieństwa i różnicy. Określać ich więc niepodobna, co najwięcéj możemy porównywać je ze stosunkami im współrzędnemi, które uzupełniając je niejako, rzucają tém samém większe na nich światło.

Przez wyrazy podobny i niepodobny, czyli różny, rozumiemy nieco innego, jak *zmianę* i *niezmianę* w świadomości.* Dwa ogniwa stosunku różnicy są dwoma stanami świadomości, tworzącemi poprzednik i następnik pewnéj zmiany w świadomosci; dwa zaś ogniwa stosunku podobieństwa są poprzednikiem i następnikiem stanu, który nie jest zmianą, który jest niezmianą, świadomość bowiem znajduje się w tym samym co i poprzednio stanie. Ściśle atoli rzecz biorąc, stosunek podobieństwa opiéra się na stosunku różnicy; wymaga on bowiem dwóch stanów świadomości, które nie będąc różnemi nie mogłyby istniéć oddzielnie. Należy więc powiedziéć, że stosunek podobieństwa polega na dwóch stosunkach różnicy, które wzajemnie się znoszą. Tym porządkiem stosunek różnicy jest pierwotnym, za-

wiérającym się w każdym innym. O nim zaś to jedno tylko można powiedziéć, że jest on *zmianą* świadomości.

Stosunek *następstwa* jest właśnie owym stosunkiem, który jest współrzędnym poprzedzającemu. Następstwo jest zmianą; zmiana zaś jest różnicą między dwoma stanami świadomości, obecnym i przeszłym. Jeżeli bowiem z jednéj strony dwa ogniwa stosunku różnicy nie mogą być znane bez zmiany w świadomości, to z drugiéj strony zmiana nie może mieć miejsca w świadomości bez dwóch stanów, różniących się od siebie. Zasadniczy, piérwotny, nie dający się rozłożyć stosunek musi mieć dwa ogniwa, dwa stany świadomości stykające się z sobą. Pomyślane same w sobie, stany te muszą być myślane jako różne; rozważane zaś jako stany świadomości, ze stanowiska czysto podmiotowego, muszą być myślane jako następstwo, świadomość nie może się znajdować naraz w dwóch stanach. Zasadniczy więc stosunek nie jest niczém innném, jak *zmianą* w świadomości, którą nazywamy bądź stosunkiem różnicy, bądź stosunkiem następstwa, stosownie do tego, czy zajęci jesteśmy przeciwieństwem dwóch stanów świadomości, czy ich porządkiem.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli o różnych rodzajach spostrzegania i stosunków, wykazuje się jasno, że świadomość składa się ze zmian w rozmaity sposób skombinowanych. Kolejny rozkład zjawisk umysłowych najbardziéj złożonych na zjawiska prostsze i tych na bardziéj proste doprowadził nas do najprostszych, zasadniczych, które nie są czém innném, jak prostą zmianą w stanie świadomości. Jest to ostateczny pierwiastek, z którego powstają najbardziéj złożone wiadomości, najbardziéj abstrakcyjne pojęcia. Być świadomym, to znaczy myśléć; myśléć zaś, to znaczy tworzyć pojęcia, łączyć z sobą wrażenia i ich przypomnienia, wszystko to nic innego nie oznacza, jak że się doznaje pewnych zmian wewnętrznych. W każdym razie ciągła zmiana nie jest jedyną rzeczą konieczną do wytworzenia świadomości; kolejne następstwo zmian musi być w pewien sposób uporządkowane, uorganizowane. Każdy rodzaj doświadczeń, drogą długiego nawyknienia, powtarzania się, musi się stać organicznym, i wtedy dopiéro możliwemi są doświadczenia wyższego rodzaju. Każda grupa stanów świadomości nierozdzielnych i zawsze razem występujących musi przejść w stan mniéj lub więcéj prosty, zanim przez kombinacyą podobnych grup będą mogły wytworzyć się bardziéj złożone. W rozwoju swoim organizacya doświadczeń musi podlegać powszechnym prawom wszelkiéj w ogóle organizacyi, a zatém musi dokonywać się nadzwyczaj powolnie.

Nietrudno teraz się przekonać, że wszystkie te podziały naszych władz umysłowych, o jakich tak szeroko rozpisywała się da-

wniejsza psychologia, uważając za całkiem oddzielne od siebie, nie ma żadnego naukowego znaczenia. We wszystkich objawach umysłu widzimy *jedność budowy*. Każde rozumowanie, każde spostrzeganie w zasadzie nie jest czém innném, jak intuicyą podobieństwa i różnicy między stanami świadomości. Świadomość nie może ani powstać, ani się utrzymać bez powstawania zmian, różnic w jéj stanach, jest ona zatém *ciągłém różnicowaniem* swych stanów; z drugiéj atoli strony stany te muszą być uporządkowane, uorganizowane, obok różnicowania musi więc także być ciągłe *łączenie*, *jednoczenie* stanów świadomości. Tym sposobem każdy akt umysłowy w swém najogólniejszém znaczeniu może być określonym jako: ciągłe *różnicowanie*, *jednoczenie stanów świadomości*.

Jeżeli teraz przypomnimy sobie, że sprawy żywotne, odbywające się w ciele, są ciągłém różnicowaniem i jednoczeniem organicznych tkanek, to w osiągniętych przez nas dotąd rezultatach będziemy mieć stwierdzenie prawdy, że między prawami budowy organizmu i jego czynności zachodzi ścisła zgodność, że uogólnienia psychologii i fizyologii są tylko dwoma wyrażeniami, dwiema postaciami tego samego zasadniczego procesu życia.

II. Analiza ogólna. Zajmowaliśmy się dotąd naturą umysłu ludzkiego, musimy teraz zająć się zbadaniem natury poznawania ludzkiego. Poznanie każe się domyślać czegoś, co jest poznaném, i czegoś, co poznaje; wynika ztąd wniosek, że teorya poznania jest teoryą stosunków, jakie zachodzą między tém, co jest poznawaném, a tém, co poznaje. Teorya więc poznania, czyli metafizyka, jak ją powszechnie nazywają, nie jest czém innném, jak pogodzeniem nauki przedmiotowéj, zajętéj tém, co jest poznaném, i nauki podmiotowéj, tém, co poznaje. Wypada więc zająć się nam przedewszystkiém zbadaniem kwestyi, dotąd nierozstrzygniętéj, przedmiotu i podmiotu, i następnie zastanowić się, o ile wyłożona w rozdziale poprzednim teorya poznania zgadza się z założeniami téj kwestyi. W założeniu przyjmujemy, że między przedmiotem a podmiotem zachodzi ten stosunek, że są one dwiema przeciwnemi stronami, dwoma objawami rzeczy niepoznawalnéj. Musimy więc przedewszystkiém dowieść, że rozumowania idealistów i sceptyków, wiodące do wywodów, przeciwnych powyższemu założeniu, są błędne i nie wytrzymują krytyki.

Nastręcza się tu najprzód pytanie: dla czego metafizycy pokładają zaufanie bez granic w jednéj formie umysłowéj czynności, w rozumowaniu; a odmawiają go innéj? Oto dla tego, że drogą rozumowania doszło się do mnóstwa cudownych rezultatów, które utrwaliły wiarę w bezwarunkową jego wyższość nad innemi czynnościami

umysłowemi; dla tego nareszcie, że za jego pomocą wyzwoliliśmy się z pod panowania przesądów, tradycyi i t. d. Rozumowanie wszakże, dzięki któremu wolni jesteśmy od mnóstwa przesądów, samo stało przesądem i odbiérając cześć bałwochwalczą krępuje swobodę umysłowéj czynności.

Zwrócić należy uwagę, że ludzie nauki, którym świat zawdzięcza tyle prawd nowych i odkryć, nie podzielali i nie podzielają przekonania metafizyków o wyższości rozumowania nad niższemi kształtami umysłowéj czynności. Przeciwnie, we wszystkich swych badaniach rozumowaniom swym przyznają o tyle tylko wagę, o ile one zgadzają się z bezpośredniém spostrzeganiem, będącém podstawą obserwacyi. Naturalnie, że tu mowy nawet być nie może o poddawaniu rozumowania pod rządy wiary; chodzi tu wyłącznie o względną wartość z jednéj strony przekonań, które nabywamy drogą złożonych czynności umysłu, z drugiéj przekonań, do których dochodzimy za pomocą czynności prostéj.

Wiadomo, że idealiści w rodzaju Berkeley'a, zarówno jak sceptycy ze szkoły Hume'a, zaprzeczają istnienia zewnętrznego świata i jeden wszystko odnosi do idei, drugi do wrażeń umysłu, czyli że obaj po za obrębem stanów świadomości nie uznają żadnéj rzeczywistości. Otóż wyznać należy, że mowa sama, sam język, jakim się posługują idealiści i sceptycy, nie nadaje się potemu, by za jego pomocą dały się wypowiedzieć ich hipotezy. Użyte bowiem przez nich wyrazy w zwyczajném swém znaczeniu każą się domyślać czegoś, co ma istnienie niezależne, co znajduje się zewnątrz naszéj świadomości; jeżeli zaś wyrazom tym nadadzą inne znaczenia, wyrzucając zeń to, czego domyślać się potrzeba, prowadzi to do tylu sprzeczności, że z nich wywikłać się niepodobna.

Co się tyczy rozumowań, za pomocą których usiłują metafizycy dowieść prawdziwości swych hipotez, to odznaczają się one głównie tém, że otwarcie odrzucają niektóre zasadnicze twierdzenia świadomości, takie mianowicie, bez których samo myślenie jest niemożliwém, których pominięcie sprowadza zamęt w pojęciach i nie dające się pogodzić sprzeczności. Nierzadko zdarza się, że to, co powinno być zaprzeczoném w konkluzyi, bywa zatwierdzoném domysłowo w przestankach. Naturalnie, że tego rodzaju rozumowania, pozbawione wszelkiéj podstawy, uciekające się do przypuszczeń niepodobnych, byle tylko wyminąć nadarzające się trudności myślenia, przyjmujące pewne kryteryum dla poznania w ogóle i jednocześnie odmawiające mu wszelkiego znaczenia w odniesieniu do poznania szczegółowego, nie mogą dowieść swych założeń i w obec umysłu trzeźwo na rzeczy patrzącego są zgoła bezsilnemi.

Ta właśnie wadliwość rozumowań, oraz używanego przez metafizyków języka, jest negatywnym dowodem prawdziwości *realizmu*, którego oczywistość, widoczność jest daleko większa, jak idealizm i sceptycyzm.

Postulatem, na którym opiéra się całe rozumowanie metafizyków, jest twierdzenie, że piérwotnie posiadamy tylko świadomość zmysłowych wrażeń, że tego jednego jesteśmy tylko pewni bezpośrednio, co się zaś tyczy rzeczy, zewnątrz świadomości naszéj istniejących, będących przyczyną umysłowych wrażeń, wiemy o nich tylko pośrednio, drogą indukcyi. Owoż postulat ten nie wytrzymuje krytyki i przeciwnym jest najpospolitszym faktom, jakich nam dostarcza umysłowy rozwój dzieci. Dziecię w piérwszych chwilach swego rozwoju nic nie wié o zmysłowych wrażeniach, które są pojęciem oderwaném, zarówno jak nic nie wié o swojém *ja*. Każdą rzecz pojmuje on konkretnie, jako mającą własny, zewnętrzny byt, a to tak dalece, że np. ludy dzikie nie mają wyrazów na oznaczenie pojęć ogólnych jak drzewo, kamień, zwierzę i t. d. Każdy człowiek, zanim dojdzie do pewnego stopnia umysłowego rozwoju, nietylko przyznaje, że pewne własności każą się domyślać rzeczy, do której one należą, ale co więcéj, że same te własności są tém, czém mu się wydają, że mają byt niezależny od naszych zmysłów. Pojęcie realistyczne zawsze i wszędzie, nietylko w dziecku, wieśniaku, ale nawet w metafizyku umiało poprzedzić pojęcie idealistyczne, wprzód bowiem zanim człowiek spostrzegane rzeczy będzie uważał za proste zmiany stanów świadomości, potrzeba, by w nim sama świadomość siebie rozwinęła się, by w nim wytworzyło się pojęcie jego jaźni. To zaś następuje w czasie póżniejszym, w skutek licznych doświadczeń, jakim podlega dziecko w piérwszych latach swego życia.

Sama prostota umysłowéj czynności, która nas prowadzi do realizmu, przemawia na jego korzyść. Jeżeli bowiem czynność ta jest aktem umysłu pośrednim, to również pośrednim jest czynność umysłowa, za pomocą której metafizycy przychodzą do swych hipotez idealnych i sceptycznych. Różnica atoli między niemi jest ta, że gdy tamta wymaga jednego tylko aktu pośredniego, to ta potrzebuje ich wielu, z których każdy bardzo często jest złożonym. Otóż jeżeli jest jakaś niepewność co do jednego kroku, to daleko większą niepewność musi w nas budzić mnogość kroków tegoż samego rodzaju.

To samo da się powiedziéć o dwóch tych hipotezach pod względem ich jasności. Wywody idealistów i sceptyków są tak ciemne i zawikłane, że dla ich wyrozumienia i zdania sobie sprawy potrzeba mieć umysł wyćwiczony w sylogistycznéj szermierce.

Z tém wszystkiém dla roztrzygnięcia sporu potrzeba wynaléźć jakąś prawdę, któraby przez obie strony uznana za najwyższą mogła służyć za sprawdzian, za kryteryum pewności; żadna bowiem prawda nie może być bardziéj pewną od kryteryum, które pozwala nam ocenić, w jakim stopniu pewną jest rzecz, podawana za prawdę.

Wiadomo nam, że wszelki akt poznania polega na porównywaniu rzeczy tego samego rodzaju; w razie zaś, gdy te rzeczy do różnych należą rodzajów, jedna z nich musi być sprowadzona do tego samego rodzaju co i druga, a przynajmniéj znaléźć równoważnik porównywanych z sobą rzeczy.

Jednostkami, z któremi mamy tu do czynienia, są zdania, będące ostatniemi piérwiastkami poznania, jakkolwiek każde z nich jest jednostką złożoną. Chcąc więc porównać realizm z idealizmem i w ten sposób przekonać się, który z nich posiada większą pewność, musimy najprzód porównać z sobą składowe jednostki zdań, za pomocą których obie te doktryny wypowiadają swe założenia, musimy ocenić, jaka jest jakościowa różnica między zdaniami obu tych teoryj.

Najważniejsza różnica, jaką można upatrzyć między zdaniami, jest ta, że gdy w jednych wyrażone własności *stale* i niezmiennie są połączone z przedmiotem, do którego się odnoszą, to w drugich połączenie to własności z ich przedmiotem jest *niestałe*, czasowe. Czy jest jaki sposób, któryby nam pozwolił oznaczyć w danym razie: czy połączenie, współistnienie dwóch terminów naszego poznania jest stałe lub niestałe? Sposób ten znajdujemy we właściwości naszego umysłu, który z łatwością może pojąć zaprzeczenie jednych zdań, a nie może pojąć zaprzeczenia zdań innych. Otóż skoro w danym zdaniu nie możemy w żaden sposób pojąć wyrażonych w nim własności bez przedmiotu i odwrotnie, skoro dwa termina naszego poznania łączą się w naszéj myśli stale, bezwarunkowo, poznanie to musimy uważać za pewne, za takie, które wyrażą konieczny stosunek rzeczy, a oraz naszéj świadomości. Pamiętajmy bowiem, że konieczne, absolutne stosunki naszéj świadomości ustalają się w drodze doświadczenia i to nie wyłącznie indywidualnego, ale doświadczenia naszych przodków, przekazywanego nam za pomocą powolnego, odpowiedniego owym doświadczeniom rozwoju nerwowego systemu. Ci więc, którzy nie chcą uznać tego powszechnego postulatu, skazują się dobrowolnie na to, że będą musieli pozostać na stanowisku gołego zaprzeczenia. Jedno z dwojga bowiem, albo potrzeba przyznać, że świadomość logicznéj konieczności ma inne, wyższe pochodzenie, albo zgodzić się, że jest takie samo, jak i inne intuicye, uważane za prawdziwe, prostym wypadkiem doświadczenia. Przyjmując piér-

wsze założenie, potrzeba go dowiéść, czego dotąd nie zrobiono; przyjmując drugie, potrzeba konsekwentnie zgodzić się, że jedyną gwarancyą naszych rozumowań może być tylko niezdolność naszego umysłu pojąć rzecz przeciwną temu, co dane zdanie wypowiada.

Mając tedy kryteryum, możemy przystąpić do ocenienia: jaką wartość posiadają twierdzenia idealistów i sceptyków w obec założenia realistów. Weźmy np. pod uwagę książkę, którą mamy przed sobą. Zastanawiając się nad stanem naszego umysłu, przekonywamy się, że jesteśmy świadomi, że książka, na którą patrzymy, któréj dotykamy się, istnieje zewnątrz nas. Czy w téj świadomości znajduje się jakieś pojęcie o wrażeniach zmysłowych? Bynajmniéj. Takie pojęcie wprowadza się do niego zkądinąd, będąc zapożyczoném z teoryj metafizycznych, wcale nie przyczynia się do jasności. Czy w rzeczy, któréj jesteśmy świadkami, upatrujemy tylko obraz, ideę książki, czy samę książkę. Każdy z nas, jeżeli ma myśl wolną od hipotez, czuje aż nadto dobrze, że treścią jego świadomości jest książka, jako rzecz, mająca zewnętrzną rzeczywistość. Czujemy, że to uznanie zewnętrznéj rzeczywistości książki jest aktem umysłowym prostym i niepodzielnym.

Idealiści utrzymują, że w akcie spostrzegania jesteśmy świadomi naraz naszego *ja*, jako podmiotu spostrzegającego i zewnętrznéj rzeczywistości, jako przedmiotu spostrzeganego, że dwie te rzeczy pojmowane są razem za pomocą jednego, niepodzielnego aktu naszego myślenia. Twierdzenie to zostaje w sprzeczności z codzienném doświadczeniem. W pewnych zdarzeniach człowiek daje się tak dalece zaabsorbować zewnętrznym przedmiotem, że zapomina się całkiem o swém *ja*, i to się nazywa zdumieniem, osłupieniem, zapomnieniem się; inną znowu razą świadomość swego *ja* może dojść do takiéj potęgi, że człowiek zaprzątnięty myślami, zapomina o otaczających go rzeczach. Że świadomość podmiotu i przedmiotu nie może być jednoczesną, że nie mogą one zawiérac się w tym samym, niepodzielnym akcie intuicyi, wypada i ztąd jeszcze, że świadomość nie może znajdować się w téj saméj chwili w dwóch różnych stanach.

Idealiści, wychodząc z założenia, że świadomość nie może wyjść z siebie, utrzymują, że nie masz nic po za naszą świadomością. Zgadzając się, że zewnętrzna rzeczywistość znana nam jest tylko za pośrednictwem stanów naszéj świadomości, potrzeba się zgodzić także, że w stanach naszéj świadomości również muszą znajdować się dowody istniénia zewnętrznéj rzeczywistości tak samo jak i jéj zaprzeczenia. Musimy więc zbadać, czy w działaniach naszego umysłu prawidłowych nie masz takich, któreby zawiérały w sobie przeciw-

stawienie, antytezę przedmiotu i podmiotu. Wykrycie tego rodzaju aktów myślenia będzie dla nas pozytywnym dowodem prawdziwości realizmu.

Myśléć pewne zdanie, znaczy łączyć w świadomości podmiot z orzeczeniem. Otóż, jeżeli porównamy z sobą różne zdania, przekonamy się, że w jednych to łączenie podmiotu z orzeczeniem dokonywa się łatwo, w drugich zaś o wiele trudniéj, a nawet staje się nieraz niepodobném. Gdy powiadam: ptak jest szary; tu podmiot i orzeczenie z równąż łatwością mogą być połączone i rozdzielone, ptak bowiem może być także biały, żółty i t. d. Przeciwnie, gdy powiem: lód jest gorący, dwa stany naszéj świadomości, odpowiadające pojęciu *lód* i pojęciu *gorący*, w żaden sposób połączyć się z sobą nie mogą. Jeżeli daléj powiem: nie masz ruchu bez rzeczy, która ruch ten odbywa; wywołane tém zdaniem stany świadomości są tak ściśle z sobą złączone, że rozdzielić ich niepodobna, żadném wysiłkiem myśli nie mogę pojąć, by ruch mógł się dokonywać bez rzeczy ruszającéj się.

Otóż zdania, które opiérają się takiemu rozdziałowi pewnych własności od grupy innych własności, są zdaniami koniecznemi.

Rozumowanie, wytwarzające mniéj lub więcéj spojone z sobą szeregi stanów świadomości, nie jest czém inném, jak próbą, jak prostém doświadczaniem, jak dalece złączone są z sobą pewne grupy stanów świadomości, które z tych stanów mają mniejszą spójność od innych. Wniosek ztąd prosty, że jeżeli tą drogą wykryją się związki pewnych stanów świadomości nie dające się rozdzielić, musimy stany te uważać za połączone z sobą bezwzględnie. Jest to jedyne kryteryum, jakie możemy posiadać, jest to ostateczny wyrok w sprawie naszego poznania, od którego nie masz odwołania.

Kryteryum to dostarcza nam zupełną gwarancyą przekonania, że istnieje zewnątrz naszéj świadomości coś, co nie jest naszém *ja*. Między każdym ze stanów świadomości mocnych i określonych, znanych, jako zmysłowe wrażenia, czucia, a świadomością nieokreśloną, przedstawiającą pewien rodzaj istnienia zewnętrznego względem wrażenia zmysłowego i różnego, niezależnego od nas, zachodzi spójność tak ścisła, że jéj rozerwać niepodobna. Biorąc widelec w ręce i niosąc do ust cząstkę pokarmu, nie możemy się pozbyć w myśli pojęcia o czémś, co stawia opór sile, jakiéj używamy; nie możemy wyrzec się powstającego wtedy przekonania o czémś, co istnieje niezależnie, co jest zewnętrzném względem naszego języka i podniebienia i co nam daje uczucie smaku, którego my sami, mocą własnéj naszéj czynności, nie zdolni bylibyśmy wywołać.

Ponieważ nasze wywody rozumowe ograniczają się do wykazania, w jaki sposób stany naszéj świadomości łączą się z sobą i zgadzają; zatém i samo przekonanie nasze o istnieniu czegoś zewnętrznego, przedmiotowego, musi być wypadkiem, musi się opiérać na pewnym sposobie, podług którego łączą się i zgadzają stany naszéj świadomości.

Badając stopień spójności, jaka zachodzi między piérwiastkami świadomości, dostrzegamy pod tym względem różnicę, która pozwala nam złożyć owe piérwiastki w dwie przeciwstawne grupy, odpowiadające pojęciom przedmiotu i podmiotu. Grupy te stanów żywych, mocnych i stanów słabych różnią się od siebie następującemi cechami:

Cechy stanów żywych są:	Cechy stanów słabych są:
1) Względnie żywe.	1) Względnie słabe.
2) Piérwsze co do czasu.	2) Wtóre co do czasu.
3) Własności ich nie mogą być zmienione przez wolę.	3) Własności ich mogą być zmienione przez wolę.
4) Porządek ich współczesny nie dający się zmienić przez wolę.	4) Porządek ich współczesny, dający się zmienić przez wolę.
5) Porządek ich następczy nie dający się zmienić przez wolę.	5) Porządek ich następczy, dający się zmienić przez wolę.
6) Stanowią one część grupy żywéj, która nie może być rozerwaną, rozdzieloną.	6) Stanowią one część grupy słabéj, która nie może być rozerwaną.
7) Która jest całkiem niezależną od grupy słabéj.	7) Która w części jest niezależną od grupy żywéj.
8) Która ma swe prawa, od niéj saméj pochodzące.	8) Któréj prawa w części pochodzą od grupy żywéj, w części są właściwemi jéj saméj tylko.
9) Poprzedniki ich mogą, albo nie mogą być wskazane.	9) Poprzedniki ich zawsze mogą być wskazane.
10) Należą one do nieznanéj nam, rozciągłéj całości.	10) Należą do całości ograniczonéj, zawartéj w tém, co zowiemy pamięcią.

W akcie poznania każdy stan świadomości łączy się natychmiast z grupą, do któréj należy, i to rozklasyfikowanie stanów oraz stosunków między stanami jest głównym warunkiem wszelkiéj czynności umysłowéj. W razie wątpliwości co do tego, czy pewien stan świadomości należy do grupy żywéj, czy do słabéj, następuje stan przykréj niepewności, uczucie zamętu.

Oprócz piérwiastków świadomości, grupujących się w dwie powyższe klasy, są jeszcze stany, wielce od nich różniące się pod tym względem, że są nieokreślone, że nie można ich umiejscowić, że tylko niedokładnie dadzą się oznaczyć, kiedy się zaczynają i kiedy kończą. Są to stany przyjemne i nieprzyjemne, uczucia, wzruszenia. Do jakiéj grupy zaliczyć je potrzeba, czy do żywéj, czy do słabéj?

Zważywszy, że każde wzruszenie rzadko tylko łączy się ze stanami żywemi, głównie zaś kojarzy się ze stanami słabemi we właściwy sposób połączonemi z sobą; że poprzednik każdego wzruszenia zawsze może być wykrytym; że prawa, którym podlegają wzruszenia, należą do grupy słabéj; że grupa żywa nie zawsze wywiéra wpływ na wzruszeniach, kiedy grupa słaba pociąga za sobą zawsze odpowiednie sobie wzruszenia; że narescie mają one tak jak i stany słabe, pewne granice, których przekroczyć nie mogą i które mogą być poznane przez nas: musimy tak wzruszenia rzeczywiste, jak i ich przypomnienia, pojęcia zaliczyć do grupy słabéj. Dodać jeszcze potrzeba, że wzruszenia mają tę charakterystyczną własność, że są punktem wyjścia dla ruchów ciała.

W ten sposób całość naszéj świadomości dzieli się na grupę stanów słabych, którą nazywam umysłem, duszą, i na grupę stanów żywych, która jest złączona z grupą słabą i którą nazywam mém ciałem; a oprócz tego na grupę stanów żywych, która nie łączy się w ten sam sposób co poprzednia z grupą stanów słabych, a która stanowi to, co nazywamy istnieniem zewnętrzném. Gdy grupa żywa objawia bądź opór bierny, bądź energią czynną, kojarzy się ona zawsze w naszéj świadomości z pojęciem oddzielnéj od niéj siły, potęgi, jakkolwiek mającéj z nią pewną analogią, potęgę, jaką rozwija w sobie saméj ciągle grupa słaba.

Wiadomo nam, że wrażenie oporu jest piérwiastkiem świadomości piérwotnym, powszechnym i zawsze obecnym, że zatém wrażenie oporu jest niejako macierzystym językiem myślenia, w którym są wyrażone najpiérwsze nasze wiadomości i za pomocą którego dają się wyrozumiéć wiadomości w późniejszym czasie nabyte i innemi znakami oznaczone. To też świadomość czegoś, co okazuje opór, jest wraz z ugrupowaniem stanów naszéj świadomości na żywe i słabe, powszechnym znakiem istnienia niezależnego, jakiego każe się domyślać grupa stanów świadomości żywych. Zasadniczém więc pojęciem istnienia zewnętrznego, znajdującego się po za świadomością, jest pojęcie oporu i siły, która ten opór ocenia, mierzy. Dwa te zasadnicze pojęcia, oporu i siły, stanowią właśnie to, co nazywamy substancyą naturalną. W każdym razie zauważyć potrzeba, że w naszém pojęciu materyalnéj substancyi znajduje się jeszcze jeden

piérwiastek, a mianowicie trwałość, jakieś podścielisko, na którego tle dokonywają się wszelkie zmiany. Śród wszystkich zmian znajduje się coś, co jest trwałém, niezmiennéni. Żaden z wyraźnych stanów naszéj świadomości nie jest stałym; jedyną rzeczą stałą jest coś, co nigdy nie stanowi wyraźnego stanu naszéj świadomości, ale co wszystkie te stany utrzymuje w jedności, w połączeniu. To coś trwałego, nieznanego, jest piérwotném daném mego doświadczenia i wyraz istnienie nic innego nie znaczy, tylko ów fakt doświadczenia, którego z myśli pozbyć się niepodobna. Ostatni ten piérwiastek wchodzi zarówno w skład naszego pojęcia podmiotu, i tu wszystkie stany słabe przedstawiają się w naszéj świadomości, jako związane z sobą, połączone za pomocą czegoś, co jest stałém, niezmiennén. To stałe i niezmienne tło słabych stanów naszéj świadomości nie jest niczém więcéj, jak pierwotném daném doświadczenia, i żadnego innego znaczenia nadawać mu nie można.

Takie są podstawy realizmu, do jakiego nas prowadzi psychologiczny rozbiór naszego poznania. Realizm ten ustala się w naszéj świadomości, jako konieczne dane doświadczenia, poprzedzające wszelkie rozumowanie. Powstaje nam jeszcze odpowiedziéć na pytanie: czy jest to realizm zwyczajny, taki, jakim się kieruje w swych rozumowaniach prostak i dziecię? Bynajmniéj. Realizm, do którego doszliśmy, nic innego nie twierdzi jak tylko to, że istnieje przedmiot, oddzielny i niezależny od istnienia podmiotu. Czy zaś sposób przedmiotowego istnienia jest rzeczywiście takim, jakim się nam wydaje, czy związki, które różne sposoby istnienia łączą, są przedmiotowo takiemi, za jakie my je uważamy, o tém nic on nie mówi i mówić nie może. I tém właśnie różni się od zwykłego realizmu; dla oznaczenia więc téj ważnéj jego różnicy możnaby go nazwać *realizmem przeobrażonym.*

III. Wywody odnoszące się do psychologii szczególnéj. Zajmując się dotąd psychologią, jako nauką o umyśle w ogóle, staraliśmy się wykryć jéj zasady, wykazać prawdy, mające powszechne znaczenie, określić prawa, kierujące każdą w ogóle czynnością psychiczną; po dokonaniu tego wszystkiego, potrzeba nam przystąpić do szczegółów, do rozważania form, w jakich się objawia ta lub inna czynność psychiczna, ten lub inny rodzaj umysłu. Naturalnie, że nie mogąc tu się zajmować psychologią szczególną w całym jéj zakresie, musimy ograniczyć się do krótkich uwag nad psychologią ludzką, i to o tyle, o ile zostaje ona w bezpośrednim stosunku do zjawisk społecznych. Słowem mamy tu rozważać psychologią człowieka, jako jednostki, która wchodzi w skład społecznego organizmu.

Zanim przystąpimy do szczególnych form umysłowéj czynności, zwanych zwykle władzami, musimy zająć się ich rozklasyfikowaniem...

Jakkolwiek zdaje się trudném wszelkie odróżnianie między umysłowemi władzami i przeprowadzanie między niemi granicznéj linii; po głębszém wejrzeniu w rzecz łatwo się przekonać, że doraźna zachodzi różnica między stanem świadomości, w którym przeważa wrażenie, czucie, a tym, w którym świadomość zaprzątniona jest stosunkami, łączącemi owe wrażenia. Stosownie do tego dzielimy najprzód umysłowe władze na *poznanie* i *uczucia*. Poznanie bywa:

1) *Poznaniem zmysłowém*, w którém świadomość zajęta jest umiejscowieniem wrażenia, wywartego na organizmie.

2) *Poznaniem zmysłowo-przypomnianém*, czyli postrzeganiem, w którém świadomość zajętą jest stosunkiem między wrażeniem, albo grupą wrażeń, a przypomnieniem wielu innych wrażeń, które towarzyszą pierwszym w doświadczeniu.

3) *Poznanie przypomniane*, w którém świadomość zajęta jest stosunkiem między pojęciem a przypomnianém wrażeniem.

4) *Poznanie podwójnie przypomniane*, w którém świadomość zajęta jest rozważaniem stosunków ogólnych, zawiérających w sobie przypomnienie stosunków szczególnych.

Podobnyż podział na cztery klasy da się przeprowadzić między uczuciami.

1) *Uczucia zmysłowe*, czyli wrażenia.

2) *Uczucia zmysłowo-przypomniane*, czyli wzruszenia.

3) *Uczucia przypomniane*, tj. wspomnienie wrażeń i wzruszeń.

4) *Uczucia podwójnie przypomniane*, te, które nie bezpośrednio następują w skutek wrażeń zewnętrznych, ale pośrednio. Sa to uczucia złożone, takie np. jak miłość własności, sprawiedliwości itd.

Należy tu zwrócić uwagę, że w miarę, jak zdolność przypominania wznosi się na wyższy stopień, poznania i uczucia dochodzą do wyższego stopnia skupienia, określenia i rozróżnienia w swych składowych częściach, co, jak wiemy, stanowi warunek rozwoju.

Jakoż widzimy, że dziecko w pierwszych chwilach swego życia posiada tylko poznanie zmysłowe i uczucie zmysłowe, i dopiéro z biegiem czasu, powoli, w miarę gromadzącego się zasobu doświadczeń dochodzi do wyższych gatunków poznania i uczucia.

Co się dzieje z człowiekiem pojedyńczym, dzieje się także z ludzkością całą. Umysłowy jéj rozwój dokonywa się równolegle z rozwojem społecznych warunków, które rozszerzając zakres doświadczenia, umożliwiają tém samém wytwarzanie się pojęć coraz rozleglejszych, bardziéj określonych, różnorodniejszych i większą po-

siadających złożoność. Gdy postęp społeczeństwa nastręcza doświadczenia coraz liczniejsze i rozmaitsze, zaczynają powoli wywikływać się z pojęć szczególnych pojęcia ogólne. Zanim do tego przyjdzie, umysł dzikiego człowieka, niezdolny objąć wielkich okresów czasu i w powolnéj kolejowości zjawisk dopatrzyć stałych stosunków, pozbawiony jest zdolności *przewidywania*. Odznacza się łatwowiernością w przyjmowaniu wszystkiego, co mu się podaje za prawdę, a zarazem nieugiętością w swych wierzeniach raz nabytych. W miarę, jak się rozwija zdolność wytwarzania pojęć ogólnych i oderwaych, rozwija się także zdolność upatrywania jednostajności, co prowadzi do pojęcia praw przyrody. W tym dopiéro okresie poczyna objawiać się duch krytycyzmu i sceptycyzmu. W dalszym ciągu wyobraźnia odtwarzająca wznosi się na stopień wyobraźni twórczéj, głównego czynnika w zakresie umiejętności, sztuk i przemysłu.

Przechodząc do rozwoju uczuciowego, towarzyszącego rozwojowi społecznemu, musimy wprzód zastanowić się nad sposobami, za pomocą których ludzie wpływają na siebie wzajemnie. Do takich sposobów należą słowa i znaki używane ze świadomością i objawy fizyczne, mimowolne, towarzyszące zwykle uczuciom. Zastanowimy się tylko nad temi ostatniemi.

Każde uczucie, bądź obwodowe, jak wrażenie, bądź środkowe jak wzruszenie, ma za współczynnik fizyczny nerwowe wstrząśnienie, które dwojaki wywiéra skutek na ciało, ogólny i szczególny. Wyzwolony w jakimś ośrodku nerwowym ruch molekularny dąży w kierunku najmniejszego oporu na całéj rozciągłości nerwowego systemu, wywołując nerwowe wstrząśnienia w innych ośrodkach. Takie jest działanie prądów nerwowych rozbiegowych. Oprócz nich są prądy ograniczone do pewnych miejscowości ciała, są uczucia, które wyłącznie związane są z pewnemi szczególnemi narządami nerwowemi.

Otóż uczucie, mające za współczynnik prąd rozbiegowy, pobudza w ogóle mięśnie do ruchu, odpowiednie do swéj mocy, najprzód mięśnie małe, takie np. jak te, któremi zaopatrzone są organa głosowe, a późniéj dopiéro wielkie, jak te, które znajdujemy na kończynach ciała, na rękach i nogach. Co się tyczy prądów ograniczonych, to pod tym względem ustalił się pewien związek drogą rozwoju między wiązką nerwów, w których umiejscowionèm jest pewne uczucie, a szeregiem mięśni, używanych zwykle gwoli temu uczuciu. Ruchy mięśni, dokonywające się pod wpływem tak prądów rozbiegowych i ograniczonych, stanowią mowę uczuć, ich wyraz.

Między prądami atoli ograniczonemi, mimowolnemi, są niektóre, używane świadomie, w celu zamaskowania pierwszych. Utrudnia to

znacznie odgadywanie uczuć z poruszeń mięśni. Co więcéj, nerwowe prądy gdy są silne działają na system naczyniowy, który ze swéj strony oddziaływając, tamuje mięśniowe poruszenia, zobojętnia energią bodźców.

W każdym razie główna przyczyna wszystkich objawów uczucia leży nie w szczególném urządzeniu, przeznaczoném zgóry dla wyrażenia uczuć, ale w powolném rozwinięciu się nerwowo-mięśniowego systemu, który się wytwarzał i kształcił pod wpływem otoczenia, w jakiém znajdował się organizm.

Poznawszy związek, jaki zachodzi między uczuciem a jego zewnętrznym objawem, możemy przystąpić teraz do rozpatrzenia się, jakie są następstwa tego związku we wzajemnych z sobą stosunkach ludzi.

Zastanawiając się nad zwyczajami zwierząt różnych rodzajów, wykrywamy, że dwie są główne przyczyny, które w różny sposób i w różnym stopniu działają na zbliżenie do siebie jednostek, lub na ich oddalenie. Są to dwie najpowszechniejsze sprawy żywotne, dwie główne potrzeby organiczne, zachowanie jednostki i rasy. Stosownie do okoliczności, w jakich się znajduje pewien gatunek pod względem warunków odżywiania się i rozmnażania, może być dla niego korzystném jedno z trojga: albo życie samotne, albo towarzyskie, albo też przez pół samotne, przez pół towarzyskie. Wzrost zwierząt pewnego gatunku, siła ich, środki obrony, rodzaj pożywienia i mniejsza lub większa trudność w wyszukania pokarmu a w końcu sposób rozmnażania się oznaczają dokładnie, czy korzystniéj dla zwierzęcia żyć tłumnie, stadem, czyli też samotnie.

Otóż u zwierząt, które, drogą powolnego rozwoju pod wpływem powyższych czynników i drogą dziedzictwa, przekazującego potomstwu nabyte przez przodków zwyczaje, wyrobiły w sobie instynkt gromadnego zycia, ustala się powoli przyjemność ze wspólnego pożycia, z obecności wzajemnéj. Jest to sympatya, współczucie, która na pierwszym kroku swego rozwoju objawia się za pomocą znaków i głosów bardzo prostych, ale wyraźnych i różnych, stosownie do tego, czy powodem jéj jest przestrach, czy radość.

Współczucie, ograniczone w zwierzętach niższego rodzaju do niewielkiéj tylko liczby uczuć, w zwierzętach, odznaczających się większym stopniem umysłowego rozwoju, współczucie objawia się w wyższéj potędze i w liczniejszych wypadkach. Do tego spotęgowania sympatyi przyczyniają się znacznie stosunki płciowe i rodzicielstwa, gdy stają się stałe i tém samém bardziéj ścieśniają węzły gromadnego pożycia.

Najsilniéj rozwinęło się współczucie w rodzaju ludzkim, w którym trzy powyższe formy towarzyskiego życia łączą się z wysoką inteligencyą. Naturalnie, że objawy sympatyi tu, tak samo jak i w różnych gatunkach zwierząt, są rozmaite, stosowie do stopnia wykształcenia pewnych ludów, plemion i ras. W każdym razie do dnia dzisiejszego znajdują się w ludzkości czynniki, które powstrzymują rozwój współczucia. Należą do nich czynności, mające na celu bądź niszczenie istot niższych gatunków, jak np. polowanie, bądź powstrzymywanie rozwoju społeczeństw, jak np. wojny.

Nie pozostaje nam teraz, jak rozpatrzéć się po krótce w grupach uczuć, zachowując pewne między niemi stopniowanie, odpowiednie podanéj wyżéj klasyfikacyi. Zwrócić tu należy uwagę, że uczucia różnią się od wrażeń i żądz tém, że nie są stanami zmysłowemi, ani gołém przypomnieniem tych stanów. Składają się z bardzo licznych przypomnień w nieokreśloną całość skupionych, połączonych z wzruszeniami mniéj jeszcze wyraźnemi, które się skojarzyły z organizmem drogą doświadczenia poprzedzających generacyj. Słowem uczucia powstają przez nagromadzanie się doświadczeń, a właściwie ich skutków. Naturalnie, że przez doświadczenie nie rozumié się tu nic innego, jak określone postrzeganie, którego terminy są połączone za pomocą *rozważanego* stosunku. Otóż w pierwszych chwilach umysłowego rozwoju nie może być tego świadomego rozważania stosunków, stanowiącego cechę doświadczenia. Zwyczajne działanie środka, otoczenia wywiéra swój wpływ na organizm, ale organizm, odbierając wrażenia, nie jest zupełnie ich świadomym; pojęcie bowiem *ja*, niezbędne dla świadomego doświadczenia, nie rozwinęło się jeszcze w umyśle, pozostającym w pierwszym okresie swego rozwoju. To nieświadome doświadczenie nie kończy się z pierwszym okresem rozwoju, lecz dokonywa się i nadal równolegle z doświadczeniem świadomém, które się staje w dalszym ciągu panującém. Wzdłuż cieniuchnego pasma pojęć jasnych, znajdujących się w stosunkach określonych, stanowiących właśnie istotę świadomego doświadczenia, ciągną się pasma o wiele znaczniejsze wrażeń, skojarzonych z sobą w sposób niewyraźny, przedstawiający liczne stopnie niepewności. Jest tylko małe ognisko w świadomości, niewielka jego sfera, składająca się z spostrzeżeń i myśli; w miarę zaś, jak pierwiastki świadomości oddalają się od tego ogniska, związki ich stają się wątlejsze tak, że na pograniczu świadomości przedstawiają się w stanie chaotycznym.

W tym to właśnie zakresie świadomości, różnorodnym i tylko w części określonym, wytwarzają się owe skojarzenia złożonych stanów, które powtarzając się ciągle stanowią to, co nazywamy uczu-

ciami. Rodowód uczuć tém się różni od rodowodu myśli, że gdy te, zawarte w środkowém ognisku świadomości, składają się z pierwiastków prostych, zostających w stałych i określonych stosunkach; to uczucia znajdują się po za swém ogniskiem świadomości i składają się z obszernych skupień bardzo złożonych pierwiastków, które nigdy wszystkie razem nie występują i których stosunki nigdy nie są te same. W wytwarzaniu się pojęć, kolejne doświadczenia zmysłowych wrażeń, albo szczególnych przedmiotów, rozbudzających całe grupy owych wrażeń, mają tyle wspólnych punktów, że każde z nich przedstawia się w myśli w sposób określony, jak podobne do tego, co je poprzedziło; przeciwnie dzieje się w wytwarzaniu się uczuć: tu następujące po sobie doświadczenia różnią się od siebie tak dalece, że każde z nich rozbudza doświadczenia przeszłe, które mają z niemi zaledwie ogólne podobieństwo.

Co się tyczy różnych rodzajów uczuć, te dadzą się ułożyć w następujące grupy:

1) *Uczucia egoistyczne*, zostające w bezpośrednim stosunku z osobistém dobrem. Do nich należy przyjemność z widoku miejsc, w których się doznało miłych wrażeń, przyjemność z posiadania rzeczy, służących do zaspokojenia potrzeb, przyjemność swobodnego działania i przykrość, jakiéj doznajemy z powodu ograniczeń naszéj swobody. Daléj zadowolenie, jakiego człowiek doznaje z nabycia pewności siebie, przekonania o swéj doskonałości pod jakimkolwiek bądź względem. Do téj grupy zaliczyć także potrzeba tak zwaną „rozkosz boleści", zagłębianie się we własnych cierpieniach i pewne w nich rozkoszowanie. Naturalnie, że tego rodzaju rozkoszowanie się w boleści nie może mieć miejsca, gdy się uznaje, że nieszczęście, jakie nas spotkało, jest zasłużoném.

2) *Uczucia egoistyczno-altruistyczne*, w których przyjemność osobista łączy się z przyjemnością innych. Tu należy uczucie pochwały i nagany, będące źródłem uczuć moralnych i religijnych, które ostatecznie rozwija się dopiéro w wyższéj fazie uczuciowego rozwoju, gdy powstaną uczucia altruistyczne. Do téj grupy należy także uczucie wstydu i wszystkie jego objawy.

Nie raz występowano z zarzutami: że rodowód uczuć, który w pochwale i naganie upatruje przyczynę powstania uczuć słuszności i niesłuszności, nie zdoła wytłómaczyć powszechnéj stałości tych uczuć i jednostajności. W odpowiedzi na ten zarzut potrzeba zwrócić uwagę, że ponieważ stałe są warunki społecznego dobrobytu, więc też i sposoby działania, postępowania, mające na celu ów dobrobyt społeczny, muszą być stałe, dla tego też musi się wytworzyć

także stała miara w ocenianiu tego, co jest pożytecznėm a co jest szkodliwém dla społeczeństwa.

3) *Uczucia altruistyczne*, będące tylko dalszém rozwinięciem poprzedniéj grupy i nie mogące być od nich ściśle odróżnione, nie są czém innėm co do swéj istoty, jak sympatyą, uczuciem towarzyskości. Do nich należy uczucie szlachetności, litość, uczucie sprawiedliwości, wyrozumiałość i przebaczenie, współczucie dla słabych i cierpiących.

4) *Uczucia estetyczne*. Uczucia estetyczne mają swój początek w popędzie do zabawy. Pierwotne czynności naszych władz tak cielesnych, jak i umysłowych, wraz z odpowiedniemi im przyjemnościami, odnoszą się zawsze do pewnych celów, mają zawsze na widoku pewne blizkie lub dalsze dobro, pożytek bądź osobisty, bądź ogólny; przeciwnie czynności, stanowiące istotę zabawy, rozbudzające uczucia estetyczne, nie mają na celu żadnego pożytku, nie dążą do zapewnienia jakiegoś dalszego dobra. Ztąd wypływa ważna różnica między tém, co jest dobre, a tém, co jest piękne. W pojęciu czegoś dobrego świadomość nasza przedstawia sobie w sposób niedokładny pomyślność szczególną lub ogólną, jako mającą się powiększyć; w pojmowaniu zaś czegoś pięknego świadomość zajęta jest nie myślą o dalszym pożytku, ale samymże przedmiotem, jako źródłem bezpośredniéj przyjemności.

Uczucie estetyczne wznosi się powoli, stopniami. Najniżéj znajdują się uczucia, mające swe źródło w zmysłowych wrażeniach; po nich idą te, które towarzyszą postrzeganiom mniéj lub więcéj złożonych form, rytmów, akordów itd. Wyższe stanowisko zajmują uczucia estetyczne we właściwém znaczeniu tego wyrazu. W nich pierwiastek zmysłowy jest tylko przypadkowym i ma podrzędne znaczenie środka, za pomocą którego rozbudzają się pewne uczucia w sposób idealny. W ogóle panującym w nich pierwiastkiem są uczucia, nie wyłączając z nich nawet egoistycznych.

Władysław Kozłowski.

PODOLE

U SCHYŁKU WIEKU XV.

(*Ciąg dalszy*).

Przedział wyraźny, stanowczy między dobrami *królewskiemi* i *szlacheckiemi* owéj epoki na Podolu, w istocie swéj, nie da się ściśléj zaznaczyć, a cóż dopiéro określić. Naprawdę, jakże bowiem uważać w tym czasie dawniejsze nadania królewskie na prawie wojenném, które nie tracąc swego charakteru co do formy, w rzeczywistości, przy niepowstrzymaném żadną mocą rozwalnianiu się węzłów służebnych a wzrastaniu dziedziczności, niewiele czém różnić się mogły od dóbr iście prywatnych. Jak uważać zastawy, posiadłości obciążane znacznemi sumami, z oznaczeniem lub bez oznaczenia ilości dożywoci, które podobnież, nie tracąc legalnie charakteru królewszczyzn, stają się dziedzicznemi, przechodzą z rąk do rąk, a rząd ani ich wykupuje, ani wykupić jest w stanie. Wprawdzie początkowo władza królewska przestrzega swych praw co do formy. Tak naprz. Teodor Buczacki, kasztelan i starosta kamieniecki, potrzebuje wyraźnego zezwolenia królewskiego na to, by na posiadanéj przez się z mocy przywileju Wł. Warneńczyka wsi Werba, w powiecie Kamien. leżącéj, zapisać (1453 r.) Piotrowi z Glinic 50 grzywien; w skutek czego zastawa ze wszelkiemi do niéj przywiązanemi prawami na tego ostatniego przechodzi (Akta Arch. bern. V. 172). Z czasem atoli i tego rodzaju zastrzeżenia się pomijają. Powoli zaś, mocą nieodwołalną samego przedawnienia obok coraz bardziéj wzbiérającéj siły wyjarzmiania się przez szlachtę z pod obowiązków służebnych, z zastawów i nadań na prawie wojennem wytwarza się istotna własność czy posiadłość prywatna. Ale tém oczywiściéj jak że tu przeprowadzić ściśle jéj rozgraniczenie z królewską, w epoce tak przej-

ściowéj pod tym względem; jak oznaczyć należycie stosunek rozciągłości jednéj i drugiéj, gdyby się miało nawet więcéj danych po temu?

Piérwotnie jednak, bezwarunkowo prawie oraz daléj z zasady, wszystko nosi piętno urzędowe, że tak powiemy, królewskie, jako nieodzowność wymagań osadnictwa na szeroki zakres, tudzież obronności kraju. Obowiązki tego rodzaju wkładały nietylko wyraźne nadania, służebne jedynie—czego udowadniać wcale nie potrzebowalibyśmy, ale nie mniéj i zastawy. Jedne i drugie wymagają, aby obdarowani za zasługi czy zastawnicy sami oraz ich prawomocni dziedzice pilnowali osobiście swych siedlisk nowonabytych, pod groźbą ich utraty. Zastrzegają to téż akta nietylko późniejsze łacińskie, lecz nawet najpierwsze na przełomie panowania litewskiego po rusku pisane. Tak we wspomnianym wyżéj liście nadawczym wsi Ladawy z r. 1410 (Zb. p. Wł. Górs. N. 1) stanowczo król Wł. Jagiełło wymaga: „a pro nedostatok ludéj, majet Seńko... sam swoim żywotom w tom sele sedety, i w toi zemli Podolskoi byty, i jeho deti i jeho namestnikowie, i jeho namiestnicy i szczadkowie...“ Co już się potém powtarza we wszystkich dalszych aktach, nawet zastawnych, w jednobrzmiących prawie wyrazach, jak naprz. w dokumencie dotyczącym. Szarawki (Akta arch. bern. IV. 146), którą tenże król daje 1433 r. w zastaw ur. Domaratowi „hoc tamen adjecto specialiter et expresso, quod in terris Podoliae residenciam faciat personalem, ipsarumque defensioni toto posse intendat...“

Powoli wszakże różnica pomiędzy czysto lenniczym a dziedzicznym majątkiem zawiéra się na korzyść dziedzicznego tytułu posiadania, gdy jednak zasada służebności jeszcze w teoryi istnieje, łatwa tedy wątpliwość nieraz, jak właściwie uważać daną posiadłość: za królewską czy téż prywatną, osobliwie gdy przez sprzedaż przechodziła ona z drugiéj do trzeciéj i t. d. ręki. Działo się podobnież i z dobrami na których ciężyły pewne sumy zastawne, spłacane, za pozwoleniem królewskiém chociażby, przez trzecie osoby, przekazujące następnie nabyte w ten sposób posiadłości prawym swym dziedzicom, pewnym, że skarb królewski zastawu od nich już nie wykupi.

Posiadłość szlachecka *dziedziczna*, wieczysta nosi i tutaj widoczne cechy *własności rodowéj*. Ztąd sprzedający zobowiązuje się zwykle względem nabywcy do bronienia go, pod swą osobistą co do strat odpowiedzialnością, od własnych braci oraz rodzeństwa, w razie jakich z ich strony uroszczeń. Tak iż zobowiązuje się naprz. Bartosz z Buczacza starosta gener. podolski, sprzedając 1456 wieś swą (ipsius perpetuam) Chmielowę ur. Goworkowi. (Akta arch. bern. IV. 164).

Prawa stanu szlacheckiego na Podolu, podobnie jak na Rusi Czerwonéj były oddawana już przez pierwszych Jagiellonów ubezpieczone. Nie poprzestając na tém, Kazimierz Jagiellończyk, nowym przywilejem swym z r. 1456 podobnie jak całéj Rusi (terris Russiae), na sejmie w Korczynie danym (Dogiel t. VII Zbioru Wł. Górsk. N. 3), zatwierdzając praelatis, baronibus, militibus et nobilibus terrae Podoliae, za ich miłość ku sobie, nadewszystko w wytrwałéj walce (veluti atteletae fideles) z niewiernėm tatarstwem czynem udawadnianą, wszelkie nadania swych przodków, zapewnia krainie téj nadto rozległą samoistność. W akcie tym bowiem daléj, przyznając, iż gdy pewne nadania (jura) jego poprzedników zostały uszczuplone, widzi za potrzebne, dla utwierdzenia saméj ziemi podolskiéj (pro confirmatione ipsius terrae) wznowić je i pomnożyć. Obiecuje tedy najprzód, że w sprawach dotyczących wyłącznie téj ziemi nic nie przedsięweźmie bez poprzedniego zaciągnięcia zdania ziemi téj radców (consiliariorum), stosownie do potrzeby czasu i okoliczności. Obok tego, gdy mu wypadnie kiedy być na Podolu, sprawy przedeń zanoszone każe sądzić nie przez obcych téj ziemi, lecz jedynie przez jéj własnych sędziów i urzędników, jak to zwykło się dziać w innych ziemiach. Nie mniéj téż sprawy w czasie jego pobytu nieroztrzygnięte mają być jedynie przez dostojników i sędziów ziemi saméj na miejscu (ubi causa vertitur) odsądzone. Nadto postanawia, ażeby kmiecie ziemiańscy nie byli przez starostów lub ich służebników (officiales) gwałtem zabierani w poddaństwo (servitutem vulgariter „mordonice“ czy nie smerdownictwo, smerdowstwo?), z zastrzeżeniem, chyba że pierwéj „villicus alias tiwon seu wataman“ razem ze wszystkimi osiadłymi kmiećmi zaprzysięgną, że jest z ich rodu i poddaństwa (de eorum genere et servitute). Oprócz tego uwalnia wszystkich ziemian od opłat celnych (a solutione theloneorum) od własnych ich przedmiotów, jak ryby z własnych stawów na targ wywożone; znosząc wszelką daninę z ryb zdawna od szlachty pobiéraną. Stanowi daléj, aby kmiecie oskarżeni o kradzieże nie byli imani przez starostów lub ich sług bez pozwolenia dziedziców, lecz sądzeni podług zwyczaju innych ziem. Nakazuje w końcu, ażeby wszelacy kupcy z towarami swemi nie śmieli zwracać na drogi niezwykłe; wzbrania oraz szlachcie, pod obawą utraty dóbr, stanowienia przez nią mytel (thelon.) nowych jakichkolwiek.

Widać przecie, iż najdokuczliwszém dla szlachty było wzywanie jéj we własnych sprawach przed sądy po za obrębem ich właściwéj ziemi, gdy oto zaraz następ. (1457) roku, musi Kaz. Jagiell. na sejmie piotrk. ponawiać jeden tylko punkt z powyższego przywileju, mianowicie: aby, z powodu wielkich strat i niemożliwości należytéj

obrony kraju od Tatarów, nie pozywano prałatów, dostojników i szlachty Ziem Ruskich i Podola po za granice ich ziem właściwych (Akta arch. bern. V. 204).

Jeśli następnie zechcemy porównać przywiléj nowo-korczyński 1456 r. dla ziem ruskich, uzupełniany jeszcze z biegiem czasu, ze statutem wydanym w tymże roku przez króla Kazimierza dla Litwy, przekonywamy się dowodnie, że Podole miało sobie zapewnionem używanie większych swobód, niż sąsiedni Wołyń z Pobereżem. W zasadzie miały odtąd ustać wszelkie szczątki nawet systemu służebnego, utrzymane jeszcze dla ziem Litwie bezpośrednio podległych.

Co zaś do względnéj *samoistności* krainy, widzimy, iż takowa, odpowiednio do rzeszowego, federalnego ustroju Rzpltej, była zabezpieczoną tak dla wszystkich Ziem Ruskich w ogóle, jak i zespolonego z niemi Podola. Podług zasadniczych ustaw tym ziemiom nadanych, granice województw były nietykalne, nie mogły być uszczuplonemi. W sprawach obchodzących ziemie ruskie w ogóle nie miał król nic stanowić, bez zasięgnięcia rady u dostojników tych krain. Tylko osiedli obywatele (bene possessionati) województwa mogli piastować miejscowe urzędy oraz zasiadać w sądach.

Nikt nie mógł być z kraju pozywanym i przed sądy obcego województwa stawionym; ani téż więzionym i karanym, póki przed sądem prawnie wina jego udowodnioną nie została. Przy uchwaleniu podatków, Podole z całą Rusią Czerwoną, jako przydzielone do prowincyi małopolskiéj, uczestniczyło razem z tamtą w sejmach jéj prow. odbywanych zwykle w Nowém mieście Korczynie. Jako zaś związane bliżéj z Rusią, uczestniczyła na zjazdach Ziem Czerwono-ruskich, w nadzwyczajnych wypadkach zwoływanych, jak naprz. po śmierci wojewody rusk. Jędrzeja z Odrowąża r. 1465, gdy uwzięto się uwolnić od dumnego tego rodu. O sprawach ściśle miejscowych radzono oczywiście na własnych sejmikach; jak niewątpliwie, gdy chodziło o urzeczywistnienie postanowionéj r. 1463 na sejmie w Piotrkowie spłaty trzymającego zamek kamieniecki w zastawie Teodoryka z Buczacza. Wiemy zaś, że zgodzono się na podatek, iście po podolsku, w jednym wole od łanu; woły te spieniężono i odebrano straż i budowę zamku staroście. (Szaraniewicz Rys wewn. stos Galicyi wsch. w dr. poł. XV w. str. 28—30 i 14).

Jak znaczny obszar zajmowały dobra *duchowne* na Podolu w owéj epoce, nie możemy tego określić, nawet poimiennie wszystkich dóbr tych nie znamy. W wykazie z r. 1493 zaznaczone są wyraźnie 3 wsi jedynie jako biskupie: Ujście biskupie przy ujściu Niklawy do Dniestru o 17 dymach, Zalesie bliżéj Zbrucza o 15-tu i ko-

szyowce (?) ledwie o 5-ciu. Czy Zińkowce pod Kamieńcem o 18 dymach oraz Czerncze wyżéj nad Smotryczem o 5-ciu należały już wtedy do biskupów kamienieckich—wiedziéć nie możemy; jak z drugiéj strony nie umiemy sobie wytłómaczyć dla czego Czarnokozińce nad Zbruczem, w owych już czasach (1467) rezydencya biskupia widocznie, pominięte w tym poborowym spisie. Możemy tylko zauważyć, że dobra biskupów kamienieckich nie były zapewne znacznemi w owéj dobie, nie mamy bowiem pewności nawet co do tego, czy owa pustynia karaczowska (Karczmarzów, późniejsza Szarogrodczyzna), zamieniona z czasem z koroną na posiadłości bliżéj Warszawy (Praga), należała już do ich obrębu.

Nawet papiéże jeszcze utyskują na ubóstwo kościoła rzymskiego na Rusi, jakby pogrążonego pośród wyznawców wschodniego obrządku: prałaci zaś polscy postępując na biskupie katedry Ziem Ruskich zatrzymują często swe dawniejsze kanonie i prebendy z przyczyny, że dochody ich biskupstw na Rusi były szczupłe i na utrzymanie przyzwoite nie wystarczały, (Theineri, Mon. Pol. et Litv. II. p. 91.173).

Majętności duchowne jednak były najbardziéj uprzywilejowane: przystosowywano do nich, za pozwoleniem króla, wyjąt. przepisy prawa kanonicznego, przez co je oswobadzano od wszystkich ciężarów państwowych z wyjątkiem podymnego. Przenoszono téż posiadłości tak świeckiego duchowieństwa jak zakonów na prawo magdeburskie, oswobadzając je przez to od wszelkiéj zależności, czy to królewskich urzędów, czy dawnych posiadaczy (Szar. Rys Gal. str. 33,34).

Ze zgromadzeń zakonnych na Podolu najstarszém co do czasu i najznaczniejszém u schyłku jeszcze XV-go w. byli Dominikanie. O uposażeniu ich w owéj epoce, również nie mamy dokładnych wiadomości. Wiemy jedynie zkądinąd, że więcéj jak przed stóleciem (1376) nadali Koryatowicze dominikanom smotryckim ziemię na osadzenie Mnichówki; na początku zaś XV wieku (1405) obdarował konwent ich kamieniecki Swidrygiełło wsią Zubrowcami (Ziubrówką) nad Smotryczem.

Posiadały też niektóre probostwa dobra ziemskie. Widzimy naprz. iż do plebanów w Jazłowcu należy wieś Znibrody, zapisana im r. 1436 przez Teodoryka z Buczacza, (Akta Arch. Bernard. II. 193).

Jak było uposażoném wtedy na Podolu duchowieństwo *obrządku wschodniego*, mianowicie władykowie dyecezyi lwowsko-halickiéj, rozciągającéj się i na Podole, wskazówek po temu żadnych nie posiadamy. Wiemy tylko zkądinąd, iż po ustaniu efemerycznéj metro-

polii halickiéj, katedra nawet téj eparchii nie była stale przez władyków zajmowaną; od r. 1473 zarządzali nią już świeccy tylko namiestnicy z ramienia króla naznaczani, z których pierwszym był szlachcic ruski Swistelnicki; w potrzebach zaś cerkiewnych nieraz miano się udawać do metropolitów sąsiedniéj Mołdawii (Szaraniewicz Rys wewnętrz. stos. Galicyi wsch. w dr. poł. XV w. str. 23—27; Zubrz. kronika m. Lw. str. 163).

Duchowieństwo i wyznawcy wschodniego kościoła po całéj Rusi koronnéj w ogóle zatrzymują w téj epoce jeszcze odrębne stanowisko. Parochowie ruscy przekazują jakby dziedzictwem swe prebendy przy cerkwiach na synów. Do takiego dziedzictwa uprawnieni też tak zw. Kryłoszanie (soborowe duch, kapituła). Siedzą oni na królewskich dworzyszczach dziedzicznie, a już Jagiełło oswobadza ich od wszystkich ciężarów, jakowe starostowie na nich wkładali. W uchwałach podatków nadzwyczajnych, nakładano na duchowieństwo ruskie od dochodów jego ogółem, po 8 groszy pogłównego, gdy inne stany z małym wyjątkiem tylko w stosunku do posiadanego majątku obciążano, paroch nazywany jest nieraz jako „laboriosus,“ „kmeto“, oczywiście gdy pochodził z rodu kmiecego. W ogóle nawet duchowni ruscy, chociaż tak często od królów polskich brani w opiekę, byli wielce zawisłymi. Opłacali się oni rajcom miejskim przy objęciu swych prebend; opłacali się starostom i ponosili ciężary, jeśli na gruntach zamkowych siedzieli. Duchowny zaś na łanach dziedzica osiadły ponosił te same ciężary, co i każdy kmieć lub człowiek użytkujący z ziemi, nie będącéj bezpośrednio od króla zawisłą (Szar. 34, 35 69).

Wszystko to pochodziło najwidoczniéj z dawnych bardzo i staroruskich czasów, opartém było na dawnych zwyczajach, jakie nowy porządek zastał i nie mógł doraźnie przeobrazić. Dziać się musiało podobnie i pod innemi względami, bez różnicy—ujemnie czy dodatnio.

Zdanie zatém jakoby też i Rusini, właśnie dla tego, że byli innowiercami wykluczeni byli od wszelkich z prawa magd. wypływających swobód i korzyści (Szar. 94), zdanie oparte na paru danych z Rusi czerwonéj, na Podolu nie znajdzie napewno najmniejszego poparcia. W akcie r. 1494 mamy spis poimienny wszystkich mieszczan w Skale, lecz za wyjątkiem lantwójta Stanisława, większość ich nosi ruskie imiona. Co więcéj, na zamku kamienieckim znajduje się jedynie cerkiew grecka, w któréj paroch obowiązany był nawet odbywać co niedzieli nabożeństwo (ritu rutenico) pod karą jednéj grzywny.

Na całym, wyżéj określonym przestworze Podola, wśród jego osad nieustannie zagrożonych i bez przerwy odnawiających się

wznosiło się w owéj dobie ledwie kilkanaście *miast* i *miasteczek*. Niech to nas jednak nie dziwi: niejeden gród starożytny nie zdołał już odrodzić się z popiołów, w jakie go obróciła burza mongolska; większa zaś część miast późniejszych czasów ledwie w postaci skromnych wiejskich osad się podnosi, lub nawet jako takie wcale nie istnieje. Stan przemysłowy krainy jeszcze do podnoszenia miast, w późniejszém onych znaczeniu, nie nagli, magdeburye też mało jeszcze widać pożądane; chodzi przedewszystkiém o zapewnienie, jeśli nie bezpieczeństwa kraju, to przynajmniéj obronności większéj; więc tyle niemal miast jedynie, ile ich zdołało się przytulić ku warowniom zameczków obronnych, usadowionych na ważniejszych węzłach grząd międzyrzecznych. Skupiają one niezaprzeczenie znaczniejszą ludność osiadłą dokoła siebie, lecz mniéj daleko jako ogniska przemysłowe, gospodarcze, niż miejsca przytułku i oparcia się wśród nieustannych niebezpieczeństw; nadto niektóre z nich, jako siedliska sądów i zarządu a zarazem miejsca wybrane czci religijnéj.

Dokładnego wykazu miast podolskich u schyłku XV-go w. w dwóch przewodnich aktach naszych nie posiadamy. Przy pomocy ubocznych źródeł atoli bez trudności da się je zgrupować. Za podstawę bierzemy poczet miast podany w wykazie poborowym z r. 1530; w potrzebie zaś odwołujemy się do wskazówek, jakie zawiérają „Starożytna Polska“ (t. II-gi) Archiw jugo zap. R. (Cz. V. t. I.) i in.

Rzuciwszy okiem na mapę, widzimy ze zamki owe i miasteczka usadowiononemi są istotnie na główniejszych punktach obronnych téj ziemi. Oto w dzielnicy czerwonogrodzkiéj: w pobliżu samego Dniestru nad Dżurynem Czerwonogród (Czerwone), nieopodal Strypy nad strugą Olchowcem Jazłowiec i Skała nad Zbruczem a starożytny Dźwinogród (Zwenihorod) nad Dniestrem już upadł. W dzielnicy kamienieckiéj: najprzód nad dolnym Smotryczem—stołeczny kamieniec, powyżéj nieco zamek Smotrycz, nad Zbruczem Czarnokozińce i Czemerówce nad Zwańczykiem; wschodnia połać téj dzielnicy widocznie ogołocona z grodków obronnych, po upadku starożytnych jéj strażnic—Bakoty, Uszycy i Sokólca. Na Nadbożu latyczowskiém: bardziéj od zachodu Międzybóż, w widłach między Bohem i Bożkiem, po środku przy ujściu Wołka do Bohu Latyczów (Letyczew), ku wschodowi Chmielnik nad Bohem, daléj Ułanów nad Sniwodą, leży zniszczony; ku dorzeczu zaś dniestrzańskiemu nad Uszką Szarawka r. 1433 wieś jeszcze w powiecie (distr.) Smotryckim, zastawiona w 50 grz. jakiemuś Domaratowi (A. A. B. IV 146) i Zińków. Na rozłogach zaś ciężącéj ku Zińkowu pustynnéj dzielnicy za Wołkiem i Kalusem, ani jednego miasteczka, jeśli nawet grodki tam jakie

doraźnie się wznosiły, jak Rów naprz. na samym rębie pustkowi stepowych, niejednokrotnie (1452 r. i późniéj) przez Tatarów palony, oraz niejeden może z chwilowych zameczków drewnianych bliżéj ku Dniestrowi.

Niemało osad, które w wykazie poborowym r. 1530 i późniejszych występują już jako miasteczka, w skutek wzrosłego z początkiem XVI-go wieku poczucia potrzeb tak obronności jak przemysłu, w spisie 1493 r. są jeszcze jako wsie podane. Tak w powiecie Czerwonogrodzkim: Jagielnica nad Czerkaską (?), Probużna 1569 r.; 1493 zaś Hrynkowce jeszcze o 13 dymach niedaleko Niklawy nad stawami, Kudryńce (o 2-ch) nad Zbruczem. W powiecie Kamienieckim: Gródek 1493 r. (Nowodwór jeszcze o 4 dym) i Czerńcze (o 5-ciu) nad Smotryczem (1569 r.) oraz Orynin (o 13) nad Żwańcem. Na Nadbożu: Czarnyostrów przy ujściu Mszańca do Bohu (1573) i Płoskirów przy ujściu Płoskiéj 1583 r. 1493 zaś (o 7 dymach tylko), nakoniec, leżące na rębie pustyni Pilipkowce nad Kalusem, miasteczko już 1530 r.

Nadto z liczby osad, które się dopiéro z końcem wieku XVI i pocz. XVII-go na miasteczka podniosły, znajdujemy w r. 1493 pomiędzy wsiami nastęjące: w pow. czerwon. Tłuste (o 7 dymach), Kasperówce (—3), Ujście biskupie (—7), Mielniec (—4); w Kamienieckiém, Zińkowce, Balina, Zbrzeź (Charzowce jeszcze o 2 dym.), Kupin (—8), Jarmolińce (—14), Dunajowce, Studzienica (—2), Uszyca i Kalni (—5); w Latyczowskiém Deraźnia (Dzerzażna) nad Wołkiem (o 14 dymach); w pustyni zastawne Letniowce i Wierzbowiec, oraz Zamiechów prawdopodobnie.

Ustęp ten o osadach miejskich winniśmy zakończyć uwagą ogólną, iż same fakta istnienia lub nieistnienia miast w danéj miejscowości oraz w pewnéj ekonomicznéj dobie całéj krainy, fakta postępowego chronologicznie ich powstawania mogą nam służyć za bardzo wymowne skazówki przy ocenianiu stanu i stopnia rozwoju saméj uprawy kraju. Z wielką bowiem słusznością w pięknym swym zarysie: „Zdobycze pługa polskiego“ Szajnocha powiada: Nim to lub owo miasteczko powstało, nie było téż wsi dokoła. Dopiéro przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającemi się w niém targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w któréj okolicy powstaje miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniéj ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Ztąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnéj całego kraju. Ilość zatém i rozmieszczenie geograficzne wskazanych wyżéj miaste-

czek i miast owoczesnego Podola niech same świadczą o istocie rzeczy.

Po rozejrzeniu zakresu i siły względnéj osadnictwa oraz falujących bez przerwy wznoszeń się i zniżań onego u schyłku XV-go w. wypada nam rzucić choć pobieżnie okiem na *gospodarkę* ówczesną.

Pod tym względem przedstawia nam najcenniejsze wskazówki akt r. 1494, zawiérający w sobie, przy okoliczności rezygnacyi czyli oddania do rąk nowemu staroście (Stanisławowi z Chodcza) trzech główniejszych zamków: Skały, Kamieńca i Smotrycza oraz miasta Latyczowa, dokładne dosyć zdanie sprawy ze stanu gospodarczego ciążących ku nim włości.

Wprawdzie dotyczy sprawozdanie to jedynie dóbr królewskich a nadto bardzo nieznacznéj wśród nich części, co gorzéj, przedstawia je w chwili najbardziéj ujemnéj, po świeżém spustoszeniu do szczętu prawie przez Tatarów i Wołochów, po jakiéjś zarazie nawet (pestis); tém niemniéj przecie, dane onego wyraźne, choć tak nieraz ułomkowe, razem ze wskazówkami ubocznemi, przeczącemi, wystarczają niemal, by powziąć przybliżone dość może wyobrażenie o charakterze ówczesnéj gospodarki.

Otóż na samym wstępie widzimy, iż wszystkie miasta Podola, nie wyłączając stołecznego Kamieńca, trudnią się w owe czasy uprawą roli przeważniéj, łącznie z innemi gałęziami wiejskiéj gospodarki.

Starostowie wszędy już przy miastach obronnych pozakładali *folwarki* (allodia); znajdujemy takowe: w Skale, Smotryczu, Latyczowie. Przy Kamieńcu tylko niema wzmianki o istnieniu folwarku; chociaż początek późniejszych „folwarków“ kamienieckich, „polskich“ i „ruskich“ owych jeszcze czasów sięga prawdopodobnie. Była już więc tedy uprawa folwarczna, dworska pod koniec XV wieku, po międzyrzecznych grzędach i jarach podolskich. Lecz w jakiéj rozciągłości, odnośnie do dóbr prywatnych szczególniéj, w jakiéj przeważającéj postaci gospodarczego trybu i porządku, na tę stronę przedmiotu, źródło nasze żadnego światła nie rzuca; pomienione folwarki leżały w chwili rezygnacyi zamków w popieliskach. Rewizor o każdym z nich z osobna w jednostajnych prawie wyrazach smutnie świadczy folwark dobry, lecz na zimę nieuprawiony, niezasiany (non cultum, non sature), żadnego tam bydła czy owiec (non oves, non boves), ani koni, ani téż drobiu jakiego nie ma, wszystko spustoszone a dwór folwarczny zniszczony. Świnie jedne czasem zostają.

Obok folwarków, ciągnęli widocznie starostowie już znaczne, znaczniejsze może dochody z *młynów*. Wszędzie je znajdujemy: przy każdém z miast oraz po wsiach ku zamkom należących. Lecz określenie rzeczywiście dawanych przez nie dochodów rocznych nie mniéj trudne: składa się i tu niemało na karb spustoszeń przez najezdców i zarazę. Dowiadujemy się przecie, iż młyn kamieniecki „juxta informationem certorum virorum" może dać (w dochodzie) chleba i piwa na 20-tu a nawet i więcéj ludzi corocznie. Młyn smotrycki „mediocriter bonum propter pestem et desertationem," nie może dać chleba i piwa jak na 23 ludzi zaledwie. Ma téż młyny Latyczów: przy mieście i w Horbaszowie. Skała również 2 młyny („molendina aquatica;" a więc bywały i wietrzne czy deptaki) posiada: jeden o pół mili od miasta, w którym się mielą słody (brasea); drugi w Łojanówcach dla zwykłego zboża (frumenta communia); w Pietniczanach zaś nie mieli „tymi czasy" z powodu zniszczenia. *Stawów* téż jest dosyć: jeden z nich tylko oznaczony jako „stagnum bonum," latyczowski; większa zaś ich część dostarcza zamkom ryb na stół, lecz nie na sprzedaż. W Białéj, do Smotrycza ciążącéj, staw należy do watamana, lecz na zamek tyle tam łowią ryby, ile trzeba „et hoc est de jure." W Mukarowie tatarskim staw „niewielki" może dawać ryb pospolitych koło 3-ch achtli (actualia).

Dochody z opłat i różnorodnych danin w naturze poznamy niżéj.

Drobnéj *uprawie roli* oddają się, jakeśmy tego już dotknęli, zarówno miasta jak wsie. Oto, poczynając od *Kamieńca*, widzimy iż uprawiają tam mieszczanie aż 100 łanów (lanei), z których połowę Polacy, drugą zaś Rusini z Ormianami. Płacąc zaś poradlnego po 1 wiardunku (o 12 groszach) od łanu, wnoszą rocznie do skarbu królewskiego razem 20 kóp gr. pols. (polonicalis numeri). Należąca do zamku kam. wieś Laskowica nie mniéj posiada, przed ostatniém spustoszeniem wołoskiém, 50 siedlisk, czyli kmieci osiadłych (kmetones possessionatos sive areae) potém spada na 11. Drobny krogulec (kormsilec?), o którym pamięć dziś się zatarła, ma już 5 kmieci tylko. Jedni i drudzy nie mają z czego płacić, więc jedynie odbywają robociznę na zamek.

Dla czego inne wsie zamkowe nie są tu zaznaczone, tego nie pojmujemy.

Miasto Skała ma przed ostatniém spustoszeniem do 90 łanów osiadłych a mianowicie: stare miasto, 51 takowych (agros possessionatos) od których z domami płaci po 10 groszy szerokich czyli po półkopy ruskiéj, 8 zaś siedlisk (areae) ma obecnie (1.494) pustych; obok tego „na nowym rynku" znajduje się 20 siedlisk rolnych (areae possessionatae) używających jeszcze woli oraz 10 pustych. Nadto

znajduje się w skale 17 dworzysk nie uprawiających roli (qui non colunt agros); lecz, gdy płacą po 8 groszy szerokich, posiadają one znaczne ogrody co najmniéj. Ku zamkowi skalskiemu ciąży 7 wsi: Pietniczany, Zahukowie, Krasiejów, Łojanówce, Jezierzany, Żylincze i Uhrynkowce. W danéj chwili jednak cała ta włość była w stanie najopłakańszym: 3 ostatnie z tych wsi zniesione przez Tatarów i Wołochów do szczętu, 4 piérwsze więcéj niż o połowę siedlisk uszczuplone. Posiadały zaś takowych (areas sive kmetones possessionatos) piérwéj: Pietn. — 24, Łojanówce — 20; Siedliska ocalałe płacą, podobnie jak miejskie, po 10 gr. szerokich a nadto pewną daninę w naturze.

Smotrycz zato najwidoczniéj zupełnie przeciwnego trzyma się gospodarczego trybu i porządku jak sąsiednie Skała i Kamieniec. Mieszczanie tutejsi niewiele jeszcze zapewne trudnią się rolą, o jakiéj w akcie nie ma żadnéj wzmianki, a dbają więcéj o chów bydła i pasieki. Dają téż podług dawnego zwyczaju, jak „za czasu Odrowąża“ (Jana ze Sprowy wojewody podolskiego i starosty kamien. 1479) po 1 wole co 3-ci rok oraz corocznie dziesięcinę miodową kto z nich ma pszczoły. Oznaczenia atoli jakiegokolwiek, czy to liczby samych gospodarzy czy ilości składanych przez nich danin lub opłat uiszczanych wcale nie znajdujemy w naszym dokumencie. Podobnież mniéj bawią się uprawą roli same wsie, należące do smotryckiego zamku. Widzimy ich tam 7: Biała (Byela), Czarna (Czermna chusta), Oknina, Łyczków, Mukarów tatarski, Trychowce i Laskowce. Zniszczonemi są one do szczętu prawie wszystkie; więc jakichże tu śladów uprawy w danéj chwili się spodziewać! Biała tedy ma, oprócz watamana i sługi, 4 siedliska (ar. pos.), które płacą po 7 groszy, ruskiemi denhami (in dencis), Łyczków—bez watamana 8 takowych, płacących po tyleż groszy, obok nieznacznéj daniny w naturze; inne bardziéj spustoszone nie dają nic lub niewiele, z dochowanych świéc (za jakiemi Tatar się nie upędzał) i miodu.

Ku Latyczowu ciążyło 3 wsi: osada Latyczów, Holeniszczów (Lenistzow) i Horbaszów. Lecz o téj włości nic prawie nie dowiadujemy się ze sprawozdania r. 1494. Rewizor bowiem, jak szczerze się do tego przyznaje, nie był wcale w tych dobrach, „propter timorem Tartarorum,“ ze strachu. Zaznacza tylko w ogóle, iż „dnus Stanislaus“ (oczywiście Stan. z Chodcza starosta kamien. etc.) winien wszelkie dochody tego miasta (opidi) oddawać JKr. Mci. Wspomina téż o zwyczajowéj tam dziesięcinie od świń i miodu, którego w tym roku jedynie 2 „actualia“ wzięto. Z wykazu tylko r. 1493 wiemy, iż liczono wtedy: we wsi Latyczowie dymów opodatkowanych 5, w Holeniczowie zaś 20; Horbaszów pominęty.

Z powyższych danych widzimy już naocznie, iż *uprawa roli* nie stanowiła głównéj, a cóż dopiéro wyłącznéj podstawy gospodarki w ogóle, nietylko ciążących ku zamkom bezpośrednio osad wiejskich, lecz nawet po części i samych miast królewskich. Nie stanowiły też przeważnego źródła dochodów opłaty wprost od roli pobierane. Kto wié nawet, czy nie równały się z niemi co do wartości daniny w naturze lub może je przewyższały jeszcze: co prawdopodobniejsze.

Co do *danin* zaś.

Były wprawdzie we zwyczaju daniny z produktów rolnictwa oraz gospodarki domowéj, lecz ustępowały innym w doniosłości. Oto ocalałe wsie zamku smotryckiego (Biała i Łyczków) dają corocznie na św. Marcina (podług zwyczaju prawa magdebur.) z łanu, oprócz 7 groszy w denh., 1 ½ kłody (tunna) owsa, ½ kłody (tunnae, cori, korca) pszenicy, a na Wielkanoc po 1 sérze i 20 jaj. Obok tego pobiéraną była z całéj włości, z osad spustoszonych nawet, dziesięcina ze świń i miodu, która pewnie znaczniejszy dochód przynosiła. Podobnaż dziesięcina przypada również i z dóbr latyczowskich. We włości skalskiéj, ocalałe po wsiach (w Pietniczanach i in.) siedliska dają, oprócz 10 gr. szer., po 1 kłodzie owsa, po 3 trzecienniki pszenicy, 2 koguty i 20 jaj na św. Wielkanocne; w roku, o którym mowa, wzięto 4 beczki miodu, do 19 złot. (flor.) sprzedane. Widocznie owa dziesięcina pszczelna „po całém Podolu“ ze wsi królewskich pobiérana, przynosiła dochód niepowszedni, a choć niejednostajny (gdyż, non omni anno fit equaliter), mniéj zależny od najezdców. W r. 1494 np. „z całéj dzierżawy“ kamienieckiéj dała ona 12 beczek, też po 19 złot. węgiers. sprzed., co wyniesie 228 fl. razem. O powołowszczyźnie jużeśmy wyżéj wspomnieli.

O stopniu *zamożności* kmieci w dobrach królewskich owego czasu daje nam wyobrażenie świadectwo spustoszeń sprawionych przez starostę wołoskiego z Chocimia we wsiach do zamku kamienieckiego należących, a jakie to świadectwo znajdujemy w akcie r. 1494. Widzimy tam najprzód, iż ze wsi Laskowicy, która przez ten najazd spadła z 50 siedlisk na 11, wrogi sąsiad „kazał uprowadzić:“ 40 sztuk bydła, 500 owiec, 20 koni i 300 świń. W Krogulcu zaś, bardziéj szczegółowy podano wykaz strat kmiecych, zabrali Wołosi: Lubianowi 10 wołów, 14 krów i ćwierć (quartale) miodu; Pietkowi 5 wołów, 5 krów, 2 suknie (tunicas) i 4 koszule (comisias); Lewkowi 5 wołów i 5 krów; wdowie Oleksowéj wzięto 5 wołów, 7 krów i 2 konie; Jesypowi nakoniec 6 wołów, 5 krów i 2 konie. Nadto ciż „ludzie chocimscy“ zabrali tymże kmieciom 20 pni (mellifodia) pszczół oraz „wszystkie sprzęty domowe.“ Że dane te przyświadcza-

ją wymownie niemałemu wcale stopniowi zamożności ludu wiejskiego, nie potrzebujemy dowodzić. Co więcéj, poważylibyśmy się utrzymywać, iż stan podobny panował wszędy po całéj krainie, po wsiach jéj i chutorach, na ile takowe przez jakiś przeciąg czasu zdołały uniknąć złowrogich nawiedzin napastników.

Ani daniny też, ani opłaty uciążliwemi dla ludu być nie mogły. Dawne daniny z rusko-litewskich czasów, jak nadzwyczajna dań na potrzeby wojenne, składana w pieniądzach (serebszczyzna) i w zbożu (djakło) tudzież danina pośmiertna (odumarlfczyzna), wybieranego na rzecz skarbu według dawnego prawa ruskiego, tak od kmieci jak od wszystkich w ogóle posiadaczy ziemskich, zostały już w zasadzie zniesione. Podymne ciężyło na wszystkich jednostajnie podobnież jak podatki w razach nadzwyczajnych uchwalane. Wyjątkowe zaś daniny, jedynie Ziemię Podolską obchodzące, rzadko przypadały: jak np. ów pobór po 1 wole z łanu, który, jak mówiliśmy, przyjęli na się Podolanie, dla wykupienia Kamieńca z rąk Buczackiego. W ogóle zaś daniny, przeważniéj w naturze, były ani liczne, ani urozmaicone, robocizna zaś, z natury już ówczesnéj gospodarki mało obarczająca. Otóż najazd pohańców jedynie ciężył i nad grzbietem kmiecym naprawdę.

By powziąć dotykalniejsze pojęcie o sile niszczącéj nieustannych *najazdów*, zejdziemy do szczegółów. Znamy je już po części ubocznie z rozproszonych powyżéj napomknień. Ale akt r. 1494 zawiéra w sobie cały ponuro-smutny zastęp takowych. Zalegają tam wszędy zgliszcza, popieliska, pustki nietylko po pohańcach Tatarach, lecz nawet po współwierczéj ludowi ruskiemu Wołoszy z po za granicznego Dniestru. Każda też burza najeźdźcza, nietylko zwykle, nie mówiąc już o łupach w statku i dobytku, ba i ludziach nawet, obraca w perzynę znaczną, znaczniejszą część nieraz każdéj z dotkniętych przez nią osad wiejskich, lecz czasem obraca je w doszczętne pustkowie. Widzieliśmy tylko co, iż pod osłoną niemal baszt zamku kamienieckiego leżąca Laskowica traci, po ostatnich nawiedzinach sąsiedzkiego burkułaba, aż 39 dymów kmiecych na 50. We włości skalskiéj: w samém mieście Skale leży (1494) 10 siedlisk pustkami obok 20 używających woli, w Pietniczanach 12 siedlisk pustych w obec drugich 12 zagospodarowanych; w Zahukowiu aż 8 w obec 2-ch, w Krasiejowie 5 dymów pustych obok 2 osiadłych; w Łojanowcach 10 używa woli „propter. destruc. Tartar.,“ drugich 10 puste; Jezierzany zaś, Żylińcze i Uhrynkowce tak były przez Tatarów i Wołochów spustoszone, „że ani jeden człowiek tam nie mieszka.“ Z 7 wsi należących do zamku smotryckiego: Czermna z Okniną „jeszcze za Odrowąża pusta,“ który postąpił z województwa po-

dolskiego na ruskie r. 1479; Mukarów zaś tatarski, Trychowce i Laskówce tego roku (1494) w niwecz przez Tatarów obrócone, tak że zaledwie w téj wsi ostatniéj tylko 2-ch ludzi, niby na pokomorném (more inquilinorum) zostało. Włość latyczowską pustoszyli pohańce właśnie, gdy rewizor król., jakeśmy to wspominali, wybierał się ku niéj.

Pobudki najazdów tatarskich nie potrzebują tłómaczenia; lecz przyświadczyć wypada, iż sąsiednią Wołoszę nieraz sami Podolacy na się wyzywali z odwetem. Kiedy też kmiecie włości kamienieckiéj pytali niedawno starostę chocimskiego za co ich oto kazał niszczyć, otrzymali w odpowiedzi: boć wojewoda podolski (Jakób Buczacki) zabrał przemocą panu memu wojewodzie wołosk. 100 wołów i 7 „półkufków“ wina greckiego!

O organizacyi *gminy* ówczesnéj niepodobna nam coś pewniejszego z danych w naszych aktach ubocznie potrącanych wnioskować, każda osada znaczniejsza najwidoczniéj ma swego watamana. Tatarskiego to panowania na Podolu zabytek, kiedy baskakowie chańscy, dbali tylko o „jasak,“ daninę należną, zostawiali gromadom wiejskim pewien widać samorząd pod ich własnymi, przyrodzonymi czy wybieralnymi naczelnikami (dawn. tiwunami), którym dostojne na wschodzie miano *atamanów* teraz nadawali. Na nich głównie spoczywała niegdyś odpowiedzialność za zbiéraną na rzecz chańską serebrszczyznę. Czy zaś i teraz należał do nich pobór podatku i danin razem z odpowiedzialnością za nie? zdaje się to być niewątpliwém. Należało zapewnie do watamana i przewodniczenie też w sądach gminnych; może zarazem ciężył na nim obowiązek zbrojnego w czasie potrzeby występowania konno, nie pieszo. Jest to cóś pokrewnego z wójtem zachodnim czy sołtysem z jednéj strony oraz kniaziem osad na prawie wołoskiém z drugiéj. Co do tego zaś ostatniego zbliżenia wydaje się ono być tém podobniejszém do prawdy, ile że i sama gmina podolska z owego czasu, nie tracąc, naszém zdaniem, głównych cech swego staro-ruskiego dworzyskowego charakteru, ściśle jeszcze była spokrewnioną, trybem życia i gospodarki, bardziéj może wypasowéj niż rolnéj, z pasterską przeważnie gminą zadniestrzańską. Wataman nie ponosi zwykle żadnych opłat, nie składa danin, a w spisach zaznaczanym bywa osobno od reszty kmieci. W pewnych wsiach przecie spotykamy go w liczbie imiennéj opodatkowanych. Obok watamana wszędy prawie stoi „*sługa*,“ oczywiście sługa zbrojny zamkowy, siedzący podobnież jak tamten razem z kmiećmi na łanie, lecz obowiązany jedynie do posługi wojennéj czy gończéj. Przy jednym z takich spotykamy uwagę: „Kuryło sługa qui servit equo.“ Miana „bojar“ wcale tu nie znajdujemy, natomiast wy-

stępuje inna nazwa—*pop* najwidoczniéj dopiéro trzecie miejsce wśród starszyzny gminnéj zajmuje. Siedząc na ławie razem z kmiećmi, wszelkie ciężary razem z nimi ponosi; czasem jednak używa woli, jest „liber.“ Masę ludności stanowią właściwi *kmiecie*.

Gdyby nas zapytano o *prawo*, jakiém się rządził i sądził, w ciągu wieku XV-go aż do onego schyłku, *kmieć* podolski, w przeważającéj swéj masie: odpowiedzielibyśmy bez wahania, że oczywiście, nie innóm, jak starém zwyczajowém prawem *ruskiém*. Nie przeczymy, przybysze od zachodu wnosili z sobą unarodowione (F. Zieliński, Liber benef. Długosza, str. 354) prawo niemieckie, czego dowodem podany między osiadłymi kmiećmi w Skale landwójt; w części choć to wątpliwe, trzymać się mogli zwyczajów swego polskiego dawnego prawa; gniazdowa jednak ludność ruska nie miała jeszcze ani powodów, ani konieczności zrywania ze starodawnym przodków obyczajem. Surowe zaś przepisy nowszego ustawodawstwa, będące wstępem do zupełnego przeobrażenia stosunków ekonomiczno-społecznych w piérwotnych ziemiach korony, na Podolu długo nawet jeszcze potém nie mogły mieć faktycznego znaczenia. Zresztą, piérwsza ustawa krępująca bardziéj swobodę kmiecą była wydaną za Jana Olbrachta dopiéro r. 1496 pod koniec już wieku. Zatém usuwając na stronę wszystko, coby się odnośnie do czasów późniejszych dało powiedzieć o wejściu w życie i na Podolu owych ustaw, połączoném z puszczeniem w niepamięć odrębności prawa ruskiego, śmiało powtarzamy, iż prawa tego zwyczaje były dotąd przeważnemi, panującemi w bycie sielskim ziemi podolskiéj.

Wypadałoby też z kolei określić i samę istotę odrębności tego prawa podług faktów życia społeczno-gminnego nowszéj krainy. Uskutecznienie atoli tego ściśle okazuje się wprost niemożliwém, dla braku w danéj właśnie chwili odpowiednich dokumentów miejscowych, zanim jednak one się z czasem znajdą, niepozbawieni jesteśmy i teraz już nawet wskazówek, jakkolwiek postronnych, tém nie mniéj posiadających dla nas wagę piérwszorzędną. Mamy tu na myśli zestawienie tego rodzaju danych oraz wypływających z nich wniosków, jakie znajdujemy w ustępnie jednéj z dawniejszych prac poważnego dziejów naszych ekonomicznych badacza (Rolnicza ludność od XV do XVI wieku p. T. ks. Lubomirskiego, Bibl. Warsz. 1858 t. I. str. 237—246). Fakta, na których autor tego studyum sąd swój opiéra, odnoszą się wprawdzie do Rusi Czerwonéj w ściślejszém miana tego znaczeniu, przeważnie jednak brane są z aktów Ziemi Halickiéj; ziemia zaś ta, jak wiadomo, jest najbliższą pod wszelakiemi względami Podolowi. Mniejsza, iż trzy jéj powiaty opasują półwieńcem jego powiat Czerwonogrodzki; jest ona z niém jednorodną pod względem

kultury, bliźniaczo z niém spojoną. A że dane te sięgają, co do czasu, bardziéj połowy wieku XV-go niż onego schyłku, tém lepiéj: Ziemia Halicka starsza nieco w kulturze od Podolskiéj, co tam mogło już przeminąć ze starych zabytków, to tu jeszcze z pewnością trwało.

Otóż widzimy podług tego, iż dochował się jeszcze na Rusi w *ustroju włości i gmin* prastary jéj porządek setny (setkowy). Właściwą też ludność rolniczą, większość jéj znakomitą stanowili ludzie (homines), „sotni.“ W prawném znaczeniu odpowiadali oni polskim kmieciom, i tak też powszednio już byli mianowani. Podział na setki miał przeważny wpływ na *swobodi* ruchu gospodarza; ilu było nad 10-ciu, 20-tu i t. d. setnych, tylu ich mogło grunt opuścić. Jeżeli kiedy nie okazało się we wsi więcéj nad 10-ciu ludzi setnych, już tego roku nikt ruszyć się nie mógł, i to stanowiło piérwszy warunek organizujący swobodę kmiecia. Warunkiem drugim było, że nie w innym czasie mógł się on wynieść, jak na święta Bożego Narodzenia, zawsze wolny od wszelkich opłat. Stanowiło to zaś odrębność ruskiego prawa, w obec niemieckiego, wymagającego osadzenia roli, albo 3-ch grzywien osiedlczyzny, oraz wołoskiego, które nakazywało dawać jałowice lub pół grzywny. Czas opuszczenia gruntu poczynał się od wigilii Bożego Narodzenia i trwał przez dwa tygodnie. Przed nadejściem terminu właściciel przez swego watamana oznajmiał wsi z któréj ugodził kmiecia, o swoim zamiarze. Wyjście odbywa się podczas dnia: porzucenie gruntu nie zawidna uważano za „nieprzystojne.“ Nazajutrz po Trzech Królach rozpoczynały się *roki*, na których rozsądzały się sprawy kmiece; przed końcem Stycznia zamykały się prawie na cały rok sądy co do tych spraw. Piérwszém pytaniem, jakie czyniono przed sądem, było: czy wieśniak stroną będący jest ze stanu mogących się *wyprowadzić*. Uznawano zaś stan albo w skutek zaprzysiężenia, bądź 6-ciu równych, bądź 2-ch tylko i watamana, albo w skutek zdania się na gromadę, „na ludztwo.“ Drugie pytanie czynione kmieciowi w sporze będącemu miało na celu dowiedzenie się, czy był nadliczbowy? Ażeby całkowicie przekonać się o tém, zsyłano woźnego dla „przeliczenia“ dworzysk (areasposs). Nie liczyli się do *setni* dziesiętnicy, duchowni (popi), karczmarze, zagrodnicy (podsądki), czeladź, ludzie nie pracujący koło ziemi, nieosiadli i wszyscy siedzący nie pod ruskiém prawem. Członkowie rodziny gospodarza setnego, „wspólnego z nim zażywający chleba“ szli za losem swéj głowy. W témże rozumieniu odróżniano bydło i rzeczy setne od bydła i rzeczy wolnych: sprzężaj do uprawy służby, dwie pary bydła, wóz, bronę i pług uważano za setne, i tém rozporządzać się nie było wolno. Dogodności prawa ruskiego w porównaniu z innemi prawami, szczególnie niemieckiemi, były tak sprzyjają-

ce *wolności* kmiecia, że ten częściéj porzucał grunt na swém prawie (ruskiém); a że ono nie wzbraniało mu przyjmowania gruntu u innego dziedzica na prawie jakiémkolwiek, przyjmował go więc nieraz na niemieckiém, w którem stałość powinności, przemaganie czynszu i zakupności nowemi były korzyściami dla niego. Na Podolu jednak, ile można przypuszczać, częstszą mogła być zamiana ruskiego prawa na wołoskie przy ciągłych pustoszeniach osad rolnych przez najezdców i konieczności zwracania się ku gospodarce wypasowéj. Co do *powinności*, rolnicza ludność na prawie ruskiém mało się różniła od kmieci polskich z wyjątkiem, że ludzie setni w znaczniejszym niźli ci stosunku, uiszczali powinności *robocizną*. Zwykle téż przy wsiach odnośnych dodawano: ,,robią ile im rozkażą, ponieważ są na prawie ruskiém.“ Znajdujemy to i w naszym akcie 1494 przy niektórych wsiach królewskich: ,,isti kmetkones nullum dant censum, sed omnes laborant labores castri quotiens ipsis mandatur;“ z zastrzeżeniem wszakże ,,praeter res domesticas.“ W obec niedogodności wypływających dla dziedziców z zapewnionéj starym obyczajem *swobody ruchu* kmiecia, starano się w najbliższém sąsiedztwie halickiém, gdzie już od 1435 poczęło obowiązywać prawo polskie, oddawna już takową *ograniczyć*. Czeladź porzucając służbę powinna była już z czasem opłacać wychód. W roku zaś 1493, więc na trzy lata przed znanym statutem Jana Olbrachta, szlachta halicka uchwałą ziemską przyjęła dla wszystkich odcieni praw, na jakich kmieć jest osiadły, następny przepis: kmieć wychodzący winien dać kopę w pióniądzach, dźber (vicum) pszenicy, 2 kłody owsa, 4 séry, 4 kopy jaj, wóz drew i wóz siana. Że jednak widome tego następstwa nie zaraz Podole z kolei dotknęły, rzecz oczywista.

Kmieć tedy podolski, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, w skutek chociażby już małego zaludnienia kraju, był jeszcze należycie *swobodnym* w swych ruchach. Wyjąwszy nieuskromionych najeźdźców mało mu kto mógł dokuczać i powstrzymywać w śmiałym, osadniczym zapędzie. Zabiegliwszym i bardziéj nieokiełznanym pewnie bywał świeży przybysz z zachodu.

W ogóle kmieć tu ówczesny czuć się musiał na tyle swobodnym, że wydawały mu się nieznośnemi nawet odwieczne prawa co go jeszcze widać dotąd zwyczajowo wiązały. Mamy tego dowód wymowny w jednéj uwadze, nawiasowéj niby, pisarza rezygnacyi zamków podols. r. 1494, w któréj wypowiedział on, samochcąc może, całą gorycz skargi kmieci na bezwzględne egzekwowanie *odumarszczyzn* po zeszłych bezpotomnie członkach gminy na rzecz władzy zwierzchniczéj, króla czy téż jego zastępców. Przysłuchajmy się téj skardze nieméj, nie mającéj i nie potrzebującéj komentarzy. Oto pan woje-

woda podolski zabrał w Zahukowiu 4 woły i 4 krowy odumarszczyzny (post manus mortus) i pola spustoszył i zboże sprzątnął; w Pietniczanach również zabrał 2 woły! I nic nadto. Nie rozumiemy tylko w jakim celu wyraźnym rewizor to zaznacza: maż to być wskazanie nadużycia niszczącego dobra królewskie? najwidoczniéj.

Wszakże jeśli kmieć-mąż, człowiek setny, przedstawiał warstwę najliczniejszą, najpotężniejszą przynajmniéj, ludności wiejskiéj Podola, jak innych ziem ówcześnie, nie była ona oczywiście jedyną. Pod nim tu jeszcze, jak w najbliższém halickiém sąsiedztwie, stał niewątpliwie najprzód przywiązany do gruntu „kabalny,“ „ordyniec,“ który się oddawał w ordyństwo czasem nawet dobrowolnie (benevole se dedit ad ordam, w kalanstwo), niesprzedawany jednak bez osiadłości. A niżéj jeszcze, niewolnik pospolity, rab, parobek, servus, podlegający jeszcze w XV w. całéj surowości staroruskiego obyczaju, powoli tylko łagodzonego widać wpływem, szczególniéj dlań dobroczynnym, kultury zachodniéj. Z drugiéj zaś strony stał w gminie po nad kmieciem, oprócz popa, watamana, sługi, blizki temu ostatniemu człek wolny zupełnie, „pochożу,“ „pochodzaszczy,“ związany tylko umową i niezaliczany do kmiecéj setni; po nad nim zaś pokrewny mu *bojar*, co tyle jeszcze zaważy w systemie obrony zamków koczowych Podola (p. Roln. lud. T. L. B. W. 1858 I. 238 etc).

Lecz tymczasem musimy zauważyć, iż klasa ta wolnego ludu, posiadaczy drobnych dworzysk, zkąd *bojarami* „podworzycznymi“ (homines curiales) nieraz zwanych (podług dobitnego określenia jedn. aktu: iste homo non est subditus sed est homocurialis alias podworzyczny, haeres agriqui habet agrum suum et est liber), najwięcéj po całéj Rusi już ucierpiała pod niepowstrzymanym działaniem wywoływanych potrzebami czasu politycznych i społecznych tam przeobrażeń. Oni przeważnie stali się nowego porządku ofiarą. Zdarzało się, że królowie, włączając do nadanéj włości dworzyska przyległe, przekazywali tém samém wyraźnie lub milcząco nowemu panu i tych posiadaczy. Powstawały spory wytaczane przed sądy. Bywały wypadki, że sądy brały w opiekę słabszych, jeśli tylko przysięgą postronnego wolnego człowieka, prawnie, swobodne posiadanie spornego dworzyska stwierdzoném zostało; częściéj takowe przecie przysądzano nowemu panu. Powoli tedy stan dawnych bojarów niknie: część, uratowawszy swą samoistność, zlewa się ze szlachtą, znaczniejsza zaś staje się kmiećmi. Wielu jednak ludzi swobodnych, nie mogąc znieść poddańczego stosunku, dobrowolnie opuszcza swe dziedziny, szukając daléj na stepach pustynią leżących swobody i przytułku (Szaran. Rys stos. Gal. str. 70, 71; Źr. dziej. t. V, wstęp str. 17, 18).

Wczesnemu też bardzo ku dalekim stepom wychodztwu przyświadcza już wymownie a smutnie Długosz (Dziej. pols. przekł. Mecherzyń. t. IV, 632). Mnożyły się, powiada on, korony polskiéj nieszczęścia, gdy zarówno przez wrogów była dociskaną, pustoszoną, jak roztrwanianą przez królewskie darowizny i zobowiązania. Zwiększała jeszcze złe tego rodzaju duma możnowładców, co otrzymawszy od króla nadania miast i wsi w Ziemiach Rusi i Podola, wyzuwali z nich dawniejszych osadników i dziedziców, którzy ubóstwem i nędzą uciskami, miotani rozpaczą, uciekali do Tatarów, prowadząc ich następnie ku pustoszeniu ziem i posiadłości, z których zostali wyrzuceni.

Czy z tém jednak, nawiasem rzecz potrącając, ma jaki bezpośredniejszy związek ów najazd, jakiego dokonała r. 1469 na Ziemię Halicką i Podole, podług świadectwa tegoż historyka (t. V, 499) liczna horda Tatarów, złożona ze zbiegów, rozbójników i wygnańców, których oni w swojéj mowie Kozakami zowią, (frequens Tartarorum exercitus ex fugitivis, praedonibus et exulibus, quos sua lingua Kozacos apellabant, collectus) wątpić się godzi, jeślibyśmy wśród tego ordyńskiego kozactwa chcieli już i ruskich wychodźców upatrywać. Gdyby nawet bowiem obecność ich tam była pewną, trzebaby było w tém zawsze jedynie bardzo wyjątkowy wypadek upatrywać, jak owe, co wywoływały powyższe skargi Długosza.

O potężném natomiast, bez przerwy, zasilaniu Podola u schyłku XV-go w. przez wzbierający coraz silniéj *przypływ osadnika polskiego* możemy wnosić, jak dotąd, przy braku danych bezpośrednich, statystycznych że tak powiemy, jedynie prawie ze wskazówek pośrednich, ubocznych. Tém nie mniéj wskazówki te są zbyt wyraźne, zbyt wymowne. Dośćby tu nawet poprzestać na faktach ogólnych, powszechniéj znanych.

A. Jabłonowski.

(Dok. nast.)

KAROLINA ŚWIETLA

STUDYUM LITERACKIE.

(Ciąg dalszy).

Piérwszy występ Świetli odbył się na kartach „Maju;“ w r. 1858 wydrukowała tam maleńki obrazek p. t. „Podwójne przebudzenie,“ w formie listów, tyle ulubionéj przez początkujące autorki. Nie ufając swoim siłom, imię własne zakryła pseudonimem, wziętym z nazwy rodzinnéj wioski swego małżonka. Lubo w ujęciu i przeprowadzeniu myśli, bardzo pięknéj i zresztą szlachetnéj, znać było nowozacięźną pracownicę; wszelako siła i bogactwo stylu, ideje, z najwznioślejszego zakresu ducha czerpane, wskazywały dowodnie, że staje przed publicznością nowa siła literacka z zadatkami nader świetnéj przyszłości. Za tym obrazkiem poszła „Spolecznice (Panna do towarzystwa),“ drukowana w następnym roczniku „Maju;“ obrazek słaby jeszcze formą, tonący w przydługich refleksyach i opisach stanu duszy, ale pociągający ku sobie rysunkiem zacnéj, skromnéj, pełnéj poświęcenia postaci dziewiczéj. W obu tych początkowych pracach już zarysował się jasno zasadniczy kierunek talentu autorki. W pomieszczonym w „Pośle z Pragi“ obrazku p. t. „Zefki“ odsłoniła się druga, brzemienniejsza jeszcze przyszłością strona jéj działalności.

Główną skarbnicą, z któréj Świetla czerpała kanwę i treść do najcenniejszych swych utworów, stanowi życie ludu w oddalonym zakątku północnych Czech, w górach Jesztedskich. Powiastki wiejskie autorki urodziły się w skutek bezpośredniego z tym ludem zetknięcia. Jak już powiedzieliśmy wyżéj, pan Mużak pochodził z tamtych stron, a lubo osiadł był stale w Pradze, gdzie zajmuje dotąd miejsce nauczyciela szkół średnich, wszelako wszystkie letnie wakacye

przepędzał w rodzinnéj wiosce, nazwiskiem Swietla, lub w sąsiednich Pasekach u krewnych swoich. Pani Mużakowa jechała chętnie z mężem; powietrze górskie zbawiennie oddziaływało na jéj skołatane zdrowie, a nadto zbliżała się do tego ludu czeskiego, który od dzieciństwa tyle kochała i ceniła. We wstępie do „Córki kamieniarza“ w zajmujący sposób opowiada o tych swoich wycieczkach. Wychowance wielkiego miasta niełatwo było przyzwyczaić się do wiejskich nawyknień, przytém krewni i znajomi z panią miejską w kapeluszu w rękawiczkach, z parasolką w ręku, obchodzili się z uszanowaniem, ale trzymali ją od siebie zdaleka. Dopiéro, gdy niegrzeczna ulewa zniszczyła kapelusz, parasolkę wiatr połamał, a w długiéj sukni trzeba było porobić zakładki, bo inaczéj nie nadawała się do przechadzek po skałach i lasach, gdy „prazka ciocia“ włożyła prostą wiejską chustkę na głowę, wtedy prysły lody nieufności, *panią* przemianowano na Prażankę i na znak pobratania się przypuszczono do zwykłych posiedzeń na *przypiecku*. Tutaj dopiéro poznała żywot ludu w całéj prawdzie i głębi, usłyszała poglądy jego, wyobrażenia, opowiadania z kroniki skandalicznéj, wspomnienia z przeszłości, roztrząsania kwestyj społecznych i t. d. Odkrył się przed nią niespodzianie cały nowy świat, którego przedsmak miała już była w odwiedzinach krewnych z Czeskiego Brodu. Świetla spostrzegła, że życie wiejskie nie jest tylko sielanką, że i przez nie przechodzą straszliwe burze i w niém odgrywają się przerażające dramata; „w tym zapomnianym zakątku naszéj ojczyzny,“ powiada, „poznałam charaktery tak nieubłaganie konsekwentne jak owe siły przyrody, co dokoła nich działają.“

„Zefka,“ piérwsza próba na tém polu, jest sobie prostém opowiadaniem o zdarzeniu rodzinném, którego autorka nie chciała, czy nie potrafiła jeszcze w jakieś wytworniejsze oprawić ramy. Było to jakby wspomnienie o zmarłéj w dziewczęcych latach synowicy pana Mużaka a córki górala jesztedskiego, co w skutek nieurodzaju wyprzedał się i przeniósł do Polski, ale tam doznał na wstępie zdzierstwa urzędników, potém gradobicia; a gdy się już jako tako był zagospodarował, padł na łoże niemocy, a za nim odeszła ze świata jego urocza Zefka. Rodzina wróciła do Czech, zostawiwszy na piaszczystym cmentarzu dwie mogiły, które dziś może wiatr zawiał bez śladu.

Właściwie wyżéj postawiony zarzut stosuje się tylko do drugiéj połowy nowelki, piérwsza bowiem zakrojoną jest na bardzo wdzięczny i misterny obrazek; ale autorce brakło czasu, czy téż siły do poddania i reszty materyału należytéj artystycznéj przeróbce. Mimo to „Zefka“ prawdą swą i prostotą robi wrażenie, a zakończeniem łzę

na oko wywołuje. Sama postać owego wiejskiego dziewczęcia nakreślona jest po mistrzowsku, poetycznie, barwiście, a styl znakomicie oddaje tok mowy i wyobrażeń wieśniaczych; „Zefka“ dała niejako przedsmak tego, czego Świetla w owym rodzaju dokonać mogła i rzeczywiście z czasem dokonała.

Za temi powiastkami poszły inne: „Zamétané (Odrzucenie)“ w Lumirze (z r. 1859); daléj drukowane w roku następnym: „W wieczór majowy“ (w Maju), „Całunki kokiétki“ (w Obrazach żywota) i osobno wydane „Láskak básnikovi (Miłość dla poety)“ i „O Agnieszce krawcównie.“ „Láskak básnikovi“ narobiła w swoim czasie hałasu w skutek pomysłu swego, któremu przesadę i ekscentryczność zarzucano. Czytając tę powieść, mimowoli przypomnieliśmy sobie „Capriccio“ Gabryelli, przynajmniéj zasadnicza jéj myśl całkiem odpowiada słowom Ksawery o swym ukochanym poecie: „On wieszcz, on święty, on wybrany Boga, a że, choć kocham, żoną być mu nie chcę, to moja cnota..., to moja świętość, to chwała jedyna. Jemu nie trzeba drogi rodzinnemi obowiązkami i rodzinną pracą utrudniać“ i t. d. To jednak, co w Ksawerze u Gabryelli jest pięknem uniesieniem, marzeniem, co rozwiało się w obec dysonansu, wyszłego od samego poety, dla Izabelli Mirohorskiéj, bohatérki romansu Świetli, jest przekonaniem, któremu poświęciła się z nieubłaganą konsekwencyą, przypieczętowawszy je życiem nawet. Kocha ona zdolnego poetę Oskara Blanskiego, w nim widzi przyszłą, nader świetną literatury ojczystéj ozdobę, nie chce wszelako dozwolić, by miłujący ją muz kochanek zaprzągł się do cięźkiéj pracy na chléb powszedni dla rodziny, jaką chce w sposób prozaiczny założyć. Ucieka więc przed nim i kryje się długo, aż dopiéro zjawia się, aby interweniować na korzyść ukochanego, gdy temu zagraża więzienie, na co naraził się śmiałemi w swych wierszach wystąpieniami. Wolność poety drogą okupuje ofiarą, oddaje bowiem rękę swą bogatemu, wpływowemu starcowi z arystokratycznego rodu, i za poświęcenie swe zyskuje tylko wzgardę dawnego kochanka; ten bowiem ani przeczuwa tajnych owego kroku pobudek. Po niejakim czasie jednak poznaje prawdę w całéj nagości i wtedy ogarnia go tak szalona namiętność, iż postanawia wszystkie przełamać zapory i zawładnąć ukochaną, aby, jak powiada, mieć nagrodę za swoje cierpienia. Trudną walkę pomiędzy sercem i obowiązkiem Izabella przecina samobójstwem, rzuca się do wody i tonie, a Oskar, pozostały na świecie z bólem swoim, „stawia jéj pomnik wieczny, nieginący... daje narodowi swemu skarb...“ w swych utworach.

Krytyka zarzucała i poniekąd słusznie, że postać niewieścia zbyt idealnie narysowaną została, a za to męzka nie dociąga do od-

powiedniéj miary i że w taki sposób wielkiego poety wyobrażać sobie nie możemy. W istocie w Izabelli autorka skupiła tyle zalet rozumu, serca i żelaznéj woli, że przekroczyła granice rzeczywistości, stawiając zamiast żywéj osoby personifikacyą idei, wyrzeźbioną jednak posągowo, po mistrzowsku. Choćbyśmy nie godzili się ani trochę na tendencyą autorki, musimy wszakże przyznać, iż myśli jéj i uczucia w nader podniosłym obracały się zakresie. „Láskak báśnikowi“ znajduje wyjaśnienie w ówczesnym nastroju patryotów czeskich. Opiérając dążności swe prawie wyłącznie na ruchu literackim, z upragnieniem wyglądali objawienia się jakiego wielkiego talentu poetycznego, któryby na podobieństwo Mickiewicza podniósł piśmiennictwo na wyżynę europejskiéj sławy i imię czeskie rozgłosił po świecie. Tymczasem pragnienia i oczekiwania nie spełniały się, pojawiały się obiecujące wiele talenta, ale jedni z tych poetów jak Macha, Kalina i Majer schodzili zawcześnie, inni łamali się w walce z przeciwnościami, inni znów, zaprzągłszy się w jarzmo małżeńskie, musieli ciężko pracować na chléb powszedni, lub odwykali od pegazowych harców przy prozaicznych, niezdolnych zrozumiéć ich kucharkach, które nieoględnie godnością żon swych obdarzyli. Świetla, w gorących swych pragnieniach podniesienia i wysławienia narodu czeskiego, chciała postawić współrodaczkom ideał, jak mają postępować, gdyby im na drodze serca jaki Mickiewicz *in spe* się nawinął. Ideał może był zbyt idealny, przesadzony, niemniéj wszelako chęciom autorki wszelka cześć i chwała!

Do „Miłości dla poety“ dołączony został prześliczny obrazek z gór Jesztedskich p. t. „O Agnieszce krawcównie.“ I ten utwór, poczerpnięty, jak mówi autorka, z opowiadań na przypiecku, opiéra się na postaci dziewiczéj, istnéj bohatérce, ale już więcéj realistycznie niż Izabella nakreślonéj. Agnieszka córka ubogiego krawca wiejskiego, i Florek, syn zamożnego *sedlaka*, miłują się nawzajem, ale ojciec Florka ani słyszéć chce o ich małżeństwie, a i krawcowie nie chcieliby swéj córki nadętemu pychą teściowi narzucać. Dziewczę jest pełne tkliwego uczucia, pobożne, czwarte przykazanie stawia wyżéj nad szczęście osobiste, sama więc kochanka do zaprzestania daremnych zalotów namawia. Florek namiętny, popędliwy, nie chce zrozumiéć pobudek zacnéj dziewczyny, a przypuszczając chłód w jéj sercu, na złość żeni się z bogatą młynarzówną, zbytnicą, elegantką wiejską i w hulaszczém życiu szuka zapomnienia swéj nieszczęśliwéj miłości. Hulanki, stroje żoneczki wyczerpują środki Florka, chwyta się więc przemytnictwa, które w tamtych stronach z powodu bliskości granicy saskiéj bardzo było rozgałęzione. Banda przemytników pod jego przywództwem prowadzi swe rzemiosło w tak zuchwały

sposób, że na ukrócenie jéj trzeba sprowadzać siłę zbrojną; przychodzi do starć krwawych i Florek plami sumienie swe nową zbrodnią... zabójstwem jednego ze ścigających go żołnierzy. Mimo że Florek chytrze zaciéra wszelkie ślady swego w przemytnictwie udziału, jednakże przypadek zdradza go, reszty dopełnia zła żona, wydając kryjówkę męża; wojsko więc udaje się na pojmanie zuchwałego herszta. W takiéj chwili Agnieszka, aby ostrzedz dawnego swego kochanka, przez góry i lasy biegnie do jego kryjówki i znalazłszy go rannego w walce, namawia do ucieczki zagranicę, ale, nim zrozpaczony, zniechęcony do życia decyduje się pójść za jéj radą, oboje spostrzegają, że skałę ze wszech stron otaczają bagnety. Zguba Florka stała się nieuchronną, przemytnika i zabójcę straszliwa oczekuje kara, nie pozostaje nic innego tylko drogo sprzedać swoje życie. W téj stanowczéj chwili słabe dziewczę zmienia się w nadludzką bohatérkę. „Nie będziesz więcéj zabijał,“ mówi, „ani ciebie nikt nie dotknie się za życia. Nie, nie, tych rąk twoich nikt nie spęta, ciała twego nie będą biczowali pachołcy a duszy twéj nie umorzą strachem i zgrozą w więzieniu. Ci ludzie, którzy kamień zamiast serca w piersiach mają, sądzić cię nie będą, nie zabiją cię... ty ucieczesz do Wyższego Sędziego, a ja pójdę z tobą, aby tam orędować za tobą.“ Florek zrozumiał myśl Agnieszki, dziewczę owinęło mu ramiona wokół szyi i mimo oporu kochanka, który na jéj śmierć nie chciał zezwolić, razem z nim skoczyło ze skały.

Tragedya ta wiejska tém większe robi wrażenie, że rozwija się na tle opowieści niesłychanie prostéj, sielankowéj, a nader charakterystycznie kolorytem miejscowym zabarwionéj. Świetla użyła tu nawet umyślnie podrzecza górali jesztedskich, ciekawego ze strony lingwistycznéj i przypominającego pod pewnym względem język białoruski, lecz uczyniła to w tym jedynym wypadku. Zważywszy, że sam lud porzuca prowincyonalne właściwości, przyswajając sobie język książkowy. Świetla ogranicza się jedynie na wprowadzaniu pojedyńczych, charakterystycznych wyrazów w tak hojnéj wszelako mierze, iż przy pomocy jéj powiastek możnaby słowniczek prowincyonalizmów jesztedskich ułożyć.

Następny rok 1861 przyniósł literaturze dwutomowy romans p. t. „Piérwsza Czeszka.“ Treść jego obraca się w domu bogatych, wynarodowionych kupców prazkich, Szemberów przetworzonych na Schönbergów, wśród wykroczeń i brudów odstrychniętéj od narodu, nieprzyjaznéj mu arystokracyi piéniężnéj, w któréj działy się takie rzeczy „jakie dziś napełniają publiczność strachem i zgrozą, gdy ta widzi je w sensacyjnych sztukach francuskich.“ Romans Świetli nie z wielką czyta się przyjemnością, nagromadzenie intryg i ciemnych

stron społeczeństwa aż nuży czytelnika, jedynie tylko na figury z ludu autorka rzuciła olśniewający słup światła. Wszelako czujemy, że wszystkie prawie szczegóły są prawdziwe, z życia, z kroniki skandalicznéj umiejętnie wybrane i zestawione w mozaikę, w przerażający obraz moralnego upadku, do jakiego dochodzą wyrodki, gdy dla czci Mammona pogardziły wszystkiém, co święte na ziemi. Piękną jest postać zaniedbanéj przez macochę sieroty, w któréj stosunki z niższą klasą, żebrakami pod kościołem, rozbudzają instynktowe poczucie narodowości. Punktem kulminacyjnym romansu jest znakomita scena, gdy na uczcie familijnéj, ów Kopciuszek rodzinny, mający z obowiązku najmłodszego uczestnika odmawiać modlitwę przy stole, rozpoczyna pacierz... po czesku ku niesłychanemu całego zgromadzenia zgorszeniu. Gdyby Świetla potrafiła była opanować szlachetne swe zresztą na renegatów oburzenie i jaskrawości występujące tu zbyt szorstko, w artystyczny uszykowała sposób, „Piérwsza Czeszka“ mogłaby rościć sobie prawo do pomieszczenia jéj w szeregu najlepszych prac autorki. W każdym razie taki, jakim jest, romans ten rzuca niemałe światła na smutną a godną srogiéj chłosty cząstkę narodu czeskiego, a czyta się przytém z drażniącém niemal nerwy napięciem.

Jakby dla otrząśnięcia się z wzruszeń, jakich musiała doznawać, rozgrzebując cuchnące śmietnisko moralne, przez wyrodków nagromadzone, Świetla zwróciła się do tych, co obyczajowi czeskiemu pozostali wierni do końca, co pojęciami swemi, przywiązaniem do zabronionéj, zapomnianéj wiary, stanowili dziwny anachronizm w XIX wieku, ale i tu smutny tylko dramat znalazła. Przywiódłszy sobie na pamięć podania, zasłyszane o rodzinie swéj, gdy ta jeszcze w Czeskim Brodzie mieszkała, ułożyła z nich dwa obrazki: „Kilka kartek z rodzinnéj kroniki“ i „Jeszcze kilka kartek z rodzinnéj kroniki.“ Rzecz ich dzieje się za czasów panowania Józefa II, w epoce, gdy panował pogląd, że „dzieci na to są dane rodzicom, aby robiły, co tym jest przyjemne i że właściwe ich przeznaczenie stanowi obowiązek służenia rodzicom do śmierci za to, że ci im dali życie.“ Takie widowisko absolutyzmu ojcowskiego podaje nam piérwszy ze wspomnionych obrazków w osobie pradziadka autorki, właściciela gospody w Czeskim Brodzie. *Panu tatínkowi* dał Pan Bóg czworo dzieci, bogato udarowanych zdolnościami umysłu i przymiotami serca: jeden syn miał talent malarski, drugi mógłby był przy odpowiedniém wykształceniu zostać niepospolitym myślicielem, wszystkie dzieci miały serca złote, pełne najszlachetniejszych popędów. Pan ojciec więcéj dbał o pełny kufel niż o dzieci; synów w czasie zgóry oznaczonym jednego po drugim oddawał do rzemiosła, jakie

sam sobie był upatrzył, a córkę najobojętniéj w świecie rozłączył z kochankiem i wydał za bogatego wdowca, byle tylko ratować mienie, w kuflu niebacznie utopione. Talenta wrodzone zmarniały i pokoszlawiły się w atmosferze całkiem sobie nieprzyjaznéj; malarzowi z czasem powróciła siostra możność oddania się sztuce, lecz było już za późno; mimo wszelkich wysiłków duch złamany na drogę prawdziwego artyzmu wejść na nowo nie zdołał. Myśliciel dorwał się starych książek teologicznych i pod ich wpływem stał się zapalonym zwolennikiem upadłéj dawno religii, co wszelako jeszcze ukradkiem pomiędzy ludem czeskim nurtowała. Zamiast filozofa zrobił się z niego fanatyk, nie przypadający do społeczeństwa, które dawno innemi poszło było już tory, które poglądało nań jako na dziwaka, bezbożnika, napiętnowało przydomkiem „Antychrysta,“ z którym podniosły, szlachetny choć skoszlawiony umysł musiał w stanowczéj znaléść się opozycyi.

Podobnąż opozycyą tylko jeszcze jaskrawszą, przedstawia pani Joanna, bohatérka drugiego obrazka. I ona podobnie jak wspomniony „Antychryst,, jest zwolenniczką nauki Braci czeskich, przejętéj potajemnie od swéj ciotki. Joanna, zwana *Adomitką*, tak lud bowiem czcił wyznawców zakazanéj naówczas, a niegdyś tak rozszerzonéj po Czechach religii, posiada umysł dzielny, śmiały, wolę niezłomną, charakter zdolny do ostatecznego dla swych przekonań poświęcenia; wiara już upadła łączy się w niéj z przeczuciem idei, na które czas jeszcze nie był przyszedł, nic więc dziwnego, że w społeczeństwie, idącém wygodnie ubitemi torami nawyknienia i rutyny, nie znajduje uznania. Ludzie na około patrzą na nią z początku jako na dziewczę dziwaczne, które Bóg wié w kogo się wyrodziło; zła opinia Johanki rośnie coraz bardziéj, aż wreszcie całe miasto ogłasza ją za najstraszliwszą bezbożnicę i bluźnierczynię, a co gorsza czarownicę, chodzącą po nocach i gwiazdy z nieba zrywającą. Gdy w końcu nieszczęśliwa pada w walce z losem, właśni jéj krewni poczytują Johankę za smutną plamę na pamięci swego rodu i nigdy nie wspominają o niéj.

Świetla czuła dobrze, iż w materyale powyższym spoczywa treść do wielkiego dzieła sztuki i że przy pomocy troszki fantazyi możnaby z dziejów każdego ze skreślonych tam charakterów wytworzyć romans bogaty w intrygę i wypadki, wszelako oparła się pokusie najprzód dla tego, że „nie chciała za fikcyą swoję podawać tego, co najzupełniéj zakorzenioném było w rzeczywistości, a po drugie, że opowiadając całkiem po prostu kilka epizodów z życia swych krewnych, nie zmieniając ani jednego zdarzenia, nie przesadzając ani jednego ich poglądu i zdania, zamyślała nakreślić, o ile można,

najwierniejszy obraz ich sposobu myślenia a przez to poniekąd ich stanu i wieku. ,,Sądzę," dodaje Świetla, „że choć w części dowiodę, że idealny w charakterach naszego ludu kierunek nie jest i nie był czémś tak okropnie niesłychaném, jakby nas chciało przekonywać kilku mędrków, przesyconych życiem, z uczuciami wyjałowionemi i miałkiém doświadczeniem, najprędzéj dla tego, by nie potrzebowali wstydzić się zbytnie... *swego kierunku.*"

Podania rodzinne dały Świetli materyał do innego téż romansu, zatytułowanego ,,O świcie," a wydanego osobno r. 1865. Tytuł już sam wskazuje, iż rzecz dzieje się w początkach naszego stulecia, gdy piérwsze promienie wschodzącéj myśli narodowéj ozłacały niebotycznych gór szczyty t. j. umysły wyższe, a zwyczajni śmiertelnicy jeszcze nawet zorzy nie dostrzegali. Opowiadanie włożyła autorka w usta jednéj ze swych ciotek, od nich bowiem wiele pomieszczonych tu szczegółów zasłyszała była, a bohatérem jego głównie jest brat opowiadającéj *Jarolím* (Hieronim), gorący narodowości miłośnik, żyjący jedynie myślą jéj odrodzenia, a niepojmowany przez masy, wśród których się obraca, a które zbyt już nizko upadły. Ten antagonizm sprowadza nań tragiczny koniec; podejrzany w wojennym czasie o sprzyjanie Francuzom i zdradę, czego potwierdzenie upatrzono w znalezionych u niego wierszykach patryotycznych, zostaje z wyroku sądu polowego najniewinnéj rozstrzelanym.

Przepyszne w romansie tym są obrazy wychowania dzieci, uczuć malców, co narodowość z mlékiem wyssawszy, w niemieckiéj szkole pobierają nauki, wycinki z życia małomiejskiego, ze sfer eleganckiego mieszczaństwa w Pradze, wszystko to przeniknięte bolesnym żalem do tych, którzy świtającéj idei zrozumiéć nie chcieli.

Z takim to żalem robi ciężki wyrzut Czeszkom, że „gdy ojczyzna poruszyła się w grobie, gdy piérwsze jéj westchnienie wstrząsnęło naród, westchnienie to nie znalazło oddźwięku w sercach niewieścich... Nie kobiéty wskrzeszały ją swemi łzami, nie kobiéty obwiązywały jéj rany, nie kobiéty natchnęły ją miłością swoją do nowego żywota!" Jeżeli dzisiejsze Czeszki w znacznéj części nie zasługują już na zarzut obojętności dla sprawy ojczystéj, niemała w tém zasługa między innemi... Karoliny Świetli i siostry jéj, Zofii Podlipskiéj. Przez dziesiątek lat jeden i drugi wiele pod tym względem się zmieniło. A niedawno jeszcze żony i córki przodowników narodu tylko pod naciskiem mężczyzn, połykając łzy gorzkie, szły na bale, widowiska i koncerta czeskie, bo tam... elegancki świat nie bywał.

Wcześniéj od powieści „O świcie" napisała Świetla kilka wiejskich obrazów, jak „Skalák", „Leśna Panna," „Cyganka" „Kamie-

niarz i jego córka"; wszystkie one mają swoje zalety, wszystkie wybierają z pośród ludu niepowszednie charaktery, zdarzenia dramatyczne, nader efektownie odbijające od ram prostych, w jakie oprawione zostały. Najwyżéj z nich stawiamy „Kamieniarza," wykończony obraz mędrca i stoika wiejskiego, pracującego ciężko w łomie wapiennym przez dzień cały, a po wieczorach całych rozczytującego się w starych księgach. W głowie tego męża znajdujemy cały skarb mądrości wiejskiéj, pomieszanéj z nieodzowną tutaj zabobonnością, a charakter jego ma tyle w sobie stanowczości i niezłomności, że gotów był córkę swoję żywcem w łomie zagrzebać, byle ją zachować od związku zgubnego, jak sądził, dla jéj duszy. Wszelako w końcu *amor vincit*!

Z tegoż samego co poprzednie roku 1863 pochodzi umieszczony w Lumirze obrazek p. t. „Kilka dni z życia prazkiego dandysa," tryskający humorem i niemiłosierną a trafną satyrą. Świetla chciała dać małą nauczkę owym kawiarnianym myślicielom, co w knajpowym gronie rozwiązują od jednego zamachu najzawilsze kwestye społeczne, a między innemi kwestyą emancypacyi kobiét. Do kawiarni wpada Odolan, syn bogatego fabrykanta, by pożegnać przyjaciół przed odjazdem za granicę w interesie fabryk ojcowskich. Odolan, wyrocznia mody, młodzieniec „blasé", jak sam siebie nazywa, rozwija nader głębokie na stanowisko niewiast poglądy i z wysoka rzuca nieodwołalny wyrok śmieszności na wszystkie te, co ośmielają się wtrącać nos do polityki, literatury i sztuki.

„Ja mówię," powiada, „że kobiéta powinna być kobiétą, to jest, jeżeli jest niezamężną, niech jéj największém staraniem będzie podobać się mężczyznom, a gdy wyjdzie za mąż, niech myje i czesze dzieci, dozoruje sługi, aby stół i bielizna były w porządku; jedynym jéj celem ma być wygoda mężowska. Przyroda stworzyła męża dla świata, a żonę dla męża; tak jest i tak na wieki zostanie." Odolan za granicą trafił na wypadki nieco odmienne od kawiarnianych przyjemnostek, a jedna z tamecznych kobiét rozwija przed nim poglądy o stanowisku i obowiązkach niewieścich w sposób, jakiego nie oczekiwał wcale, a który na nim zrobił pewne wrażenie. Wzniosłe owéj *cudzoziemki* słowa stanowią prawdziwą odę prozą o powołaniu kobiét, wypowiedzianą z wielką siłą i poetycznością; w nich autorka zamknęła wiele własnych, w głębi duszy i serca wypiastowanych idei. Nie dorównywają im umieszczone w „Kwietach" artykuły „Listy kobiéty do kobiét" (1866 r.) i „O wychowaniu niewiast" (1867 r.), nie stają one, szczególniéj ostatni, na zwykłéj wysokości Świétli tak, jak gdyby nie odważała się wypowiedziéć w rozprawce tego, co tak podniośle i stanowczo w formie artystycznéj wyraża.

W powieści „Rozcesti (Rozdroże)“ pani Karolina zabłądziła do salonów arystokracyi rodowéj, postawiwszy przy niéj dla kontrastu w osobie śpiewaczki, córki stolarza, świat mieszczański. Hasłem piérwszego jest honor, drugiego czynność. Trafnie odmalowała Świetla tę chłodną, sztywną, usypiająco przyzwoitą atmosferę, ceremoniałem form bez treści zabijającą polot umysłu i wszelkie uczucie, ale chłód przez nią malowany mimowolnie udzielił się saméj autorce i odbił w powieści, napisanéj chłodno, topiącéj fabułę w refleksyach, pełnych trafnych rzutów i uwag, lecz w każdym razie szkodzących interesowi całości. Świat arystokratyczny wypadł w powieści niezbyt korzystnie, wszelako nie autorki to wina.

Zenitu swego rozwoju Świetla dosięgła w wysoko przez krytykę cenionym „Romansie Wiejskim,“ (w „Kwietach“ z r. 1866). Na tle życia górali Jesztedskich nakreśliła nader głęboko pomyślane studyum życiowe, z niesłychaną śmiałością, do jakiéj mało który powieściopisarz jest zdolnym, zajrzała w tajniki duszy ludzkiéj i wydobyła z niéj jedno z najstraszniejszych zboczeń psychicznych.

W „Romansie wiejskim“ odmalowała ów *egoizm* miłości, który pragnie owładnąć całkowicie, wszechstronnie przedmiotem swego ukochania, prgnie go, niby niewolnika, przykuć na wieki do nóg swoich; wszelką samodzielność, wszelką działalność na jakiémkolwiek polu poczytuje za uszczerbek praw swoich i zaciekle upomina się o nie. Taka miłość chciałaby z ukochanéj osoby uczynić rodzaj indyjskiego fakira, zatopionego jedynie w celu swego umiłowania i zrywającego całkiem z resztą rzeczywistości naokoło. Ludzie, dotknięci ową chorobą, noszą w piersiach swych niezmierzoną otchłań i przemocą niemal ciągną ofiarę swoję, by w tę otchłań z zamkniętemi rzuciła się oczyma. Bohatérka „Romansu wiejskiego,“ bogata wdowa po rychtarzu (wójcie gminy), chcąc ukarać niewdzięcznego zięcia, bierze za męża młodego chłopca Antoniego, ubogiego wychowańca jéj domu, którego przez to ocala od grożącéj mu żołnierki. Aczkolwiek związek zawarty był z interesu, Antoni miał w sercu swojém tyle wdzięczności dla swéj dobrodziejki, iż z łatwością wyrobił w sobie przywiązanie małżeńskie, a dwoje pięknych dzieci jeszcze bardziéj węzeł ów wzmocniło. Rychtarka kochała męża miłością, z każdym dniem rosnącą, ale, będąc u rodziców pieszczoną jedynaczką a potém popsuta więcéj jeszcze pobłażliwością piérwszego męża, zdolną była jedynie do samolubnego uczucia, rozsądne objawy przywiązania ze strony męża przestały jéj wkrótce wystarczać, chciała w nim mieć wyłącznie wzdychającego kochanka, chodzącego za nią jak piesek, jak baranek. Antoni mężniał i dojrzewał, żywy i bystry jego umysł polubił szerokie pole działalności, jakie

mu majątek żonin nastręczał, starał się pracować dla dobra ogółu, oddziaływać na współobywateli; tymczasem rychtarka, pragnąc widziéć go wiecznie u nóg swoich, odrywała wciąż od pracy, od książki, każde oddalenie z domu oblewała łzami niby najnieznośniejszą rozłąkę – a namiętność jéj zamiast umiarkować się z postępem czasu, rosła w zatrważający sposób. Męzka dusza Antoniego wzdrygała się na taką niewolę, chciał on być mężem swéj żony, a nie jéj kochankiem jedynie—chciał przytém być czynnym, pożytecznym członkiem społeczeństwa, starał się więc wywalczyć sobie potrzebną do tego swobodę; ale rychtarka, bojąc się, by ofiara z rąk jéj się nie wyśliznęła, z całą nieoględnością kobiécą rozpoczęła otwartą walkę, używając w niéj arsenału niewieściego, utyskiwań, płaczu, wymówek, wyrzutów i najniedorzeczniejszéj, najzupełniéj nieuzasadnionéj zazdrości. Antoni pragnął już choć trochy spokoju, zapamiętałość wszelako żony przekroczyła wszelkie granice i pękła zbyt wytężona struna cierpliwości. Widział, że jedyne ocalenie pozostawało w zerwaniu z szaloną kobiétą, wzgląd na dzieci wstrzymywał go od jawnego rozłączenia, rzucił się więc do zajęcia, któreby go po za domem trzymało. W rychtarce miłość wypaliła się zupełnie, pozostały tylko pycha i samolubstwo; wszelkiemi środkami usiłowała doprowadzić męża do tego, aby ze skruchą padł do jéj nóg i błagał o przebaczenie, nie dla tego bynajmniéj, by z nim się pogodzić, lecz aby zaspokoić obrażoną dumę, nasycić się upokorzeniem tego, którego przewagę nad sobą czuła instyktowo i potém z tryumfem odepchnąć go od siebie. Antoni wszelako zanadto był już zmężniał, aby mogły go ugiąć marne kaprysu niewieściego wysiłki, ciemna więc i zaślepiona kobiéta dla dopięcia swego celu chwyta się ostatniego ludowego *remedium*..... czarów i, zapominając o domu, dzieciach, obowiązkach, jednéj wyłącznie oddaje się myśli, Duch jéj pożerany ciągłém a niezaspokojoném pragnieniem pomsty, błąka się w labiryncie zabobonów, które sprowadzają okropną katastrofę i zgubę nieszczęśliwéj.

Na tle przesądów i pojęć ludowych, spożytkowanych z nieporównaną wiernością i mistrzowstwem, rozwija się druga część powieści, a raczéj dramatu w formie powieściowéj, ponurego jak noc chmurna, straszliwemi rozjaśniana błyskami, a katastrofa spada niby przeraźliwy huk piorunu.

Każdy przyzna, że treść podobna byłaby niebezpieczną pokusą dla niejednego pióra, goniącego za efektem, za działaniem na nerwy czytelniczek i kusiłaby do malowania scen przesadzonych, lub choćby jaskrawych tylko; Świetla wszelako miała wtedy już za wiele

doświadczenia życiowego i pisarskiego, aby dać się sprowadzić z realnéj drogi.

Opowieść toczy się spokojnie, naturalnie, szczegóły obrabiane są ze starannością, może nawet zbyt drobiazgową, z wyczerpaniem położeń, malowanie stanu psychicznego nosi na sobie wszelkie znamiona prawdy i dokładności. Wszystko to może wydać się nudném tym, dla których czytanie powieści nie ma innego celu nad rozbudzenie i nasycenie ciekawości lub podrażnienie wyobraźni do najdziwaczniejszych harców, ale musi zyskać poklask ze strony czytelników, umiejących czuć i myśléć. Świętoszkom, pseudomoralistom herezyą wydać się może to śmiałe wglądanie w małżeńskiego życia tajniki, lecz na uspokojenie trwożliwych możemy dodać, że autorka wszędzie stoi na wzniosłém stanowisku etyczném, dopomina się jedynie o zobopólne małżonków prawa do wolności duchowéj, a bynajmniéj nie myśli o zachwianiu poczucia świętych obowiązków, o podkopywaniu instytucyi małżeństwa, jakby się to nowożytnym Tartuffom wydawać mogło. Ślizkim wyda się im także znakomicie pojęty i przeprowadzony w drugiéj części stosunek pomiędzy Antonim a Sylwą, jedną z najlepszych kreacyi, jakie wytworzyła Świetla. Sylwa jest dziko wyrosłym w samotności górskiéj kwiatkiem, dla dziecinnych niemal pretensyj poczytuje sobie za obowiązek pomścić się na Antonim i dla tego przyjmuje służbę u rychtarki, gdzie staje się jéj pomocnicą w dręczeniu nieszczęśliwego męża. Kilka słów energicznych, pełnych godności, nierozważnéj dręczycielce, przez tegoż wypowiedzianych, otwiérają oczy zaślepionemu, ale zdrowemu w głębi duszy dziewczęciu i Sylwa zmienia swoje postępowanie na szereg szlachetnie dopełnianych powinności tam, gdzie takowe wyrodna matka odłogiem była pozostawiła. Antoni i Sylwa nie znali prawdziwéj miłości, wszechwładna więc pani ludzkiego żywota nie minęła i tych dwojga istot i połączyła dwa serca, których dola tak wyraźnie rozdzieloną była.

W końcu Antoni pragnie przezwyciężyć przeszkodę, rozerwać związki z nienawistną mu żoną, z krajem i szukać z dziećmi i Sylwą nowego żywota gdzieś w hernhutskich osadach. W stanowczéj chwili prośby matki odwodzą go od spełnienia zamiaru, a choć, jednocześnie niemal tragiczna śmierć rychtarki ususuwa zaporę, dłonie kochanków nie łączą się ze sobą. Świeży grób roztwiéra niezapełnioną pomiędzy nimi przepaść. Sylwa ostatek życia i nadmiar sił fizycznych poświęca usłudze chorych w szpitalu, Antoni zaś, zrzekłszy się spuścizny po nieboszce, oczekuje spokojnie śmierci w ubogiéj górskiéj chałupce, i przyjmuje ją z uśmiechem, bo już „podciętym jest

korzeń jego żywota.“ Piękny ten epilog trafnie zakończa książkę, która może wzruszyć do głębi.

Prawie równocześnie z Wiejskim Romansem Świetla na zamówienia Towarzystwa „Dziedzictwo Maluczkich“, wydającego książki dla dzieci i ludu, napisała wyborną w tym rodzaju powiastkę p. t. „Szkoła me szczęście,“ wyszłą już w trzeciém wydaniu. Obrazowanie, charaktery, wybornie kojarzą się z wyrazistą dydaktyczną tendencyą, mającą za cel przedstawienie szkoły jako źródła szczęścia duchowego, a nawet materyalnego w późniejszym czasie dobrobytu w przeciwieństwie z opłakaną dolą owych dzieci, które nędza i niedbalstwo rodziców tego błogosławionego na całe życie dobra pozbawiają. Powiastka powyższa, została przetłómaczoną na język niemiecki, a przełożona na nasz język i umiejscowiona mogłaby być piękném literatury dla ludu i dzieci pomnożeniem.

Nader wdzięczny obrazek stanowi umieszczona w „Kwietach“ za r. 1867 „Córa puszczy,“ którą to córą jest młodziutkie dziewczę, przybyłe z zakątka prowincyonalnego do Pragi, do domu, według wymagań światowych urządzonego. Śliczniutka, miła figlarka broni się w naiwny sposób przymusowi, jaki na nią wkłada wielkomiejski ceremoniał. Opozycya przeciw utartym i uświęconym pojęciom i zwyczajom eleganckiego świata, w imię prawdy i naturalności, wciela się tu w sielankową postać, nader wdzięcznie zarysowaną, a w sposób dziecięcy niemal, ale niemniéj energiczny opiérającą się krępowaniu człowieka przez beztreściowe, często niedorzeczne formy światowe.

W rok późniéj ukazała się także w „Kwietach“ „Jutrzenka“, owa tragiczna historya nieszczęśliwego Souczka, samobójcy przez miłość dla ojczyzny, a w tym że samym roku jeden z najcelniejszych utworow Świetli „Krzyż nad potokiem“. Romans ów pojawił się w wydawnictwie tak zwanéj „Maticy ludu,“ która, wziąwszy sobie za cel puszczanie między lud dobrych i tanich książek, doprowadziła rzecz do tak bajecznéj taniości, iż za jeden złoty reński sześć wyborowych książeczek oddaje corocznie. Proszona o przyłożenie ręki do tak chwalebnego przedsięwzięcia, Świetla złożyła na ołtarzu dobréj sprawy utwór, co posłużył zarówno ku chwale wydawnictwa jak i saméj autorki. Widownią „Krzyża nad potokiem“ jest znowu zakątek górski pod Jesztedem, a bohatérką Ewunia, sierota, wychowana w domu zamożnych młynarzów. Dziewczę zdolne, pilne w szkole, żądne wiedzy, umiejące myśléć, czuć, umiejące patrzéć rozwartém okiem na świat Boży, w jednéj z chwil młodocianego uniesienia w obec czarownych przyrody uroków woła do nieba o próbę, by mu tyle mogła sprawić radości, ile ona czuje, patrząc na jego cuda. W upajających marzeniach dziewiczych wydziera się ze szlachetnych jéj piersi pra-

gnienie, aby „nie wyrosnąć i uwiędnąć jako kwiatek w polu, lecz dokonać czegoś takiego, coby ucieszyło Boga, ludzi i ją samą.“ W młynie Ewunia słyszy rozmaite podania miejscowe, z tych najbardziéj zajęła ją opowieść o klątwie, ciążącéj nad domem Potockich, najbogatszych we wsi wieśniaków, a skazującéj ich na to, by w ich domu nigdy prawdziwéj nie było miłości. Przeklęła ich prababka, córka ubogiego chałupnika, względem któréj ciężko zgrzeszyli Potoccy; jeden rozbudził w niéj miłość, a potém porzucił lekkomyślnie, drugi zapragnął jéj za żonę, a nie starając się nawet pozyskać serca dziewczęcia zabrał je od chciwego nielitosnego ojca jak niewolnicę, a potém czarami dobijał się praw swoich. Nieszczęśliwa w obłąkaniu utopiła się w potoku, a przed śmiercią wyklęła ród swych krzywdzicieli, w imię *prawa wiecznéj prawdy* (1), aby w nim nigdy już poczciwéj miłości nie było. Pod krzyżem przy potoku pogrzebano ciało samobójczyni, a klątwa jéj pełniła się nieubłaganie. Nie pomogły nic modlitwy, pielgrzymki, narady z księdzem, znachorami, czarownikami, tylko pewna pustelnica po długim namyśle powiedziała, że co kobiéta przeklęła, to kobiéta tylko naprawić może i wyłożyła to w ten sposób, że gdyby do domu Potockich dostała się niewiasta, którаby przy mężu wytrwała w miłości, cierpliwości i cnocie, choćby nie wiém co się działo, a mimo wszelkich uraz i krzywd na łożu śmiertelném błogosławiła temu domowi tak, jak owa prababka z nienawiści go przeklinała, to modlitwa odniosłaby zwycięztwo nad przekleństwem. Lubo autorka podanie, które kładzie w usta młynarki, opowiada z całą naiwną wiarą ludową, jednakże dobrze czujemy istotne powody psychologiczne, które tym pankom między wieśniakami nie dozwalają zażyć prawdziwego szczęścia rodzinnego.

Ewunia poświęca się na ofiarę, by wykupić ród Potockich od klątwy i, mimo oporu i próśb opiekunów, wychodzi za mąż za Stefana, najmłodszego z tego rodu. Z początku małżeństwo rokuje szczęśliwe i pogodne pożycie, ale niezadługo ujawnia się przeciwieństwo pomiędzy rozwiniętą, myślącą, pragnącą wznioślejszego, szlachetniej-

---

(1) Straszna to klątwa, w któréj *prawo wiecznéj prawdy* przypomina starożytne *fatum, ananke*. „Kto się dowoluje *prawa wiecznéj prawdy*,“ mówi autorka, „w rzeczy sprawiedliwéj, tego Bóg odtrącić nie może, aby nie osłabła potęga jego oparta na prawdzie i góry nie otrzymało piekło, którego podstawą jest niesprawiedliwość i kłamstwo“. Byłoby nader ważném dla nauki wyśledzić początek tego ludowego pojęcia, opartego widocznie na nieubłaganie konsekwentnym dualizmie Boga i piekła; rozwiązać pytanie: czy jest ono bezpośrednim szczątkiem wiary pogańskiéj, czy téż może dostało się do ludu z dogmatyki któréjś z krańcowych sekt husyckich.

szego żywota kobiétą a mężczyzną, wychowanym w dostatku, leniwym, dość pospolitych wyobrażeń a zarozumiałym. Poczynają się spory między małżonkami od chwili, gdy żona męża do rozumniejszego, pożytecznego dla współobywateli życia pobudza, a spory te rosną coraz bardziéj, im więcéj uparta i pyszna dusza mężczyzny jeżem staje w obec rozumnych rad i napomnień kobiécych. Wszystkie te rady i napomnienia Stefan bierze za osobistą obrazę i zaczyna zaniedbywać dom i żonę, szukając hulaszczéj kompanijki w gospodzie. Tymczasem do domu wraca starszy brat Ambroży, nazywany „starym kawalerem“. Ambroży pędzi życie w podróżach jako wędrowny kramarz; w obawie klątwy rodzinnéj dobrowolnie skazał się był na bezżeństwo. Stefan dostaje się w sidełka nizkiéj zalotnicy wiejskiéj i, jak mu się zdawało, znajduje w niéj serce, którego w żonie, zimnéj mądralce, nie było. Ewunia zostaje osamotniona, jedyną jéj pociechę stanowią dzieciątko i rozmowy ze szwagrem, człowiekiem, co pod szorstką powłoką kryje serce szlachetnė, umysł niepospolity, doświadczeniem w podróżach nabytém niepomiernie rozwinięty i zbogacony. Stefan szaleje, w domu robi scenę żonie, rani ją w czoło okutą w srebro fajką i sam przerażony swym czynem ucieka; wtedy Ambroży nakłania nieszczęśliwą, aby opuściła dom i męża i z nim w świat ruszyła. Ewa opiéra się téj strasznéj pokusie, Ambroży wyjeżdża w świat szeroki. Rana, zadana jéj przez męża w czoło, a drugi straszniejszy cios w serce sprowadziły długą chorobę. Okropne widzenia trapią leżącą w gorączce Ewę; między innemi „słyszy w straszliwe te noce głos opiekunów, jak ci dźwiękiem stu dzwonów kościelnych czytają z pisma świętego, że prawdziwa miłość mocną jest jak piekło, nieugiętą jak śmierć, że jéj nie zaleją wszystkie rzeki na świecie i nie ugaszą wszystkie wody niebieskie i ziemskie i z serca jéj buchał płomień takiéj miłości. I wzywała wszystkie rzeki ziemskie, a te, przypłynąwszy ze strasznym szumem, nie mogły jéj zalać i wołała wszystkie wody niebieskie i ziemskie, a te spadły z hukiem tysiąca burz, ale darmo, nie zalały płomienia jéj serca. Nie uląkł się on ani króla piekieł, ani nieugiętéj śmierci, co na czarnych przycwałowali koniach, gorzał, gorzał coraz wyżéj i wyżéj, aż dosięgnął sklepienia niebios i takowe przepalił. I spadło sklepienie obłoków z ogłuszającym hukiem, grzebiąc świat w gruzach swych gwiazd i słońc pogasłych, ale z popiołu wszechświata ciągle jeszcze buchał płomień jéj serca.“

Rzeczywiście miłość i poświęcenie Ewy nie miały granic. Skoro powstała z łoża, poszła do domu zalotnicy po męża swego, narażając się na upokarzające ze strony zuchwałéj dziewczyny przyjęcie; w nagrodę za to wróciła do domu w objęciach nawróconego Stefana.

Odtąd mąż poddał się całkowicie wpływowi kobiéty, któréj wyższość musiał ze wszech miar uznawać, a która ukazała mu piękny zakres działalności godnéj mężyczyzny i obywatela, stojącego pod względem zamożności po nad innymi sąsiadami. Stefan za namową Ewy zcstaje wójtem, wprowadza we wsi rozmaite pożyteczne reformy, a te ściągają nań spisek niechętnych. Przychodzi do bójki w gospodzie, w tém zjawia się bratu niespodzianie ku pomocy.... Ambroży. Nieszczęśliwy braterską interwencyą życiem przypłacił. Rozżalony Stefan przedaje gospodarstwo rodzinne, wynosi się ze wsi do młyna, w którym wychowała się była Ewunia, a lubo już nie piastuje żadnéj godności, ludzie chodzą do niego po radę i pomoc jako do męża zacnego i rozumnego. Obok niego siaduje blada kobiéta z głęboką, zczerniałą raną na czole, słucha go z melancholijnym uśmiechem i tylko czasami załzawione oczy zwraca w tę stronę, gdzie na cmentarzu przy kościołku za płotem głogowym spoczywa „stary kawaler“.

Przeznaczając powieść swą dla czytelników, głównie z ludu pochodzących, Świetla nie wahała się poświęcić pewnego miejsca różnym dydaktycznym uwagom nad potrzebami wsi czeskich, czego zresztą nie unikała bynajmniéj i w innych swoich utworach. Ponieważ uwagi te psuły artystyczną formę utworu, w drugim wydaniu znacznie skróciła owe ustępy, a niektóre całkiem opuściła.

(*Dok. nast.*)

Bronisław Grabowski.

Trzy rozdziały z współczesnego życia Norwegii,

STUDYUM Z PODRÓŻY ODBYTÉJ w r. 1879.

W historyi naszéj cywilizacyi uderza dziwny fakt. Czując potrzebę naśladowania kogoś, szukaliśmy zwykle przykładów tam, gdzie odrębne a raczéj szczęśliwsze od naszych okoliczności bytu wytwarzały zawsze niedościgłe dla nas ideały. Trudno słabemu kroczyć śladami silnych, naszemu drobnemu krajowi biedz torem Francyi lub Anglii. Nastraszeni tedy wysokością ideałów, zamiast dążyć, wzdychaliśmy tylko do nich...

Jednakże nie ulega wątpliwości, że sama chęć naśladowania jest także siłą. Należy tylko dla jéj wyzyskiwania poszukać zamiast wielkich—praktycznych dla nas ideałów. Zamiast tedy patrzéć w stronę oślepiającego swym blaskiem słońca, spojrzyjmy na drobniejsze, acz względnie również promienne gwiazdy....

I rzeczywiście, gdybyśmy się przyjrzeli życiu drobnych państw Europy, odnaleźlibyśmy tam wiele tych korzyści, które bezskutecznie z życia wielkich mocarstw dla naszego bytu wygrzebać usiłujemy. W dodatku, wartość każdéj instytucyi społecznéj łatwiéj się w tym razie ocenia,—nie gubią się bowiem one w całém morzu niedostępnych, czy też trudnych do wyłowienia warunków. Życie przedstawia się tu jak na dłoni, i umiejętny jego badacz łatwo odszuka wszystkie pierwiastki poczęcia i powodzenia każdego objawu społecznego.

W téj gonitwie za ideałem, niezmiernie ważnym jest również dla nas i ten lekceważony często czynnik: czy sympatyczny dla ob-

serwującego dany objaw społeczny wypływa ze źródła państwowéj, czy też jest tylko wynikiem czysto społecznéj działalności. Każdy łatwo zrozumié ważność zaznaczonéj przezemnie różnicy. Łatwiéj bowiem przychodzi zwykle przeszczepić na dany grunt korzyści wytworzone i pielęgnowane społecznemi, niż państwowemi usiłowaniami...

Norwegia odpowiada w zupełności dwóm powyższym warunkom. Jak to zobaczymy zresztą niżéj, większą część warunków swego obecnego powodzenia, zawdzięcza ona przeważnie inicyatywie prywatnéj, a więc uczciwemu zrozumieniu obowiązków obywatelskich. Jest to fundament, na którym można budować wszędzie, a u nas, jeżeli nie szczęśliwiéj, to choćby zarówno jak gdzieindziéj...

Przychodzi mi na myśl jeszcze jedna uwaga. Czemu zawdzięcza Smiles ogromną poczytność swéj „Pomocy własnéj"? Niewątpliwie tylko temu, że jest ona jednym ze środków zachęcających, a raczéj wzmacniających energią życiową. Widząc kogoś co przeszedł niebezpieczne lochy, spokojniéj suniemy tam za nim. Skorość nasza jest w tym razie w stosunku odwrotnym do przypisanych poprzednikowi środków możności. Jeżeli,—dajmy na to, mówi sobie C.—Thaunton został z prostego robotnika milionerem, to dla czegóż ja, mając od niego więcéj zasobów myśli i pieniędzy, nie miałbym mu kiedyś dorównać. I otóż uzbrojony tą pewnością, staje C. w szranki, którychby może w innym razie nie przekroczył.

Rzecz się ma podobnie z narodami. I one czerpią bowiem otuchę w tém źródle, uzbrajając się często do życia drogą podobnych analogii.

Wreszcie losy narodów nie ulegają tak silnie wpływom okolicznościowym. Widząc tedy szczupłość środków w obec wielkości powodzenia danego społeczeństwa, mimowoli uczuwamy ufność do przyszłości i zachętę do jéj zdobycia. Otóż pod tym względem, Norwegia przedstawia dla nas przykład bodaj że ciekawszy, niżli dzieje pierwszego Rotszylda dla początkującego bankiera...

Nie zapominajmy bowiem, że Norwegia liczy zaledwie 1.800.000 mieszkańców na 5.719 mil kw., a więc.. *320 dusz na 1 milę kw.*, że leży ona między 57° 57′ 45″ a 71° 11′ 40″ szerokości północnéj i że z całéj téj przestrzeni tylko 116 mil kw. jest zdolnych do uprawy gruntu, a 5.603 mil kw. to śliczne co prawda góry i skały, ale zawsze to tylko... góry i skały...

A jednak śród tych skał wykwitła kultura, wyższa pod pewnym względem od angielskiéj i francuzkiéj.

Oto kilka dowodów:

Według dat statystycznych z r. 1877 tylko 1% dzieci od lat 8 do 14 nie pobiérał wykształcenia publicznego. Byli to zresztą głuchoniemi, idyoci, synowie dwóch baronów i jednego hrabiego...

Na niecałe 2 miliony ludności, Norwegia posiadała w roku 1871—105; 1877—173; 1879—178 wydawnictw peryodycznych. Nasi czytelnicy zrozumieją pewnie doniosłość tego, przypomniawszy sobie, że my na 3 razy tyle ludności posiadamy 3 razy mniéj wydawnictw, a w dodatku, nie bacząc na wyjątkowe okoliczności naszego bytu, nie zbyt chętnie witamy każdy nowo-powstający dziennik, kiedy tu.....

Otóż właśnie brak materyału do rozmyślań, gdyż Norwegczycy błogosławią je, pomnąc, że oprócz ogólno-cywilizacyjnych korzyści, każdy nowy dziennik skutecznie pomaga do wyzwolenia narodowości norwegskiéj z pod duńskich wpływów.....

Zresztą oprócz praktycznych, oznajomienie się z Norwegią przedstawia liczne korzyści czysto umysłowéj natury. Cały ustrój polityczny tego kraju przypomina żywo jakąś Spartę lub Ateny z tą różnicą, że jeżeli nowoczesne warunki państwowéj organizacyi nie pozwalają wszystkim jego członkom przyjmować żywego bezpośrednio udziału w sprawach politycznych, w zamian nie ma tu owych chropowatości, właściwych klasycznéj Grecyi. Nie ma tutaj patrycyuszów, albo raczéj—wszyscy są patrycyuszami. Przywileje garstki uzyskali tutaj wszyscy obywatele, słowem, Norwegia to typ idealnie demokratycznego państwa.

Tak więc korzyści i ciekawość, jakie przedstawia Norwegia, usprawiedliwiają racyą bytu téj mojéj pracy. Winienem jeszcze dodać jednę uwagę. Krótki pobyt w Norwegii, nieznajomość jéj języka, a co ważniejsza, zupełny brak w któréjkolwiek z ościennych literatur ułatwiającéj me zadanie pracy, uniemożliwiły mi gruntowne zbadanie najważniejszéj dla nas strony przedmiotu. Rozumiem oświatę ludową. Praca ta stanowi tedy studyum w stosunku do moich usiłowań, ale nie do norweskiego bytu. Jeżeliby jednak garstka zebranych przezemnie danych znęciła, a niewątpliwe w obec powyższych uwag powodzenie podobnego studyum zdołało skłonić kogokolwiek z rodaków do podjęcia téj pracy z uwzględnieniem naszych krajowych stosunków, uważałbym cel mojej pracy za najzupełniéj dopięty.....

I.

Norweskie słońce.—Chłopki z Telemarkenu.—Rozmowa z pastorem.—Zniesienie szlachectwa.—Powieść duńska o Polakach.—Sympatya Norwegczyków dla Polaków.—Przechadzka w góry.—Charakter wsi norweskich. — Środki komunikacyi. — Smutny los pastorów i nauczycieli.—Dla czego w Norwegii nie ma kwestyi klerykalnéj?—Uposażenie pastorów i nauczycieli.—Córka Olsena.—Górskie czarodziejki.—Wpływy oświaty elementarnéj.— Środek zdobycia popularności.—Główna przyczyna pomyślności norweskiéj. Ilość szkółek i uczących się.—Dodatkowe przychody nauczycieli.—Krajobraz.—Wodospady.—Niespodzianka.—Chałupy norweskie.—Stabur.—Historya Petersona.—Nieograniczona wolność nauczania.—Prawo o nieumiejących czytać.—Obowiązkowy termin nauczania. - Wyższe szkoły ludowe.— Sposób ich urządzenia.—Myśl Petersona.—Radykalizm na polu oświaty.— Zdanie pastora.—Noc.— Rozstanie.

— A co panie, mówił mi śmiejąc się siwy już pastor z okolic Telemarkenu, kończąc apologią swojéj ojczyzny: czyż nie stworzył nas Pan Bóg w chwili swéj nieograniczonéj miłości?,..

Oczy jego świeciły radośnie, podbródki umizgały się do siebie a cała twarz zdradzała takie zadowolenie z własnego i bliźnich losu, że mimowoli zawtórowałem mu unisono.

Przez otwarte okna pokoju wkradały się promienie norweskiego słońca. Paliły one niby afrykańskie ich rówieśnice, snać wynagradzając sobie krótkość swego tutaj pobytu. Zboże i owoce rosną wtedy pod ich wpływem z szybkością eukaliptusów. Winogrona strzelają w górę na pokrytych w innéj porze śniegiem wierzchołkach skał, a morele i brzoskwinie zabarwiają się puchem i rumieńcem, niby twarzyczka kręcącéj się w téj chwili po pokoju córki pastora Hjalmary.

Zdala błyszczały wody jeziora Tinsjö i zieleniały się potężne lasy Telemarkenu. Przed naszemi oczyma przesuwały się nieustannie w swych malowniczych strojach piękne mieszkanki Telemarkenu, poprzedzane przez młodzież i starsze kobiéty. Dochodząc do wody, chwytały za wiosła i wraz z chłopcami odbijały od brzegu. Wiosła uderzały miarowo o powierzchnię jeziora, popychając łódki naprzód z ogromną szybkością. Chwilami znowu uderzały figlarki w odwrotnym kierunku wiosłami: wtedy podnosiły się strumienie wody, oblewając wraz z ofiarami grzechu i same grzesznice. Matki ich tymczasem trzymały małe książeczki w rękach, skracając sobie czytaniem nudy podróży...

— Spojrzyj pan—rzekł do mnie pastor, oto nasze chłopki, albo nie, oto Norweżanki. Od r. 1821 gdy zniesiono w Norwegii szla-

chectwo—nie ma u nas więcéj oddzielnych klas narodu, jest tylko jedna klasa obywateli.....

— Więc nie macie w całym kraju ani jednego barona lub hrabiego?....

— Przeciwnie, mamy jeszcze trzech. Prawo wstecz działać nie może. Z dniem tedy, kiedy umrą owi trzéj urodzeni przed r. 1822, nie będzie ani jednego szlachcica w Norwegii. A więc tak,—ciągnął daléj pastor, jesteś pan w idealnéj krainie chłopów. Widzisz tutaj tego przechodzącego w siermiędze Olsena, to deputowany naszego okręgu. Miał on podczas ostatnich posiedzeń stortingu słynną mowę w przedmiocie założenia u nas wyższéj szkoły ludowéj...

Przechodzący Olsen zatrzymał się przed naszém oknem, przywitał się z pastorem, który szepnął mu słów kilka, wskazując na mnie, poczem Olsen wszedł dokoju.

Przedstawienie było krótkie, rozmowa jeszcze krótszą. Nie zrozumieliśmy się. Dzielny Olsen mówił tylko po norwesku, acz ze zwykłym chłopom zdrowym rozsądkiem począł zadawać mi pytania przez pastora.

Polska nie była mu obcą. Jest bo sławna powieść duńska (norweska) „Z nad brzegów Wisły“, opiewająca cuda o nas. Olsen, tedy słyszał, że u nas zamiast ludzi mamy aniołów, o naszém poświęceniu się i miłości dla dobra ogółu. W dodatku, Olsen umiał słowa kilku polskich piosenek, które wyśpiewywała córka jego. Zkąd one się tutaj wzięły, tego mi ani on, ani pastor nie mógł wyjaśnić (1). Rodaków naszych było tu zaledwie kilku, a wyjąwszy fotografa i dwóch krawców w Chrystyanii, nie napotkałem tutaj obecnie Polaków.

Lecz pastor uderzywszy się w czoło, po chwili śmiejąc się dodał:

— A jednak cywilizacya wasza, tak odrębna pozornie od naszéj, wpłynęła jednak na nią znakomicie. Oto jeden z waszych rodaków nauczył nas w Telemarkenie jeść grzyby. Zapytaj zresztą o to Ole Bolkesjö (2), a więc za zdrowie waszego kraju. .

Stuknęliśmy się tedy kieliszkami, przekąsiliśmy twardym norweskim fladbröd, a kiedy Olsen zaproponował, byśmy z okazyi święta ruszyli na przechadzkę w góry,— poszliśmy chętnie za jego radą.

---

(1) Słyszałem je późniéj w Upsali śpiewane przez studentów z bractwa Södermanland...

(2) Jest to bogaty chłop mieszkający w okolicy Tinoset, który mi późniéj wyjaśnił, że Polakiem tym ma być p. Dzwonk... ongi powszechnie szanowany księgarz w Chrystyanii, obecnie zamieszkujący w Warszawie.

Probostwo a raczéj kilka chat wioski przedzielało nas od jeziora Tinsjö. Była to bowiem osada jak prawie wszystkie norweskie osady, w których często całe wiorsty przedzielają jednę chałupę od drugiéj, ogromne góry lub jeziora rozgraniczają wtedy dwóch sąsiadów.

Mały statek Rjukan, przebiegający kilka razy na tydzień całe Tinsjö, utrzymuje komunikacyą ich ze światem, przywożąc im listy i gazety. Drobne łódki oczekują przy brzegu, dopływają do przebiegającego Rjukanu, zabiérają posyłki i roznoszą je potém po osadzie. Rozumié się, że trudno myśléć w takich wioskach o jednéj szkółce. Są tedy nauczyciele wędrujący. Przechodzą oni z miejsca na miejsce. Zatrzymują się zaś tam gdzie przebywa w pobliżu siebie około trzech chłopów. Jeden z nich daje mu stół, drugi—mieszkanie, nauczyciel przebywa czas jakiś między nimi, poczém rusza daléj w góry.

Zresztą, okolice Telemarkenu są jeszcze pod tym względem w szczęśliwém położeniu. Wioski nie są tutaj jeszcze tak rozrzucone, jak we wnętrzu kraju. Okolice fjordów acz przerznięte górami i skałami, jednak ze względu, że ludność zbiegła się głównie do nich, przedstawiają punkty dosyć zaludnione. Ale daléj na północy, gdzie często mieszka trzech lub czterech gospodarzy na przestrzeni kilku górzystych wiorst, gdzie oddzielne chałupy przedzielają skaliste przepaści, tam zajęcie wędrownego nauczyciela nie należy do bardzo ponętnych.

To samo stosuje się także i do zajęcia proboszczów. Parafie wskutek rozrzucenia ludności zajmują często ogromne przestrzenie i pastor zmuszony bywa o mil kilka dążyć do umarłego. Latem, może to być jeszcze więcéj lub mniéj przyjemną przechadzką, ale zimą kiedy dla skrócenia sobie drogi drapać się trzeba po zamarzniętych skałach, zsuwać po górach, przechodzić zamarznięte jeziora, wtedy rozumié się trzeba oprócz zwykłéj pastorskiéj i obywatelskiéj jeszcze gorliwości, by podołać obowiązkom.

Norwegczycy nie mają co prawda takich parafii jak np. Gellivara (w szwedzkiéj Laponii), która jest większą od królestwa Wirtemberskiego, ale w przecięciu probostwa norweskie są większe od szwedzkich.

— Czém się to jednak objaśnić daje—spytałem proboszcza, że te kolce zamiast odstraszyć, nęcą ku sobie pastorów i nauczycieli?

Pytanie moje tém łatwiéj usprawiedliwić, gdy zważymy, że każdy pastor *obowiązanym* jest ukończyć uniwersytet, co się także da powiedziéć i o wielu nauczycielach ludowych.

Staruszek zakłopotał się chwilowo, ale po krótkim namyśle odrzekł:

— Przyczyna bardzo prosta. Miłość do kraju zmusza nas do pozostania tutaj, a brak innych zajęć — do obrania tych stanowisk. Z drugiéj strony, wysokie i zaszczytne stanowisko pastorów i nauczycieli zachęca wielu do poświęcania się tym zawodom. To panu tłómaczy dla czego na 637 pastorów, jakich Norwegia miała w r. 1877, ze ³/₄ ukończyło uniwersytet. Przytém nie znamy tutaj żadnych kulturkampfów i nienawiści do duchowieństwa. Stojąc na poziomie umysłowym wszystkich wykształconych i dobrze myślących, zamiast ciągnąć ich za poły, przeciwnie podajemy im ręce i kroczymy razem po drodze postępu. Nie mniéj ważną jest może i ta okoliczność, że uposażenie nasze jest niezmiernie skromne: mieszkanie, kawałek gruntu, dziesięcina i jeszcze inne drobne dochody, które razem wzięte dają zaledwie przeciętnie około 3.000 fr. rocznie. Nie budzimy tedy wokół siebie zazdrości. Lud bowiem widzi, że poprzestajemy na małém, karmiąc się często, zamiast chlébem, poczuciem spełnionego obowiązku. Powierzono nam oświatę ludową. Każdy pastor piastuje urząd prezesa komitetu zawiadującego szkołą gminną, a do chwili obecnéj nie było żadnych zatargów tak pod względem oddziaływania na kierunek oświaty, jak i co do obioru jéj kierowników.

Stanęliśmy w téj chwili na brzegu jeziora. Kilka łódek lekko przywiązanych do pali wbitych w ziemię kołysało się na wodzie. W każdéj z nich leżało po kilka par wioseł.

— Którą obierzemy? spytał Olsen.

Zdziwiło mnie to niepomiernie.

— Jakto, czy łódki te stanowią własność gminy? spytałem pastora.

— Bynajmniéj, tylko właściciele zostawiają je najspokojniéj wraz z wiosłami na brzegu. Przechodzień ich potrzebujący przejeżdża na drugą stronę, a gdy zjawi się znów ktokolwiek na drugiéj stronie, transportuje je powrotnie. Zresztą nie ma u nas kradzieży czółen, jak nie ma kradzieży w ogóle.

Pastor usiadł tedy u steru, a ja z Olsenem ujęliśmy za wiosła.

Zaledwie odbiliśmy od brzegu, kiedy u zrębu sąsiedniéj skały ukazała się oczom naszym łódka mieszcząca w sobie cztery młode dziewczyny. Wszystkie wiosłowały zamaszyście, zachowując cudny takt, godny majtków floty wojennéj. Między niemi była jedna z córek Olsena...

— Czy ta, co śpiewa polskie pieśni? spytałem pastora i nie czeczekając odpowiedzi zrobiłem zawrót w lewo, pastor skręcił stér

i otóż znaleźliśmy się w sąsiedztwie nadobnych cór Telemarkenu...

Olsen, który domyślił się nagłego powodu mych zapałów, szepnął coś swéj córce i po chwili rozległy się po jeziorze poważne dźwięki dawno już niesłyszanéj przezemnie pieśni...

Po chwili, dziewczęta, snać wyczytawszy dziękczynienie w mych oczach, uśmiechnęły się lekko i pomknęły żwawo naprzód...

— Zkąd te czarodziejki? spytałem pastora...

— Dobrześ je nazwał, bo z równym talentem śpiewają pieśni, z jakim doją krowy, żną w polu i czytają Wörgelanda lub Björnsond.

Starego pastora widocznie cieszył podziw i zachwycała moja ciekawość, gdyż z każdą chwilą stawał się rozmowniejszym.

— Dziwne to odezwał się w kilka minut potém, jak wychowanie zmienia postać ludu. Spiérano się i u nas długo, czy nauka czytania i pisania, do czego się zwykle początkowo redukuje działanie na tém polu, wywiéra wpływ tak zbawienny. A jednak niewątpliwa, że od elementarza do zrozumienia Ibsena czy Grundtwiga jest przestrzeń daleko mniejsza niż od nicości do elementarza. Ciekawość bo jest jednym z najpotężniejszych bodźców. Podrażniony abecadłem umysł sili się prędko wybiedz po za jego granice.

Z prostaczków wyrastają tym sposobem ludzie wykształceni, z wykształconych olbrzymy myśli. Geniuszów wydaliśmy co prawda niewiele, ale cyfrą ludzi wykształconych zaimponujemy niedługo Europie.

Będą bowiem nimi wszyscy Norwegczycy. Raz pojąwszy znaczenie wykształcenia, nie rozprawiamy już o jego korzyściach, ale o jego zastosowaniu. Lud niebogaty, to prawda, ale gminy oszczędzają na gmachach publicznych i pomnikach, uroczystościach, poświęcając wszystko na szkoły. Kto chce szukać u nas popularności, ten ją tylko na téj drodze odnaléść może: niech da bezpośrednio lub pośrednio na szkoły kapitał swéj wiedzy, czy téż pieniężne zasoby. Dla tego deputowani poświęcają trzecią część swych mozołów téj kwestyi, zrzekając się dróg publicznych, wszelkich innych dogodności dla okolicy, żądając tylko szkół i szkół...

Przeczytaj pan kiedy wnioski deputowanych angielskiego parlamentu i naszego startingu, a przekonasz się, że w $^9/_{10}$ wypadkach oni żądają wszystkiego a nie szkół, ci niczego tylko szkoły...

— Więc główną przyczynę waszéj obecnéj szczęśliwości przypisujecie oświacie ludowéj?

— Bez wątpienia. Jeden z naszych chłopów powiedział niedawno na sejmie: „dajcie mi obumarły naród, a wskrzeszę go abecadłem“ Wszyscy mu przyklasnęli.

Nie ma narodowéj choroby, któréjby jeszcze tym środkiem wyleczyć nie było można. To téż cieszymy się, widząc że w r. 1875 było dzieci w szkółkach aż 271.000, z których... 18.000 w szkołach wyższych i to nie zapominaj pan na 1.800.000 mieszkańców, na co, mówiąc nawiasowo, wydaliśmy aż 6 mil. franków. Mamy teraz przeszło 4.700 szkółek, a przytém liczba nauczycieli wzrasta nieustannie. Najczęściéj chłop, kończąc uniwersytet, wraca do roli i zostaje równocześnie nauczycielem. Ogólny i zasłużony szacunek, jakim cieszą się nauczyciele ludowi, sprawił, że w oczach wszystkich stan ten uważa się za równy...

No komu, szepnął zakłopotany znów starzec, no chyba, pastorskiemu. Oto widzisz pan jedyne kłopoty i niewygody równości. W rozmowie brak skutkiem tego przedmiotu do porównań. Ale właśnie téj to okoliczności zawdzięczamy może głównie to, że jeżeli w r. 1837 mieliśmy 1 nauczyciela na 84 dzieci, r. 1853 1 na 74, r. 1861 na 68, r. 1875, już wypada jeden na 64.

— Ale zapewne uposażenie nauczycieli odpowiada zdobytemu przez nich poważaniu...

— Odpowiadałoby niewątpliwie, ale przeszkadza temu ubóstwo naszego kraju. Jest ono może więcéj niż skromne. W r. 1877 wypłacono nauczycielom około 3 mil. franków a więc około 908 fr. wypadało na jednego. Podniosła się i podnosi jednak płaca nauczycieli z większą bez porównania szybkością niż płaca urzędników. W r. 1837 przeciętny dochód nauczyciela wynosił zaledwie 278 fr. 1861—452, 1874—900 fr. W miastach dochód ten jest o wiele wyższym: wynosi bowiem około 1.320 fr. rocznie. Zresztą od pewnego czasu obmyśliliśmy jeszcze dla nich nowy dochód za śpiew w kościele. W owych 3 mil. wypłaconych nauczycielom w r. 1877 300.000 fr. przypadało im właśnie z tego źródła...

— Ależ tym sposobem ci, których natura upośledziła na organie głosu, zostają również upośledzeni na kieszeni.

— Dzieje się to może często z obrazą uszów, ale śpiewają prawie wszyscy, niektórzy znów spełniają funkcye organistów. Jeżeli nauczyciele zyskują tym sposobem na dochodach, oświata ludowa zyskuje zarazem jeden więcéj czynnik: naukę śpiewu, a niepotrzebuję zepewne dowodzić jego ważności panu, który zawdzięczasz tylko temu dopiéro co słyszane pieśni owych „czarodziejek.“

Opuściłem już dawno wiosła na wodę, pozostawiając Olsenowi całą odpowiedzialność za losy naszéj żeglugi. Przepłynęliśmy już znaczną przestrzeń jeziora Tinsjö. Dzika natura norwegska przedstawiała się nam teraz w całéj swéj okazałości. Ogromna masa wody, zwarta między dwiema ścianami potężnych gór, głębokością swą,

zdaje się, dorównywać wysokości okolicznych skał. Drobne wodospady mruczą harmonijnie, wpadając po Tinsjö.

Każdy z nich ma poetyczne legendy.

Kiedyś olbrzym Intulus chciał przeskoczyć przez jezioro na sąsiednią górę. Noga poślizgnęła mu się jednak i wpadł do wody. Bystre i głębokie nurty Tinsjö porwały go za sobą chwilowo, ale olbrzym zdołał się wydostać, by zaświadczyć potém na chwałę jeziora, że jego wody są więcéj głębokie niż gościnne. Drapiąc się jednak w górę, olbrzym wyżłobił potężny otwór, przez który woda z gór przelatuje teraz prostopadle do Tinsjö.

To największy z wodospadów, Stenkjär!

Od kamienistych jego nurtów odbijają żywo ogromne, ciemnozielone lasy, okalające w oddali krajobraz. Drobne wysepki rozrzucone po wodach jeziora nadają mu cechy szkockiego Lochylomondu z jego „King of the Isles.“ Jeżeli nie przewyższa, to, jak mi się zdaje, nie ustępuje ono bynajmniéj pięknością Walterscotowskiéj „pani jeziora.“ Wrażenie, jakie robi Tinsjö, jest jednak potężniejsze. Należy posunąć się tylko o kilka kroków od Vesterfjordu, a mimowolny okrzyk zachwytu wyrywa się z piersi...

Groźne dwóch gór szczyty stanęły obok siebie w całéj okazałości. Zda się, że zmierzyć się chcą z sobą w boju, że dzikie i śpiczaste ich wierzchołki lada chwila spadną na siebie, podziurawią się swemi ostremi skałami i na miejscu ponurego, ale spokojnie płynącego fiordu zapanuje bezład i zamęt...

Góry zresztą nie imponują tutaj jednostajnością skał szkockich, ale zachwycają raczéj wszystkiemi ponętami Alp: śnieżną białością szczytów i bogatą okrywającą je roślinnością...

Miejscami góra wydyma swe ściany, wkraczając w jezioro całym szeregiem skał o dziwnych konturach. Zginają się one w łuki, lub też łamią w różnorodne figury. Na nagich wierzchołkach, wykwitają miejscami różnobarwne kwiaty i iskrzą się migotliwém światłem kamyki. Miejscami znów grożą one ciekawym głębokiemi przepaściami...

To znów kamieniste gór opoki jakby się połączyć chciały w miłosnym uścisku. Zbliżają się one tedy do siebie, ale głębokie wody Tinsjö wpłynęły im między ramiona: zamiast drobnych jezior powstają drobniejsze jeszcze przystanie...

W jednéj z takich przystani kieruje się nasza łódka...

Wyciosana między kamieniami ścieżka prowadzi nas na górę. Stary pastor przebiega schody ze zręcznością popisującéj się w téj chwili w Chrystyanii miss Watson. Staruszka cieszy moje podziwia-

nie takiéj rzeźkości, gdyż uparcie odmawia ręki Olsenowi i chyżo pędzi naprzód...

Po upływie pół godziny stanęliśmy na wierzchołku góry.

Kilka chat leżących od siebie w znacznéj odległości, w dali ogromne dziewicze jeszcze lasy, w okół wąwozy i ostre gór szczyty, oto cechy charakteryzujące tę wioskę jak w ogóle wszystkie norwegskie okolice, leżące po za obrębem fjordów...

— Gotuję ci niespodziankę, szepnął mi pastor na ucho...

— Jest tu nią wszystko dla mnie, odrzekłem.

— Przybędzie ci tedy kwiatek do bukietu i, śmiejąc się, wskazał na jednę z chat, pod którą właśnie stanęliśmy.

Składała się ona zresztą jak wszystkie osady chłopów norwegskich z wielu budowli. Częste pożary z jednéj a obfitość drzewa z drugiéj strony, skłaniają mieszkańców do stawiania sobie kilku małych zamiast jednéj dużéj budowli. Osobny tedy bywa domek dla kuchni i czeladzi, osobny zajmuje często sypialnia i pokój dla gości, jaki się spotyka u każdego zamożnego chłopa, w innym znowu mieszkają pożenione już dzieci, które wzorem zwyczaju praktykowanego u zacofanych jeszcze w naszym kraju żydów bywają utrzymywane przez swych rodziców lat kilka po ożenieniu. Na uboczu zwykle stoi *stabur*, oryginalna niezmiernie budowla na kilkumetrowych słupkach, plecionka różnych kombinacyj belek i krokwi, służąca do przechowywania odzieży.

W jednym z domków mieszkał nauczyciel wiejski, Peterson.

Na progu domu przywitał nas bardzo sympatyczny młody człowiek. Lat miał może z jakie 30. Długie i białe jak len włosy wiły mu się kędziorami po bladém czole. Ubrany był jak chłopi z Telemarkenu w siermięgę. Serdecznie przywitał się z pastorem i Olsenem, zamienił kilka słów zemną i poprosił nas do pokoju...

Umeblowanie mieszkania było jak u zamożnego włościanina. Stało więc tam ogromnych rozmiarów łóżko upstrzone w jaskrawe rzeźby i napisy, z których najbardziéj błyszczało życzenie „Niech Wam Bóg sprzyja,“ szafa również stara z napisem zdradzającym przedsiedmdziesięcioletnią datę jéj urodzin. Kilka stołków bez poręczy i długi stół, przyjmujący zwykle gości, a jak w téj chwili stosy książek nauczyciela...

Peterson lat temu już ze cztery jak ukończył uniwersytet. Syn zamożnego przemysłowca w Chrystyanii udał się w góry Telemarkenu w charakterze nauczyciela ludowego, by obeznać się tym sposobem z życiem chłopów, wspiérać ich radą i urzeczywistnić swą ideę o „hiskole“ (wyższa szkoła), którą pragnąłby założyć w okolicach Tinoset. Jest tu już wprawdzie jeden nauczyciel, ale trudno mu po-

dołać obowiązkom. Wędruje tedy i Peterson po górach, nauczając chłopskich dzieciaków. Wielu zresztą wychowańców uniwersytetu korzysta w ten sposób z *nieograniczonéj* wolności nauczania. Nauka jest obowiązkową dla dzieci od lat 8 do 15 i bezpłatną. Istnienie jednak szkół państwowych i gminnych nie przeszkadza istnieniu prywatnych nauczycieli. Ostatni nie potrzebują w tym celu składać osobnych egzaminów, ani téż uzyskiwać specyalnego pozwolenia.

Jeżeli jednak kierunek czy téż sposób ich działania wydaje się wątpliwym, wtedy komitet szkolny egzaminuje dzieci, a w razie niezadawalniających rezultatów, każe posyłać je do szkół sankcyonowanych przez gminę. Rodzice nie posyłający dzieci do szkół są początkowo karani piénię̨żnie, a późniéj odbierają im dzieci i poruczają jednéj z rodzin dawnéj gminy. Dwanaście tygodni w roku obowiązane jest każde dziecko uczęszczać do szkoły, licząc po 6 godzin dziennie i 6 dni na tydzień. Co się tyczy fabryk, to zatrudniające przeszło 30 robotników obowiązane są utrzymywać własną szkołę lub téż wejść w tym celu w układy ze szkołą gminną.

Nie umiejący czytać nie może wstąpić w związki małżeńskie, a chłopcy w wieku lat 20 oddawani są w takich razach do zakładów wychowawczych.

Ale wykształcenie dane młodym, należy utwierdzać a raczéj rozwijać w starszych pokoleniach. Kto nie postępuje, cofa się. Na to zwrócił słuszną uwagę biskup Grundvig (1) i zaprojektował zakładanie wyższych szkół dla chłopców, około r. 1840. Myśl przyjęła się sympatycznie na gruncie skandynawskim. Piérwszą szkołę otwarto w r. 1844. Dziś liczy Szwecya 13 (z których dwie dla kobiét) a Norwegia aż 10 wyższych szkół ludowych.

Mają one na celu dalszy rozwój chłopskich umysłów *w wieku od lat 18 do 30*, kształcenie w nich poczucia obywatelskiego, miłości dla kraju i rozszerzanie szczupłych zawiązków ich elementarnéj wiedzy. Ze względu na charakter uczniów, nie używa się nigdy pamięciowych lekcyj i książek. Nauczyciele uczą, opowiadając i gawędząc. Podczas długich zimowych wieczorów, zbiérają się *chętni* i gawędzą

(1) Grundvig, biskup i duński agitator, chciał utrwalić jedność kościoła ogłaszając i gorąco broniąc zasady trzech artykułów wiary, zawiérających w sobie główną treść chrystianizmu. Grundvigizm przezwał się „*radosném chrześciańskiem*,“ opanował na czas dłuższy umysły Duńczyków, dochodząc w swych szerzeniach wolnomyślności daléj niż pragnienia jego najradykalniejszych przedstawicieli. Walczył on czas jakiś przeciw *przymusowéj* oświacie, jako działającéj *w imię przymusu*, nawrócony zaś późniéj w tym punkcie na drogę prawdy odkupił swą winę ideą i częściowém urzeczywistnieniem wyższych szkół ludowych. Biskup umarł w r. 1872. Cześć jego pamięci!

z wielewiedzącym nauczycielem o geografii, historyi, polityce. Czyta się przytém klasyków norwegskich, objaśnianych w razie potrzeby przez nauczyciela.

Szkół tych nie zakłada nigdy rząd, zawdzięczają istnienie *tylko prywatnéj ofiarności*. Temu lat dwa dał wyjątkowo na ten cel rząd szwedzki dość znaczną sumę, wraz z solenną obietnicą nie wtrącania się do ich czynności. Często także w okolicach zamożniejszych, gdzie niższe szkoły są bardziéj rozpowszechnione, wyższe utrzymują się przeważnie z opłat wnoszonych przez włościan w ilości od 5o do 7o koron za 6-ciomiesięczny okres Zimowy. Tylko bowiem w tym czasie są otwarte szkoły.

Co kraj, to inny obyczaj! Co jest prawdą po jednéj, bywa jednak fałszywém po drugiéj stronie Pirenejów. Losu tego doświadczają szczególniéj ideały: poczynając od kobiécych a kończąc na ogólno-społecznych. Forma norweskiéj oświaty ludowéj, szczytna dla naszych najradykalniejszych na tém polu wymagań, chroma w oczach zwykłych jéj norweskich przyjaciół. Marzą tedy o nieustannych reformach i ulepszeniach. Przeobrażeniom i ulepszeniom winny uledz nawet wyższe szkoły ludowe...

— Zechcecie jeszcze szkół dla specyalnego kształcenia nauczycielek (1), mówiłem do dowodzącego mi w tym duchu Petersona, rozumiem; że twierdzicie jakoby na kraj, mający niespełna 2 mil. ludności, 14 szkół przygotowujących ludowych pedagogów, nie wystarczało, to już mniéj pojętne; ale że wasze idealne „wyższe szkoły“ nie wystarczają, to już jest dla mnie niepojętém...

— Najprzód pragnąłbym, odrzekł na to Peterson, by wykształcenie to spływało na dojrzałe, ale i przypruszone już siwizną głowy, by rozszerzyć tym sposobem zakrés jego przedmiotów i podległéj jego działaniu sfery. Rozciekawione tylko obecnym systemem „hiskole“ umysły, zaspokoić wykładanemi im w następnym peryodzie przedmiotami.

— Pragnąłbyś pan tedy zmartwychwstania owych chwil klasycznéj starożytności, kiedy ludzie prosto ze stajni szli słuchać Sokratesa, czy Platona, kiedy kucharz kombinował sylogizmy z różnemi kuchennemi ingredyencyami, a...

---

(1) Dotychczas istnieje tylko jedna założona w r. 1876. Rząd dał na ten cel tylko 7.000 fr., resztę zrobiły, znów, środki społeczne. W ogóle *nauczycielki często jeszcze lepiéj odpowiadają swym obowiązkom niż nauczyciele*. Za przykład mogą także posłużyć świetne rezultaty działalności nauczycielek, które ukończyły seminaryum nauczycielskie żeńskie, założone przez ziemstwo kostromskie. Zwracam na ten fakt uwagę naszych specyalistów.

— Dla czegóżby nie, mówił nie dając mi dokończyć Peterson. Można śmiało nauczać cały naród tego, co zwykle wiedzą tylko jego wybrani, mówi słusznie Condorcet. Konieczném jest, by każdy wiedział, korzystał, umiejętnie bronił, podtrzymywał i rozszerzał zgodnie z wymaganiami moralności i swobody, przysługujące mu prawo. Trzeba i umysł chłopa zrobić wrażliwym na najsubtelniejsze powiewy myśli. Szlachetność i właściwą jéj godność należy zaszczepić w najniższych społeczeństwa warstwach, bo wszystkie mają do nich prawo, bo przychodzą one na świat z piętnem człowieczeństwa i czekają tylko, by je z ducha tajników, wywiodła na jaw wolność nieskrępowanéj żadnemi przesądami myśli. Należy masom wskazać a uchwycą się one tego swego prawa. Spojrzyj pan jak nasz kraj chłopów garnie się do myśli i wynagradza jéj kapłanów. Pokażcie mi kraj w Europie, gdzieby państwo płaciło jak w Norwegii pensye *wszystkim* wyrastającym po nad zwykły poziom pisarzom. Nasz chłopski parlament uchwalił jednogłośnie pensye dla znienawidzonego przez siebie Ibsena (1). Szczyt bezstronności czy też sprawiedliwości! Sterting płaci pensye wszystkim znakomitszym muzykom i malarzom, wspiéra pozostałe po nich wdowy i dzieci.

— Ale jakże pogodzisz pan swe wymaganie z warunkami nowoczesnéj organizacyi państwowéj?

— Rozumiem, że pod względem politycznym trudno w naszém stuleciu naśladować Ateny, trudno, ażeby wszyscy obywatele zbiérali się na narady polityczne, ale niemożliwość rządów gminowładnych (2) nie wyklucza bynajmniéj możliwości *ogólnéj wyższéj oświaty*. Powtarzam, mówił, zapalając się Peterson, że pocięgiel czy cepy w ręku nie przeszkadzają pracować myśli. Przeciwnie wzajemne oddziaływanie fizycznéj i umysłowéj pracy wywrze na nie wpływ zbawienny. Lecz w tém to leży błąd obecnego systemu. Zaspokaja on co prawda ciekawość, ale za mało podbudzaną. Chciałbym i naród poić śmietanką wiedzy, a nie poprzestawać tylko na geografii i historyi....

---

(1) Ibsen-Szekspir II, jak go słusznie nazywa Brandes, najzdolniejszy z współczesnych skandynawskich pisarzy, swą zgryźliwą krytyką i radykalnemi zachciankami, naraził sobie wszystkich Norwegczyków. Zmuszony opuścić kraj, udał się do Niemiec, gdzie obecnie przebywa.

(2) Właściwie mówiąc, mamy teraz w Europie acz na małą skalę, konstytucyjne odbicie miast greckich. Przypominam konstytucyą szwajcarskich kantonów, a szczególniéj Ury, któréj § 35 (kon. r. 1851) stanowi, że władza prawodawcza należy do *zebrania majowego*, na którém naród w osobie *wszystkich* obywateli, mających więcéj niż lat 20 wieku, rozstrzyga wszystkie kwestye bezpośrednią większością głosów.

Długo jeszcze w noc wykładał nam Peterson swą teoryą. Pastor śmiał się w najlepsze ze słów swego młodego przyjaciela, całując i ściskając go na przemiany...

— Niech bo sobie marzy i... działa, mówił pastor, kiedy wracaliśmy potém do domu. Szlachetne bo są jego marzenia, a jeszcze lepsze jego czyny. Pracuje, jak widzisz darmo nad siedmiorgiem dzieci, ucząc je abecadła i pisania. Żyzność pola wynagradza mu jak powiada jego szczupłość. A potém, kiedy się wyszumi i ochłonie, będzie daléj pewnie dzieci uczył, tylko już porzuci swoje marzenia, może... może... je i urzeczywistni.

Noc była cicha i pogodna jak życie mieszkańców Telemarkenu. Srebrne smugi księżycowych promieni wdzierały się do pokoju, poważnie przechodziły po jego ścianach i siadały odpocząć na bladéj twarzy pastora. Staruszek opiérał się czas jakiś ich wpływom, ale potém snać ukołysany odgłosem własnych wyrazów, dał się owładnąć znużeniu i usnął.

Jan Finkelhaus.

(C. d. n.)

JAN HRABIA DZIAŁYŃSKI.

30 Marca r. 1880 dotkliwy cios spotkał Towarzystwo Nauk Ścisłych w Paryżu. Jego założyciel, prezes i hojny mecenas, hrabia Jan Działyński, zmarł na zamku kórnickim. Podać kilka szczegółów o jego życiu i stosunku do Towarzystwa Nauk Ścisłych, które tak wiele mu zawdzięcza, uważamy sobie za święty obowiązek.

Jan Ogończyk z Kościelca Działyński urodził się w r. 1829. W domu rodzicielskim znalazł nietylko piękne tradycye rodowe, ale i praktyczne, żywe wzory służby prawdziwie obywatelskiéj, zastosowanéj do wymagań czasu. Ojciec jego, czczonéj pamięci Tytus, nie mogąc na tém polu, co dziadowie, nieść służbę publiczną, nie zasklepił się w zadowoleniu z zasług przodków, ale pragnął brać czynny udział w nowych warunkach. Gromadził skarby życia umysłowego i przeszłości naszéj w założonéj przezeń bibliotece kórnickiéj, podejmował z wielkim kosztem poważne, piérwsze u nas wydawnictwo pomników dziejowych, między któremi świetnieją olbrzymie Akta Tomickiego. Rozpoczynając ich druk, w przedmowie do tomu I-go nakazał synowi dalsze prowadzenie, gdyby sam go nie mógł ukończyć, i aż do swéj śmierci (r. 1861) świecił synowi przykładem swoim i kierował jego poważnemi studyami. Ś. p. Jan od r. 1842 do 1848 kształcił się w gimnazyum Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu i już wtedy zrobił piérwszy krok na drodze, którą szedł życie całe, zakładając towarzystwo bratniéj pomocy uczniów gimnazyalnych. Uzyskawszy świadectwo dojrzałości, studyował przez lat kilka prawo na uniwersytecie berlińskim, a następnie przeniósł się do Paryża,

gdzie zajmował się przez lat kilka matematyką i zastosowaniami do inżynieryi. W ostatnich chwilach pobytu w Paryżu, pewna słabość do ballistyki i artyleryi w ogólności, pochłonęła go całkowicie. Udoskonalenia karabinów, przezeń pomyślane, wypadły świetnie i doznały uznania na próbach, robionych przez rząd francuzki w strzelnicy w Vincennes. Szybkostrzelna jednak broń po wojnie r. 1866 podała w zapomnienie pomysły Działyńskiego. W r. 1869 na mocy amnestyi wrócił do Kórnika, przyjął czynny udział w życiu prowincyi, zjawiając się wszędzie, gdzie nieść należało pomoc pieniężną zacnemu celowi, podtrzymanie lub powagę swoim czynnym udziałem lub imieniem, nierzadko jednając zwaśnionych. Jego działalność nie zawsze doznawała uznania od bliskich mu krwią i położeniem, nie umiano mu czasem wybaczać jego tolerancyjnego poglądu na kwestye religijne, jego demokratyczno-szlacheckich pojęć towarzyskich, jego miłości dla ogółu, kierowanéj wyrozumiałością i usuwaniem stronniczych pragnień. W każdéj zacnéj sprawie, będącéj na porządku dziennym, czynny brał udział. Na założenie banku włościańskiego, aby przyjść w pomoc uczciwym kredytem mniejszéj własności ziemskiéj, gdy dla braku kapitału zakładowego, myśl ta miała być zaniechaną, Działyński ofiarowywa 80.000 talarów; widzi późniéj z boleścią, że instytucya źle jest prowadzoną; dokłada, jak mówią, do 140.000 talarów, chociaż i tak ona w zupełności nie odpowiedziała pokładanym w niéj nadziejom. Tak w kraju, jak za granicą, zasila młodzież szkolną; w Paryżu zakłada i wspomaga towarzystwo naukowéj pomocy. Jego kieszeń otwarta dla każdéj sprawy publicznéj, czasem zbyt szczodrze. Rozumiejąc znaczenie drobnych ogniw w życiu społecznêm, wszędzie się zjawia, gdzie może, choćby np. na zebraniu akcyonaryuszów „Gazety Wielkopolskiéj“ (r. 1872), aby wymownêm słowem godzić rozterki, w imię wzniesienia się nad osobiste ambicye i stronnicze cele.

Jedyną u nas w swym rodzaju jest działalność zmarłego na polu wydawniczém, choć i tu, mimo ofiarności i starannego obmyślenia, doznaje niekiedy zawodu, spotyka się z nadużyciem lub wyzyskaniem. Tak np., zgodnie z zaleceniem ojca, przygotował do druku i wydrukował tom IX Acta Tomitiana, który się okazał tak wadliwym, że go nie wypuścił, ale na nowo opracować polecił i wydał powtórnie. Niektóre z dzieł matematycznych, kosztownie wydanych, wartością wewnętrzną nie wyrównywają świetnéj sukience.

Z rzeczy historycznych nakładem jego, czyli, jak zaznaczono na kartach tytułowych, nakładem biblioteki kórnickiéj, wiele jest wydanych z niesłychanym przepychem, jako przedruki homograficzne, wykonywane głównie przez Adama i Stanisława Pilińskich. Tu nale-

żą: 1) Ustawy prawa polskiego, przełożone r. 1563; 2) Kwiatkowskiego, Wszystkiey Liflandzkiey ziemie opisanie; 3) Laurea sive arbor Tarnoviana 1644; 4) Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV, objaśniony przez Celichowskiego; 5) Ortyle magdeburskie, opracowane przez Bobrzyńskiego; 6) Rozmowy, które miał Salomon z Marchołtem (1521); 7) Apocalipsis Mikołaja Reja z r. 1565; 8) Statut Wiślicki w polskim przekładzie (1460) z kodeksu kórnickiego; 9) Odtworzenie pergaminowego rękopismu Puławskiego z lat 1449 i 1450, pisanego przez Mikołaja Suleda, który obejmuje: a) prawo polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły w przekładzie mistrza Świętosława z Wocieszyna; b) prawa książąt Mazowieckich przez Macieja z Różana; 10) Jana Tarnowskiego, Consilium rationis bellicae (1558). Prócz tego „Biblioteka Kórnicka" wydała: Collectanea vitam resque gestas Johannis Zamoyscii illustrantia; Źródłopisma do dziejów unii; wreszcie trzy wielkie tomy kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski. Nadto jeszcze: Cyryl i Metody Leonarda Rettel'a; Gulistan, przekład z perskiego Kazimirskiego; Mowy, listy, pisma filozoficzne, krasomówcze i polityczne Cycerona w przekładzie Rykaczewskiego; Komedye Plauta, oraz Tragików greckich (Eschylos, Sofokles) w przekładzie Węclewskiego.

Umyślnieśmy dotąd nic nie mówili o udziale Działyńskiego w rozbudzonym przezeń ruchu na polu nauk ścisłych, aby szczegółów nie rozdzielać i wspomniéć o tém obszerniéj, tém więcéj, że we wszystkich wzmiankach, jakie się po śmierci Działyńskiego pojawiły, zadowolano się co do tego niewiele pouczającemi ogólnikami. W obec jednak świeżéj mogiły, pozwolimy sobie wypowiedziéć nasze zdanie z całą otwartością. Suum cuique.

Działyński był w Paryżu uczniem Niewęgłowskiego. Jego też dzieła najprzód wydaje, a po zamknięciu Szkoły Wyższéj Polskiéj w Paryżu, wyznacza mu i zmarłemu (1877) Sągajle (Adolfowi) stałe uposażenie, drukując prócz tego wszystko (1), co oni przedstawili, bez zasięgnięcia opinii specyalistów i nie zważając na to, że ich poprzednie dzieła zalegają półki księgarskie. Rozumiał jednak potrzebę stworzenia pewnéj instytucyi naukowéj, któraby objęła ster wydawnictw, na które on dawał nakład, któraby nadtoześrodkowała w sobie ruch naukowy na polu nauk matematycznych i przyrodniczych, osobliwie, że wydział przyrodniczo-lekarski

---

(1) Działyński autorom rzeczy wydawanych płacił zawsze honoraryum, jak na nasze stosunki i na zwyczaje w świecie naukowym, dość wysokie.

ówczesnego towarzystwa naukowego krakowskiego nie dawał prawie żadnego znaku życia i rzadko pomieszczał odpowiednie rozprawy w „Rocznikach“ towarzystwa, mało bardzo zresztą rozpowszechnionych. Dlatego zebrawszy te siły naukowe, jakie znajdowały się ówcześnie w Paryżu, 30 Kwietnla r. 1870 założył Działyński Towarzystwo Nauk Scisłych, którego, według art. 5 ustawy, „przedmiotem zajęć są: a) nauki matematyczne, b) nauki przyrodnicze, c) nauki zastosowane, oparte na poprzednich, a mianowicie nauki inżynierskie“,—a które na mocy art. 3, „wyklucza ze swych czynności wszelkie cele, nie zostające z nauką w bezpośrednim związku.“ Tak powstałe Towarzystwo na pierwszém posiedzeniu wybrało na prezesa Działyńskiego; Niewęgłowski zaś zaraz wystąpił z Towarzystwa. Wspominamy o tym fakcie dla tego, że on nie pozostał bez skutku. Działyński nie przerwał wydawania dzieł, które wciąż jedno po drugiém przygotowywał do druku Niewęgłowski. Nie pojawiały się one sub auspiciis towarzystwa, ale całkiem od niego niezależnie. W te ślady poszli i niektórzy inni autorowie: uboczną drogą, przez osoby, do składu towarzystwa nie należące, wyjednywali często nakład na swe dzieła. To doprowadziło Towarzystwo do wydania w roku 1877 postanowienia, że na wszystkich, nakładem biblioteki kórnickiéj ogłaszanych, na skutek zalecenia Towarzystwa, dziełach wyraźnie zaznaczoném bywa: „Wydawnictwo Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu,“ aby w ten sposób uwolnić się od odpowiedzialności w obec krytyki i opinii za prace, z któremi do solidarności Towarzystwo się nie poczuwa.

Przez cały czas istnienia Towarzystwa, prezes Działyński zawsze brał czynny udział we wszystkich sprawach wewnętrznych Towarzystwa. Jego osobistym staraniom zawdzięczać należy, że po wyjeździe Folkierskiego, piérwszego wice-prezesa Towarzystwa, do Peru, zarząd Towarzystwa nie popadł w niewłaściwe ręce, oraz że prof. Prażmowski zgodził się zostać sekretarzem stałym i wice-prezesem. Wszelkie przedstawienia Towarzystwa co do staranniejszego coraz wydawnictwa „Pamiętników,“ robienia ustępstw dla młodzieży nabywającéj dzieła, wyznaczania nagród konkursowych itd., zawsze były przezeń w zupełności uwzględniane.

Nakładem Działyńskiego wydrukowane (wszystkie, prócz jednego, w Paryżu) dzieła z dziedziny nauk ścisłych, możnaby podzielić na trzy grupy: ogłoszone przed otwarciem Towarzystwa n. ś.; wydawnictwa Towarzystwa Nauk Ścisłych; wyszłe po otwarciu Towarzystwa, niezależnie od niego. Szczegółowszą zrobimy tu wzmiankę o dziełach piérwszéj i trzeciéj grupy.

Pierwszém matematyczném dziełem była rozprawka Norzewskiego Rocha, Nouvelle théorie des proportions et progressions harmoniques avec ses appliquations à la géométrie (1852 r.), oddawna wyczerpana.

Niewęgłowski przed otwarciem Towarzystwa wydał: Arytmetykę (1866), Geometryą elementarną płaską w dwu wydaniach (drugie 1868), zupełny kurs Geometryi elem. (1868), Trygometryą (1870); po otwarciu zaś Towarzystwa: Mechanikę rozumową w dwu tomach (1873, 1876) i Algebrę elementarną (1879). Z podręczników tych najwięcéj się rozeszła Arytmetyka i piérwsze wydanie Geometryi, jako najwięcéj wartości posiadające, najstaranniéj opracowane. Inne (1), z oddzielnnemi ustępami często nieujednostajnionemi w wykładzie, albo przeładowane rzekomo oryginalnemi teoryami, całkiem nie na miejscu w podręcznikach dla szkół średnich, przytém zaś ułożone bez właściwego stopniowania pojęć oraz nie liczące się z żadnym programatem obowiązującym, a nadto, nie wyłączając Arytmetyki, z nader wielu umyślnie nowoukutemi, z pogwałceniem praw naszéj mowy, wyrazami, a przemawiające językiem często wielce zawiłym, nie cieszą się najmniejszą choćby wziętością.

Folkierski wydał w r. 1870 Rachunek różniczkowy, opracowany sumiennie, choć całkiem niepretensyonalny, który jako poważny w każdym razie wykład znanych elementów rachunku różniczkowego został nader prędko wyczerpany i dla uczniów różnych zakładów naukowych był często istotną pomocą. Tom II, zawiérający Rachunek całkowy, wyszedł w 1873 przed odjazdem autora do Ameryki. Słabe strony, jakie to dzieło posiada, objaśnić można tém, iż ono nie przeszło przez wykład ustny, że tém samém autor nie mógł się powołać na zasadę: docendo discimus.

Po otwarciu Towarzystwa wyszły daléj: Kucharzewskiego i Klugera: Wykład Hydrauliki (1873) i Klugera: Wytrzymałość materyałów (1871). O tych dziełach powiedziéć tylko to umiemy, że w r. b. dość znaczna liczba egzemplarzy zapotrzebowaną została przez studentów inżynieryi.

Gosiewski ogłosił Wykładu mechaniki cząsteczkowéj tomu piérwszego zeszyt pierwszy (1873). Dalszy ciąg się nie pojawił i dzieło zostało tylko rozpoczętém....

Sągajło Adolf zapowiedział wydawnictwo pod szumnym tytułem: „Wykład zupełny algebry w 4 tomach.“ Tom piérwszy (1873)

(1) Szczegółową ocenę „Algebry elementarnéj“ p. Niewęgłowskiego pomieszczamy w tomie XII „Pamiętnika“ Towarzystwa Nauk Ścisłych.

obejmuje algebrę elementarną—rzecz nader słabą, w znacznéj części będącą wypisem z tomu I Algebry Bertrand'a, z wielu opuszczeniami rzeczy zasadniczych. Jako tom drugi pojawił się (1874) przekład znakomitego dzieła Salmona Lessons introductory to the modern higher algebra, całkiem niezrozumiały dla każdego, kto posiadł tylko wiadomości w piérwszym tomie Algebry Sągajły podane; przekład zaś sam dokonany jest tak niedołężnie, iż łatwo dowiéść, że tłómacz nie wiedział o czém mówi, gdyż często rzecz się ma całkiem inaczéj, niż on pojął tekst oryginału. Powinna się była co do tego tomu powtórzyć historya z IX tomem Tomicyanów. Trzeci i czwarty tom nie wyszedł. Natomiast Sągajło ogłosił w r. 1877 ogromny tom Zasad geometryi analitycznéj, obejmujący geometryą płaską (kurs nieskończony). Rys historyczny w tém dziele, jak sam autor mówi, nie jest jego pióra (czyjego?—nie podaje); wykład zaś sam, jak zaznaczono na okładce, ułożony według kursu Painvina. Ten zaś kurs jest litografowany tylko; Painvin żyje i ma tę satysfakcyą, że jego poważna praca pojawiła się w druku piérwéj po polsku, niż po francuzku.

Bardzo cenną w swoim zakresie jest praca Żebrawskiego: Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki, wydrukowana w Krakowie w r. 1873. Jest to owoc wytrwałych kilkudziesięcioletnich szperań autora w różnych księgozbiorach. Zaznaczymy tu, że bogata biblioteka z tego działu, własnością Żebrawskiego będąca, w r. 1870 nabytą została przez Działyńskiego i włączoną do wciąż powiększających się zbiorów kórnickich.

Jako zaś wydawnictwa Towarzystwa Nauk Ścisłych wyszły: jedenaście tomów „Pamiętnika" Towarzystwa, Wykład nauki o równaniach różniczkowych Zajączkowskiego, oraz Teorya wyznaczników Baranieckiego. O téj pracy Zajączkowskiego i o wszystkich rozprawach pomieszczonych w „Pamiętnikach" zdawaliśmy już sprawę w „Ateneum" (1), dość szczegółowo a z całą bezstronnością.

Umyślnie zatrzymaliśmy się tak obszernie nad temi wydawnictwami Działyńskiego, aby zaznaczyć, że nie wszystko było tak świetnie, jak o tém weszło już w zwyczaj głosić, że nie zawsze umiano szanować piéniądze, tak poczciwie łożone przez czcigodnego nakładcę, że niekiedy, żeby zadość uczynić próżności nowatorskiéj autorów, lub z innych względów, nie korzystano ze sposobności, jaka się nadarzała, dania w ręce uczącym się dobrych, praktycznych, jasno napisanych podręczników, na których nam tak zbywa. Nieraz

---

(1) R. 1877, t. I; r. 1878, t. I; r. 1879 t. II; r. 1880, t. III.

lepiéj już było wprost przetłómaczyć starannie dobrą książkę z obcego języka....

A chociaż w niektórych tomach „Pamiętników“, osobliwie początkowych, znajdują się prace całkiem do takiego pisma się nie kwalifikujące, lub też zbytnie obciążone obliczeniami mechanicznemi, to jednak, jak widać z naszych czterech szczegółowych sprawozdań, stosunkowo bardzo wiele ogłoszono tam prac cennych, znakomitych nawet, które, gdyby nie „Pamiętnik“, możeby się nie pojawiły. Że zaś Towarzystwo mogło je ogłosić, to zawdzięczać należy jedynie Działyńskiemu.

Gdy uwzględnimy warunki, w których Działyński wywoływał u nas ruch naukowy na polu nauk ścisłych oraz wytrwałość, z jaką, mimo wielu przeciwności, przeprowadzał myśl swoję, musimy dostrzedz, iż pobudką jego działalności była prawdziwa i gorąca wiara w konieczność wyrobienia sił naszych w kierunku poważnej i prawdziwie naukowéj pracy. Ta wiara przewodniczyła Działyńskiemu w całym szeregu uczynków, nie dorywczych, ale dyktowanych ciągłą gotowością do ofiarności oraz rozumieniem, że w naszych warunkach naukowych nie wszystko odrazu należycie może wzrosnąć i owocować. To też ta wiara martwą nie pozostała. Mógł bowiem Działyński widziéć z zadowoleniem, iż ruch naukowy u nas, quorum magna pars fuit, stawał się powoli coraz poważniejszym, więcéj świadomym siebie, wyraźniejszym i w swych skutkach pożyteczniejszym.....

Zmarły całe życie, wszystkie środki, większość myśli swojéj włożył w poważną a ofiarną pracę dla swoich. Historya, filologia, nauki ścisłe u nas nie mogą ignorować wielkich jego zasług. Na kilka nawet godzin przed śmiercią, robiąc spadkobiercą swoim siostrzeńca, hrabiego Władysława Zamoyskiego, myślał jeszcze o Towarzystwie, polecając mu je w testamencie i robiąc dla niego hojny zapis. Dziesięć prawie lat pobudzania i podtrzymywania ruchu naukowego na polu nauk ścisłych w historyi ich u nas trwale zostały zespolone z imieniem hrabiego Jana Działyńskiego.

Maryan A. Baraniecki.

Opieka nad opuszczonémi niemowlętami.

„Nous supplions ceux qui, en notre temps, sous le motif fort louable de laisser à chacuns la responsabilité de ses actes, veulent donner, quand même et toujours l'enfant á la charge de la mère abandonnée du père, de songer que c'est par le fait même des principes de la responsabilité, que tout individu qui se sent surchargé d'une responsabilité qui excède ses forces a une tendence invincible à s'en dégager.“ *Bertillou.*

Społeczeństwa tak samo chorują jak jednostki, w życiu społeczeństw lub pewnych grup społecznych, spotykamy choroby ostre i przewlekłe, spotykamy sprawy chorobne dotyczące wyłącznię sfery życia fizycznego i inne zwane chorobami *umysłowemi*, a właściwiéj chorobami *psychicznemi*.

Pomiędzy chorobami psychicznemi, *chorobami duszy*, które u jednostek spostrzegamy, jedne objawiają się *przeważnie* zboczeniem w myśleniu, w rozumowaniu, inne zdradzają przedewszystkiém nienormalny nastrój uczucia i objawiają się *uczuciami niezgodnemi* z naturą ludzką, ani z rzeczywistém położeniem i warunkami bytu danéj jednostki.

Społeczeństwa całe ulegają także chorobom psychicznym, a niezawodnie najstraszniejszemi są *te* postaci psychicznych zboczeń społecznych, w których cechującym objawem są zjawiska świadczące o *spaczonych uczuciach całych mas*, lub pewnych grup społecznych.

Postaci chorobne o jakich tu mówię niestety występują w życiu społeczeństw jako choroby przewlekłe, trwające wieki, a przyczyny ich powstawania tkwią w warunkach i stosunkach nieodłącznych od gromadnego, towarzyskiego życia ucywilizowanych społe-

czeństw. Niekiedy wszakże ten lub ów objaw choroby chronicznéj, o jakiéj tu mowa, potęguje się, staje się groźnym i przypomina choremu społeczeństwu, że w ustroju coś się psuje, coś się paczy.

Na *jeden* z takich *objawów*, na *zbrodnie przeciw niemowlętom*, pragniemy dzisiaj zwrócić uwagę czytelników, a chcemy to uczynić, nie w celu rozwinięcia szerokich poglądów i spekulacyj filozoficznych, jurydycznych i ekonomicznych, do których kwestya ta niezmierne otwiéra pole, ale jedynie dla przypatrzenia się téj kwestyi, ze stanowiska praktycznego, i dania sobie odpowiedzi na liczne pytania, jakie w umyśle naszym rodzi każdy, z pomiędzy dziś tak licznych wypadków zbrodni, lub występku popełnionego przeciw niemowlętom.

Ponieważ występki o których tu mowa uważam za objaw choroby moralnéj, zapyta kto może: czy warto zastanawiać się nad pojedyńczym, oderwanym symptomatem, i czy bez zbadania i zwalczenia *całéj choroby*, do któréj objaw ten się odnosi, *możemy* mieć nadzieję skutecznego zwalczenia samego symptomatu?

Otóż w tém położeniu w jakim się znajdujemy w obec podrzucania niemowląt i w obec dzieciobójstw, znajduje się nieraz i lekarz przy łóżku chorego. Nie zawsze rodzaj choroby jest jasny, często bardzo natury jéj zmienić *niepodobna*, a częściéj jeszcze, przyczyn ją podtrzymujących usunąć nie można; ale owa ciemna co do swéj natury, nieprzystępna co do przyczyny choroba zdradza się symptomatami, z których jeden może być *tak ważny*, że od zachowania lub złagodzenia go, zależy utrzymanie chorego przy życiu. Walczymy z symptomatem, zwalczamy jego groźną potęgę, choroba trwa—chory żyje, a czas i naturalny przebieg choroby doprowadzić może do zupełnego wyzdrowienia. W każdym razie jeżeli nie piérwotne zdrowie, to przynajmniéj życie chorego zostało ocalonėm.

Takim groźnym, zabijającym objawem moralnéj zarazy naszego wieku, są zdaniem mojém występki przeciw niemowlętom. Czy będziemy kiedykolwiek w możności radykalnie, przyczynowo działać przeciw temu objawowi, nie wiem na pewno, lecz wątpię; że możemy go skutecznie zwalczać i tém samém ocalająco działać względem chorego społeczeństwa, tego jestem pewien, i ta pewność, to przekonanie, że nie chodzi tu o ciekawą, ale bezowocną dysputę de lana caprina, a o *żywotną praktyczną* kwestyą życia społecznego, znagla mnie do bliższego przypatrzenia się sprawie podrzucanych dzieci.

Mamy sobie odpowiedziéć na pytanie: co robić z podrzutkami? Zobaczmy piérwéj zkąd się biorą podrzutki.

Przychodzi na świat niemowlę, które nigdy ojca znać nie będzie, nigdy opieki ojcowskiéj nie dozna. Matka prócz lichych szmat, któremi dziecko swe okryła, nie posiada *nic*. Od kilku już miesięcy cierpi ona nędzę i głód, bo nadzieja zostania matką była dla niéj wyrokiem wygnania ze służby, z rzemiosła. O znalezieniu roboty i jednoczesném karmieniu i opiece nad dzieckiem, nie ma mowy. Jeżeli nie wróci do pracy, umrze z głodu, jeżeli wróci, dziecko jéj umrzéć musi. Ona dziecka swego *nie może* ocalić.

Inna, bardziéj nieszczęśliwa aniżeli przewrotna, niemowlęcia swego *nie chce* ocalić kosztem pogardy, jaka ją spotka ze strony tych wśród których żyć musi.

Inna nakoniec woli życie bez trosk macierzyństwa, nie ma poczucia rozkoszy rodzinnych, i dla tego dziecka się swego *chce* pozbyć.

Pomijając więc niektóre pośrednie pomiędzy powyższemi kategorye, mamy wśród dzieci opuszczonych ofiary nędzy, oszustwa, lub istotnie zbrodniczéj lekkomyślności.

Wszak naturalne uczucie litości i zmysł *ładu* w stosunkach społecznych prowadzi do zaopiekowania się *każdego* wieku jednostką, którą nędza, oszustwo lub lekkomyślność czyjaś na śmierć narazić może. Przecież nawet względem zwierząt wśród tego rodzaju okoliczności będących, z pomocą spieszymy. Tymczasem, względem niemowlęcia postępowanie nasze bywa nieraz mniéj zgodne z wymaganiami najprostszéj litości. Każemy matce aby czynnie przyłożyła rękę do zabicia dziecka, aby je wyrzuciła na ulicę i wtedy dopiéro poczuwamy się do obowiązku ocalenia go. Jeżeli matka chce ocalić o ile możności *najpewniéj* życie swego dziecka, ale zarazem osłonić i swój wstyd czy swój występek, to na to nie pozwalamy. Wolimy poświęcić życie czy zdrowie niemowlęcia, aniżeli zamknąć sobie drogę do poznania winnéj, czy nieszczęśliwéj matki.

O co tu chodzi, albo raczéj o co nam chodzić powinno? Ja sądzę, że przedewszystkiém o zaspokojenie najbardziéj ludzkiego uczucia miłosierdzia, a potém o ocalenie życia jak największéj liczbie jednostek, zostających w niebezpieczeństwie.

Miłosierdzie powinno nam dać poczucie tych wszystkich męczarni, jakie znosi niemowlę, a często i matka jego, kiedy głód i zimno im dokuczają. Nie powinnoby ono pozwolić na przedłużanie, choćby o jednę godzinę tych cierpień. Owszem miłosierdzie jeżeli jest miłosierdziem rozumném, a nie ciasném, powinno stworzyć takie warunki, ktoreby pozwalały uchronić niemowlęta jak można najprę-

dzéj, i w sposób najmniéj cierpienia im i matkom przyczyniający, od owych do niczego nie prowadzących męczarni.

Ocalenia życia jak największéj liczby jednostek zawsze korzystne dla społeczeństwa, więc rachuba interesu prowadzić musi tąż samą drogą, do tego samego celu. Im prędzéj nowonarodzone niemowlę usuniemy z pod zabójczego wpływu nędzy, im prędzéj je oddalimy od matki, która go nie chce zachować, lub która go chce uprzątnąć, tém większą możemy mieć nadzieję ocalenia jego życia. Wszelkie utrudnienie i opóźnienie jest nietylko nie ludzkiém, ale jest i po prostu źle obrachowaném; nie jest obrachowaném na ocalanie jak największéj, a raczéj na ocalanie jak najmniejszéj liczby niemowląt. Jeżeli bowiem zakład przeznaczony dla podrzutków wymaga czegoś więcéj nad oddanie mu niemowlęcia, to zakład ten dostaje po większéj części dzieci, których matka kilkodniowym głodem znużona, wynędzniałe już niemowlę wraz z nazwiskiem swém zakładowi powierza, zakład dostaje daléj takież dzieci wpół żywe, które porzucone na ulicy zziębnięte mu oddadzą, wreszcie nie dostaje wcale ogromnéj liczby niemowląt, które zbyt długo wystawione na straszne niebezpieczeństwo, jakiém jest rozpacz i wstyd opuszczonéj matki, padają ofiarą zbrodni.

Doświadczenie lat ubiegłych uczyć nas powinno, jakie to skutki za sobą prowadzi zniesienie *kółek*, zniesienie bezwzględnéj tajemnicy ze strony podrzucających i w ogóle rozmaite utrudnienia i formalności, prowadzące de facto do zmniejszenia liczby podrzuceń. Czyż istotnie te rozmaitego rodzaju restrykcje, których celem według tego co słyszymy ma być jedynie podniesienie stopy moralności publicznéj, czyż środki te istotnie dobrodziejstwo umoralnienia mas za sobą prowadzą?

Zobaczmy. W dwunastym wieku naszéj ery we Włoszech i we Francyi spotykamy już liczne domy podrzutków z tak zwanemi kółkami (torno—tour). W r. 1445 nagle rozkaz Karola VII wstrzymuje we Francyi, z pobudek moralności, przyjmowanie niemowląt nieprawnie urodzonych do rzeczonych zakładów. I oto według tego co nam mówią kronikarze, nieszczęśliwe ofiary błędu są sprzedawane piérwszemu lepszemu, kupują je kuglarze, żebracy; większa część marnie ginie, to co pozostaje pomnaża szeregi zbrodni i nierządu.

Ten opłakany stan rzeczy trwa przeszło dwa wieki, w ciągu których tysiące ofiar ginie, a stopa moralności publicznéj zaiste się nie podnosi.

Przychodzi wreszcie mąż wielkiego serca i wielkiéj dzielności, woła głośno, że do opieki i pomocy publicznéj ma prawo *każdy kto cierpi*,—był to św. Wincenty à Paulo.

Drugi raz znowu postanowiono wystąpić z restrykcyami w sprawie opieki nad podrzutkami, i znowu w roku 1833 zamykać zaczęto we Francyi kółka, zniesiono tajemnicę, i znowu na krok ten się zdecydowano jakoby z pobudek moralności. Wiemy niestety, że pobudki były inne, powrócimy do nich zaraz. Zobaczmy jednak jakie wyniki w ciągu ubiegłych od owego ograniczenia lat czterdziestu kilku *pod względem moralności* zaznaczyć się dają. Statystyka dostarcza nam w téj mierze materyału bogatego i arcy wymownego. Wybieram tylko parę cyfr, by nie wkraczać w niektóre odrażające rubryki statystyki kryminalnéj, ściśle związane z obchodzącym nas tu przedmiotem.

Mamy przed sobą prace i poszukiwania tak poważnych badaczy jak *Brochard*, autor dzieła p. t. „La vérité sur les enfants trouvés,“ wydanego w r. 1876, i *Ligier*, autor rozprawy w rok poźniéj wydanéj p. t. „Considérations sur les tours et les conséquences de leur suppression.“ Z cyfr w pracach tych objętych, pokazuje się, że kiedy przed zniesieniem kółek było średnio rocznie 102 oskarżeń o dzieciobójstwo, to w miarę stopniowego znoszenia kółek, liczba oskarżeń tego rodzaju coraz bardziéj wzrastała i doszła w pięcioleciu od 1860—1865 roku do 206 oskarżeń rocznie. Wzrost téj cyfry bynajmniéj nie jest wiernym wyrazem rzeczywistego wzrostu dzieciobójstw, gdyż w miarę częstszéj potrzeby sekretnego pozbywania się niemowląt, wydoskonaliła się zbrodnicza technika ich mordowania, tak aby zbrodnia ukrytą być mogła. W tym okresie ograniczeń było dzieciobójstw z pewnością daleko więcéj, aniżeli oskarżonych dzieciobójczyń.

W szczegółowym raporcie Bertillona, złożonym w r. 1878 na międzynarodowym kongresie hygieny w Paryżu, znajdujemy wyczerpująco opracowaną kwestyą statystyki kryminalnéj odnośnie do zbrodni i przekroczeń, których ofiarą padają niemowlęta. Zbrodnie te i przekroczenia we Francyi, stanowczo i ogromnie wzrastać zaczęły z chwilą zniesienia kółek i utrudnienia w przyjmowaniu podrzutków. Oprócz zbrodni i przekroczeń poznanych w skutek dochodzeń sądowych, wypada tu jeszcze brać na uwagę liczbę zbrodniczych poronień, z których tylko pewna mała liczba dochodzeniu sądów podpada, a szczególniéj liczbę dzieci nieżywo-urodzonych, pod którą to nazwą ukrywa się wielka liczba niemowląt, podczas porodu lub zaraz po urodzeniu zamordowanych. Bertillon wykazał: 1° że tak zwana „mortinatalité“ (liczba urodzeń martwych), według wykazów statystyki urzędowéj, jest we Francyi wśród dzieci nieprawych dwa razy większą aniżeli wśród tychże dzieci gdzie indziéj, i że nadto jest ona

tak znaczną tylko wtedy, kiedy dzieci nieprawe urodzonemi zostają w domach prywatnych a nie w szpitalach lub klinikach, gdzie dzieciobójstwo spełnionóm być nie może. Na 10.000 niemowląt nieprawych żywo urodzonych, było stwierdzonych sądownie zbrodni przed zniesieniem kółek 17,1 potém zaś od 1831—1835 21,6

1835—1840	30,0
1841—1845	34,0
1846—1850	37,8
1851—1855	47,8
1856—1860	50,5
1861—1865	47,7

Co się tyczy „*mortinatalité*", to zebrane są cyfry dopiéro od r. 1851 i z nich okazuje, się że na 1.000 urodzeń nieprawych wypadało, według wykazów urzędowych, urodzeń martwych średnio

od 1851—1855	65	rocznie
1856—1860	73,3	
1861—1865	76,5	
1866—1870	80,4	
1871—1875	83,8	

Daléj dowiadujemy się, że po zniesieniu kółek we Francyi, śmiertelność niemowląt ogromnie wzrosła, powszechne znoszenie kółek we Francyi datuje od r. 1835. *Ogólna* śmiertelności ludność we Francyi w 3 dziesiątkach lat od r. 1840 do 1870 stopniowo się *zmniejszała* (23,18—23,18—22,87 *pro mille* ludności) a *jednocześnie* śmiertelność dzieci mniéj niż 1 rok życia mających znacznie wzrosła (182—196—205 *pro mille* żywo urodzonych), a tylko lekarze powiedzićć mogą, ile to zgonów niemowlęcych jest prostém następstwem systematycznego zaniedbania ze strony matki lub najętéj karmicielki, które bez obrażenia kodeksu kryminalnego starają się wysłać nieszczęśliwe ofiary, do grona aniołów.

Co do zwiększenia się śmiertelności niemowląt jako następstwa ograniczeń w przyjmowaniu podrzutków, statystyka śmiertelności naszego miasta coś nam powiedzićć jest w stanie. Od połowy roku 1878 zaprowadzonemi zostały, ze słusznych zresztą przyczyn, ograniczenia w przyjmowaniu niemowląt w zakładzie warszawskim. Liczba przyjętych do zakładu dzieci znacznie się zmniejszyła, ale jednocześnie śmiertelność ogólna wszystkich niemowląt bardzo znacznie wzrosła, bo kiedy w r. 1877 umarło ogółem niemowląt 3,513; tymczasem w r. 1878 śmiertelność doszła do 4.178, mimo że jednocześnie śmiertelność wszystkich innych klas wieku w porównaniu z r. 1877

znacznie się zmniejszyła (1). Skutki reformy zatém na ogóle niemowląt się odbiły.

Spójrzmyż wreszcie na rozmaite sfery życia społecznego, a szczególniéj życia rodzinnego w klasie ubogiéj czy średniéj we Francyi, w ostatnich latach czterdziestu kilku, które nastąpiły po zniesieniu kółek. Czyż pod jakimbądź względem spotykamy objawy umoralnienia, jakiebądź dowody wzmocnienia węzłów życia rodzinnego? Niestety zdaje się, że się rzecz ma wprost przeciwnie. Zepsucie nie ustało, owszem wzmogło się i przybrało charakter jeszcze ostrzejszy, coraz liczniejszych objawów zdziczenia, zezwierzęcenia. Zresztą nie Francya jedynie te objawy nam przedstawia, i nie myślę bynajmniéj kłaść takowych wyłącznie na karb zniesienia kółek i ograniczenia opieki nad podrzutkami. Przyczyny złego są inne, szerszéj natury i na nieszczęście powszechniejsze. To jest tylko pewném, że ograniczenie miłosierdzia publicznego względem podrzutków nic a nic owego złego nie zmniejszyło, nie zahamowało.

Pokazuje się więc, że nie ma żadnych względów wyższych, względów moralnych, którebyśmy w interesie dobra społeczeństwa i rodziny byli zmuszeni stawiać wyżéj, nad to, com uznał za słuszne postawić przedewszystkiém jako cel w obchodzącéj nas tu sprawie, żądając bądź co bądź ocalenia dziecka.

W imię zatém miłosierdzia i w imię dobra społecznego nakazującego czuwać nad życiem i zdrowiem każdéj jednostki, wymagamy takich urządzeń, któreby ułatwiały bez żadnych ograniczeń przyjmowanie niemowląt. A jeżeli nam powiedzą, że nędza nie zawsze, a wstyd, lekkomyślność lub zbrodnicza przewrotność nigdy nie są pobudkami usprawiedliwiającemi podrzucenie dziecka, a tém samém ułatwień z naszéj strony znajdywać niepowinny; odpowiemy, że miłosierdzie i interes społeczny *nie mogą* wchodzić w moralność pobudek tam, gdzie chodzi o zdrowie i życie tysięcy najniewinniejszych istot, lecz muszą zwracać uwagę na straszne *niebezpieczeństwo*, jakiém te pobudki, *właśnie jako niemoralne*, grożą owym niewinnym ofiarom. Hasłem naszém według chrześciańskiéj moralności musi być przedewszystkiém i mimo wszystko: ocalenie! zmniejszenie cierpień, pomoc i opieka jak najwcześniejsza, jak najakuratniejsza. Powiadają nam, że takie bezwzględne miłosierdzie jest niebezpiecznem, że jest zachętą do niemoralności. Odpowiadamy, że dopóki jakimś cudownym systemem ekonomicznym nie rostrzygniemy pomyślnie różnopostaciowéj kwestyi proletaryatu, dopóki potęgą oświaty nie doprowa-

---

(1) Patrz: St. *Markiewicz*. Smiertelność niemowląt w Warszawie, *Medycyna* 1878 nr. 8 i 16. Sprawa podrzutków w Warszawie i w kraju, *Medycyna* 1879 nr. 14.

dzimy nas do zupełnéj równowagi moralnéj, dopóty *musimy* być miłosiernymi. Jeżeli niedostatek i zepsucie w najrozmaitszéj formie w społeczeństwie naszém bujnie kwitną, toć nieludzkiémby było, najniewinniejszym ofiarom nowych dwóch kalectw społecznych, opieki publicznéj odmawiać.

Ale gdyby nawet nie chodziło o ocalenie życia niemowląt, o spełnienie czynu miłosierdzia na cierpiącéj zagrożonéj śmiercią istocie, to jeszcze nie widzę: jakim sposobem, i ktoby odniósł korzyść moralną ze zniesienia domów podrzutków, lub z ograniczenia w przyjmowaniu do nich niemowląt.

Jużeśmy widzieli, że owe ograniczenia prowadzą do dzieciobójstwa; że prowadzą za sobą cały szereg innych jeszcze fatalniejszych występków, o tém niestety wiemy tak dobrze my lekarze jak i prawnicy. Pewna zatém i to nie mała liczba matek i osób je otaczających, któreby dopuściły się jedynie podrzucenia, zostaje, nie chcę powiedziéć zmuszoną, ale powiem ośmieloną do dzieciobójstwa, w najrozmaitszéj postaci w jakiéj się ta ohydna zbrodnia przedstawia. Gdyby innych żadnych fatalnych skutków ograniczenie w opiece nad podrzutkami nie sprowadzało, gdyby tylko jednę setną część nieszczęśliwych czy grzesznych matek popychało do morderstwa, jużby to zdaniem mojém wystarczało, by wszelkie z pobudek jakoby moralności publicznéj wymagane, a istotnie niemoralne ograniczenie, nie wytrzymało krytyki. Tymczasem niezawodnemi są inne, jeszcze straszniejsze skutki doktryny, o któréj tu mowa. Pod wpływem zniesienia kółek we Francyi, nietylko, jakeśmy to już widzieli, wzrosła liczba dzieciobójstw, ale i sposób ich spełniania stał się dzikszym, źle mówię, stał się systematyczniejszym. Potrzeba uprzątania ogromnéj liczby niemowląt nie znajdujących z łatwością opieki w domu podrzutków, stworzyła metodę pozbywania się ich z tego świata, metodę polegającą na zamarzaniu ich głodem. On ne les tue pas, on les laisse mourir. Myśmy jeszcze tak daleko nie zaszli, jesteśmy w okresie duszenia niemowląt, ale możemy niestety przewidywać, że ten sposób tak łatwo dający się wykryć, będzie zastąpiony udoskonaloną metodą francuską.

W motywach do projektu prawa, przedstawionego izbom francuzkim, w przedmiocie opieki nad niemowlętami, przez Berengera, Belcastela, Foucher de Careil i Schoelchera, w następujących słowach kreślony jest los *tych* niemowląt, których opuszczone matki nie posuwają się do zbrodni i, dobrowolnie czy z konieczności, dziecko zatrzymują przy sobie: „Na jedno niemowlę, mówią ci badacze, które spotyka czułą opiekę matki godnéj istotnie nosić to imię, lub opiekę rodziny, która zapomina o jego pochodzeniu, ileż to wegetuje, wię-

dnie i umiéra, zanim jeszcze przyszło do poczucia życia, ileż pada ofiarą nędzy, głodu, braku starań, a nieraz ofiarą nienawiści, jaka na nie za ich ojców spływa.“ Tak we Francyi. A u nas czy inaczéj, niech odpowiedzą ci, którzy o sprawach społecznych nietylko przy biurku swém radzą, ale którzy tak jak lekarze, jak księża wchodzą na poddasza, zaglądają do suteren i z nędzą moralną i cielesną oko w oko się spotykają.

Cóż wreszcie się dzieje tam, gdzie dziecko o jakiém tu mowa, pozostawione przy matce nie ginie w piérwszych kilku tygodniach życia. Czy ma ono przy niéj lepiéj zapewniony byt moralny, aniżeliby mieć mogło przy dobrze uorganizowanéj opiece publicznéj, jest to rzeczą co najmniéj wątpliwą. Nędza i pogarda ludzka, oto dwa bodźce, pod wpływem których odbywa się smutne wychowanie takiéj sieroty. Nie mogę i nie chcę tu kréślić obrazu otoczenia w jakiém najczęściéj to wychowanie się odbywa. Wątpię jednak by mnie ktoś zaprzeczył, że w największéj liczbie wypadków tylko cudem dziecko w tych warunkach ujść może kalectwa moralnego. W raporcie Dr. Marjolina, złożonym podczas międzynarodowego hygienicznego kongresu w Paryżu w r. 1878, znajdujemy ciekawe cyfry urzędowe, które stanowią illustracyą stosunku o którym tu mówię, Zarzucano nieraz, że wychowańcy domów podrzutków idą złą drogą. I cóż się pokazało, oto w końcu r. 1873 z pomiędzy 6.950 młodych chłopców zamkniętych w zakładach *karnych* było tylko 153 wychowańców zakładów dobroczynnych, ale aż 998 chłopców nieprawo urodzonych. Z pomiędzy 1.635 uwięzionych w tym czasie dziewcząt, było tylko 21 wychowanek zakładów miłosierdzia a 407 nieprawych. Te cyfry 998 i 407 odnoszą się oczywiście przeważnie do dzieci, dobrowolnie lub przymusowo przez matki zatrzymane i wychowane przy sobie. Przytoczone tu dane świadczą zarazem, że twierdzenie, jakoby podrzutki w zakładach publicznych wychowywane skazane są fatalnie na upadek moralny, nie jest zgoła na faktach oparte.

Ale jeszcze z innéj strony wypada nam spojrzéć na moralną doniosłość czynu podrzucania i ocenić, czy istotnie mamy prawo widziéć w podrzucaniu zawsze występek przeciw naturze.

Nikt nie ma więcéj możności jak lekarze często i dobrze analizować straszny stan umysłu w jakim się znajduje matka, która w chwili przyjścia na świat istoty najdroższéj dla niéj wedle praw natury jest opuszczona przez wszystkich, zdradzona, zaniepokojona w sumieniu, a w dodatku bez dachu, bez chleba. „Nieraz powiada Marjolin pytano się czém to się dziać może, iż matka tyle bywa wyrodną, iż dziecko swe porzuca, kiedy przecie najlichsze zwierzę całą inteligencyą skupia, całéj zręczności użyć się stara, by małe swe od nie-

bezpieczeństwa uchronić, a w razie potrzeby w obronie ich dowody niesłychanéj odwagi daje; pojmujemy to łatwo, pamiętając, że zwierzę nie zna uczuć jakie rodzi nędza, nie zna wstydu, że jego instynkt macierzyńskiego przywiązania nigdy owemi gnębiącemi uczuciami niezachwiany wzrasta i potęguje się w danéj chwili do tego stopnia, iż dochodzi szczytu najszlachetniejszego uczucia ludzkiego.“ Tylko zimny teoretyk, lub człowiek, który nie umiał czy nie miał sposobności robić psychologicznych spostrzeżeń, może zaprzeczyć temu, że pod naciskiem owych najróżnorodniejszych pognębiających wpływów, stan umysłu i serca kobiéty, już fizycznie choréj, nie może być normalnym. Wśród tego chaosu strasznych uczuć, zdolnych zachwiać równowagą najdzielniejszego ustroju moralnego, nie ma miejsca, nie ma punktu oparcia dla spokojnego uczucia miłości macierzyńskiéj. Ani się temu dziwić, ani tém oburzać należy. Jest się czém smucić, i jest się o co troszczyć.

Powiadają nam niektórzy, że w téj krytycznéj chwili wypada nam biedz z pomocą materyalną i moralną opuszczonéj matce, ducha jéj pokrzepić, do spełnienia świętych obowiązków zachęcić i środki do tego konieczne podać, co zarazem ma i duszę matki i przyszłość niemowlęcia zbawiać. Najzupełniejsza zgoda na to, i nie ma najmniejszéj wątpliwości, że pomoc niesiona opuszczonym matkom może być w pewnéj liczbie wypadków bardzo skutecznie, istotnie moralnie i cieleśnie ocalającą. Ale tylko w pewnéj liczbie wypadków i pod pewnemi warunkami, jak o tém przekonywa doświadczenie w ostatnich latach we Francyi nabyte. A najprzód gdzie wstyd i obawa hańby jest działającą pobudką, tam pomoc o któréj tu mowa nietylko nie pomoże, ale raczéj do tém przebieglejszego sposobu usunięcia dziecka doprowadzi. Ggdzie jest prosta, zimna przewrotność, tam pomoc matce niesiona będzie zręcznie wyzyskiwana. Już to w ogóle w instytucyi, która się losem matek zajmie, pole do wyzyskiwań szeroko otwarte, témbardziéj, że organa takiéj instytucyi muszą być z natury rzeczy bardzo liczne, a mogą być bardzo rzadko biegłe w ocenianiu szczerości i uczciwości osób wspiéranych. Tam gdzie istotna pomoc ma być niesioną opuszczonéj matce, któréj grożąca nędza, głód i zimno na zatrzymanie dziecka nie pozwalają, tam gdzie pomoc ta być może najbardziéj skuteczną potrzeba koniecznie, aby była wczesną i długo trwałą. Jeżeli formalności, jak to niestety najczęściéj bywa, nawet w instytucyach czysto filantropijnych, powodują opóźnienie, lub jeżeli pomoc trwa tylko tygodni lub miesięcy kilka, to dla niemowlęcia a dla matki témbardziéj, korzyść ztąd niesłychanie mała wypływa. Wreszcie jeżeli otwartemu przyjmowaniu dzieci w zakładach dla podrzutków, robionym jest zarzut, że jest

niemoralnym i zachęca do niemoralności, to o ileż bardziéj na zarzut ten instytucya opieki opuszczonych matek zasługiwaćby musiała, już przez to samo, że najczęściéj i najhojniéj wspieranemi musiałyby być matki, któreby do konkursu o nagrodę Montyona stanąć nie miały prawa.

Zdaniem mojém opieki nad opuszczonemi matkami przeciwstawiać nie należy opiece nad podrzutkami. Oba te rodzaje opieki w każdém chrześciańskiém społeczeństwie mają prawo bytu. Opieka dla matek, jeżeli się nie mylę, najpotrzebniejszą jest, i najbardziéj błogie przyniesie owoce tam, gdzie chodzi tylko o *nędzę*, jako o *jedyną* przeszkodę w zatrzymaniu dziecka przez matkę, a więc najczęściéj tam, gdzie chodzi o wypadki w życiu rodzinném się zdarzające, zaś opieka dla podrzutków nigdy nie przestanie być potrzebną tam, gdzie prócz nędzy, albo i bez niéj, wstyd, trwoga, przewrotność złéj, czy nieszczęśliwéj matki, grożą życiu dziecka.

Opuszczając na chwilę stanowisko miłosierdzia z któregośmy dotąd rozpatrywali obchodzącą nas tutaj sprawę, zejdźmy na grunt niby to pozytywniejszy i zapytajmy jak kwestya opieki nad podrzutkami przedstawia się z punktu utylitarnego.

Zgóry jednak zastrzegam, iż zdaniem mojém nigdy dzieło miłosierdzia nie stoi w sprzeczności z wymaganiami użytku, interesu publicznego. „Toute oeuvre de charité est oeuvre politique" jak słusznie wyrzekł Villemain, a ci pseudo-filantropi i pseudo-ekonomiści, których u nas nie brak i którzy mniemają, że najgłówniejszém zadaniem i całą zasługą instytucyj dobroczynnych jest robienie oszczędności, przynoszą cierpiącym szkodę a społeczeństwu nie przynoszą pożytku. „Kto czyni miłosierdzie niech czyni z ochotą," mówi Paweł w swym liście do Rzymian.

Już poprzednio powiedziałem, że ład społeczny wymaga, by każda opuszczona, kalectwem lub śmiercią zagrożona jednostka, znalazła natychmiastową opiekę i pomoc. Nie ma dziś dla nikogo z nas wątpliwości, że najgłówniejszym czynnikiem bogactwa w danéem społeczeństwie jest praca, tak fizyczna jak umysłowa jednostek, z których się to społeczeństwo składa. Nawet kraj tak bogato uposażony przyrodzonemi skarbami jak Francya, strwożony jest małym przyrostem swéj ludności. O ileż my ubodzy a zamieszkujący ziemię potrzebującą niesłychanego wytężenia w pracy, by ją do wydania możliwie wielkich przymusić plonów, o ileż my więcéj trwożyć się mamy powód, straszną śmiertelnością niemowląt, która wszędzie w miastach i po wsiach naszych zniszczenie szerzy. A jednak, nieraz kiedy jest mowa o kwestyi dzieci opuszczonych, podrzuconych, słyszymy zdanie, mające pretensyą do powagi naukowéj, iż nie war-

to jest ponosić kosztu na ocalanie tych dzieci bez rodziny, bo koszt ten nigdy się społeczeństwu nie opłaci. Zdania te nie u nas wyrosły, są one niefortunném echem opinij wyrażanych przez pewnych ekonomistycznych doktrynerów zachodu, które i na ostatnim międzynarodowym kongresie demograficznym w Paryżu, wypowiadano otwarcie i wyraźnie. W czasopiśmie „L'economiste français" z przed dwóch lat czytamy, że: „jeżeli dzieci wzięte pod opiekę publiczną nie umierają, czeka je zawsze byt nędzny, i społeczeństwo zamiast odbiérania usług z ich strony, wystawioném jest tylko na ciężary, a nawet na niebezpieczeństwo. Niechajże lepiéj giną. Wszak ludność zawsze rośnie, nawet wtedy, kiedy się jéj przyrost osłabia. „Laisser faire, laisser passer, laisser mourir."

Prawdziwi mężowie stanu i politycy inaczéj zapatrywali się na tę kwestyą, wiedzieli oni, że państwu i społeczeństwu opłaca się ponoszenie wydatku na utrzymanie jednostki przy życiu. Ludwik XIV w edykcie z r. 1670 zaliczając domy dla podrzutków do zakładów szpitalnych i przeznaczając pewne fundusze na ich utrzymanie powiada między innemi: „z uwagi na to, że zachowanie dzieci tych przy życiu jest wielce korzystném, ponieważ pewna ich liczba dorósłszy może wyjść na żołnierzy i służyć w naszéj armii, a inni zostać mogą rzemieślnikami, lub mieszkańcami kolonij, które zakładamy w interesie handlu naszego królestwa, dajemy przeto, i t. d." Kiedy cesarz Napoleon I w r. 1811 wydawał dekret o powszechném zaprowadzeniu domów dla podrzutków i kółek, był on według słów Bérengéra, wyrzeczonych niedawno w senacie francuskim, „kierowany względami wyższemi, a mianowicie chęcią zapewnienia, choćby kosztem znacznych ofiar, bytu i wychowania ogromnéj liczby dzieci, które bez téj pomocy skazanemi byłyby na śmierć lub występne życie, był kierowany chęcią zachowania ojczyźnie pewnéj liczby jéj naturalnych obrońców."

Wreszcie już w r. 1850, zatém w kilkanaście lat po zniesieniu kółek we Francyi i po zaprowadzeniu ograniczeń w przyjmowaniu podrzutków,. tak wytrawny mąż stanu jak Thiers wyrzekł: „Dans une bonne intention on a voulu supprimer les tours, il faudra probablement les retablir." Przewidywania Thiersa sprawdziły się. Dziś dowiadujemy się, że władze francuskie do kółek wracają.

Według cyfr urzędowych, wydatek jaki państwo czy społeczeństwo ponosiło we Francyi na utrzymanie i wychowanie jednego podrzutka przeciętnie od chwili jego przyjęcia do zakładu, do chwili dojścia do lat 12, to jest do czasu kiedy już przestaje być ciężarem dla zakładu, wynosił około 2.200 franków, to jest jak zauważył Marjolin dwa razy tyle co kosztuje koń kawaleryjski. Cyfra

powyższa jest zdaniem mojém za nizką, gdyby jednak w dwójnasób się zwiększyła, to jeszcze żaden rozsądny znawca gospodarstwa społecznego nie powiedziałby z pewnością, że jednostka zdrowa i uczciwa w naszém społeczeństwie, w sile wieku będąca, i uważana, jeżeli tak wolno powiedzieć, jako kapitał, nie jest warta 2.000 rubli.

By dać wyobrażenie o tém co reprezentować może dla kraju praca, ocalonych i wychowanych kosztem publicznym dzieci, przytoczę tu cyfry zaczerpnięte z raportu Marjolina. Oto w r. 1860 było prawie 134 tysiące małoletnich pod nadzorem instytucyj opiekuńczych, o jakich tu mowa, w téj liczbie było prawie 58 tysięcy w wieku od lat 12 do 20, zatém już pracujących, a z tych przeszło 44 tysiące pracowało na roli a 4.500 w rzemiosłach.

Kiedym już wszedł na drogę wykazania użytku materyalnego jaki się wiąże z dobrze uorganizowaną opieką nad dziećmi opuszczonemi, chcę zaraz wypowiedzieć moje przekonanie o pobudkach, które w różnych czasach i krajach skłaniały do znoszenia domów dla podrzutków, do utrudniania w ich przyjmowaniu, do zamykania kółek i t. d. Już poprzednio wzmiankowałem, że pobudki moralne, które miały służyć za usprawiedliwienie tych wszystkich środków restrykcyjnych, były i są zawsze tylko pretekstem, wymówką. Powodem, zawsze i wszędzie była oszczędność, źle mówię, skąpstwo. Bo skąpstwem jest oszczędność względem niewinnéj, śmiercią zagrożonéj ofiary, i skąpstwem jest oszczędność, która ostatecznych bujnych plonów dobrze użytego grosza nie widzi, która woli nie zbiérać jak gotówką zapłacić za ziarno na wysiew. Ale prawie gorsze od skąpstwa jest tutaj kłamstwo, jest utwierdzenie ogółu w tém przekonaniu, że wyższe jakieś względy dobra publicznego tych ograniczeń wymagają. Na szczęście społeczeństwa naszego wieku, nawet te, które wysoką moralnością się nie odznaczają, skąpemi w obec cierpienia nie są, trzeba tylko chcieć i umieć pokierować ich miłosierdziem, a tysiące ofiar się ocali.

Słyszymy od tych, którzy nie chcą niepotrzebnych jak mówią wydatków na opuszczone niemowlęta ponosić, słyszymy od nich, że gdziebądź zaprowadzonemi bywają domy dla podrzutków i kółka bez wszelkich ograniczeń w przyjmowaniu, tam zawsze w krótkim czasie liczba podrzuconych w zakładzie znacznie wzrasta; gdzie zaś zakład zostaje zamknięty, lub przyjmowanie utrudnione formalnościami dla matki przykremi, tam liczba podrzuceń w ogóle się zmniejsza. Istotnie fakt ten jest niezawodnym. We Francyi na początku r. 1815 było w zakładach podrzutków 67 tysięcy dzieci, w roku 1819 było ich 99 tysięcy, w roku 1833 liczba doszła do 130 tysięcy. Czyż

z tego mamy wyprowadzić wniosek, że otworzenie zakładu i urządzenie kółka składania, zachęca do podrzucania swych dzieci *takie* matki, któreby w braku téj ucieczki chętnie dziecko przy sobie zatrzymały, *takie* matki, któreby czule się niém opiekowały, lub *takie*, które stać na wyżywienie siebie i niemowlęcia? Gdzie jest prawdziwe uczucie macierzyńskie, tam zaiste nie widzę by pokusa była wystarczającą. W miarę oswajania się ludności z tym widokiem ocalenia, jaki przedstawiają domy podrzutków, coraz częściéj do środka tego uciekają się matki, które dziecka *nie mogą* lub *nie chcą* przy sobie zatrzymać, coraz rzadziéj ucieczką ich jest zbrodnia, coraz mniéj jest dzieciobójstw jawnych i ukrytych, a ztąd coraz więcéj podrzuconych, a powinno być téż i coraz więcéj ocalonych dla społeczeństwa jednostek. Zaprzeczyć nie można, że przy zaprowadzeniu otwartych domów dla podrzudków, dostaje się tam pewna liczba dzieci mających rodzinę, mających nietylko matkę, ale i zdrowego pracującego ojca. Jest to złe, złe straszne. Ale złe nie w tém leży, zdaniem mojém, że w takim razie społeczeństwo łoży na wychowanie dziecka, któreby powinno i mogło być wychowane staraniem i kosztem swych życiodawców, a przedewszystkiém w tém, że tutaj zatracenie uczuć rodzicielskich spotykamy w warunkach, w których brak ich niczém usprawiedliwić się nie daje. Ponieważ jednak spotykamy niestety brak ten, świadczący o straszném kalectwie, jakiemu ulega najważniejsze ogniwo społeczne, rodzina, ponieważ stanowi on, każdy to przyznać musi, najniezawodniejsze, bezustanne niebezpieczeństwo tak fizyczne jak i moralne dla dziecka takich wyrodnych rodziców, zatém społeczeństwo dostając dziecko to pod swoję opiekę, cieszyć się powinno, że je z owych niebezpieczeństw wyrwać jest w stanie. Bo czyżby dla społeczeństwa i dla dziecka lepiéj było, gdyby je z rąk niegodnych rodziców wyrwała policya, lub żeby wyrosłe pod ich fatalną opieką, z domu rodzicielskiego wyszło nie jako kilkotygodniowy podrzutek, a jako kilkunastoletni przestępca. Zresztą wypadki podrzucania dzieci urodzonych w rodzinie zawsze były i są wyjątkowemi, i rozsądnie rzeczy biorąc niepodobna koniecznéj i pożytecznéj instytucyi zamykać, jedynie dla tego, by z niéj nie korzystała jakaś mała liczba do tego nieuprawnionych. Niejednoby się jeszcze dało powiedziéć o owém zjawisku powiększania się liczby podrzutków, tam gdzie podrzucanie bez ograniczeń zaprowadzono. O zjawisku niemniéj często stwierdzoném zmniejszania się podrzucań po zaprowadzeniu ograniczeń, jużem wyżéj mówił i przytoczyłem cyfry tak francuskie jak i warszawskie, cyfry, które wątpię by przynieść mogły pociechę zwolennikom restrykcyi, a uspokojenie sumieniu publicznemu.

W ścisłym związku ze stroną ekonomiczną opieki nad podrzutkami, stoi zarzut jaki czynionym bywa zakładom dla podrzutków, że w nich śmiertelność niemowląt jest tak ogromną, iż nie opłaci się ponosić wielkich kosztów na ich utrzymanie, gdyż większa część przyjmowanych do zakładów umiéra. Tu trzeba rozróżnić dwie rzeczy: normalną śmiertelność niemowląt tego wieku w którym większość podrzuconych się zwykle znajduje, i urządzenie samego zakładu.

Nie wszystkim, którzy się przerażają widokiem cyfr w wykazach śmiertelności niemowląt w domach podrzutków, znane są cyfry normalnéj śmiertelności noworodków, téj śmiertelności, która tak samo jak pewna śmiertelność innych grup wiekowych, jest nieubłaganym wynikiem przyczyn przyrodzonych, w ustroju nowonarodzonego tkwiących, lub tych, które na ten wątły ustrój z zewnątrz działają. Otóż według liczbowych obrachowań, mamy prawo uważać 170 do 180 zgonów niemowląt na 1.000 nowonarodzonych, przed dojściem do 1-go roku życia, za cyfrę dla środkowéj Europy minimalną, a są kraje wcale nie ubogie, w których dzieci wyłącznie w rodzinie wychowywane bywają, w których jednak umiéra z 1.000 nowonarodzonych 320 do 350 niemowląt przed dojściem do 1-go roku życia. U nas, o ile z niedokładnéj statystyki sądzić można, umiéra również trzecia część niemowląt nie doszedłszy roku. Są to jednak wszystko cyfry dotyczące ogółu niemowląt. A tymczasem we wszystkich krajach, śmiertelność w piérwszym roku życia między niemowlętami nie w rodzinie urodzonemi jest dwa razy większą od ogólnéj śmiertelności niemowlęcego wieku. We Francyi np. na 1.000 żywo urodzonych w ogólności, umiéra w piérwszym roku 175, zaś na 1.000 żywo urodzonych, pozbawionych praw cywilnych, umiéra 337. Ten sam stosunek spotykamy w Prusach, ten sam zdaje się jest i u nas przynajmniéj w Warszawie i w większych miastach. Otóż dom podrzutków, z natury rzeczy, dostaje pod swą opiekę przeważnie te właśnie dzieci po za rodziną urodzone, które z najrozmaitszych przyczyn, przyniosły już na świat małą oporność, których przeszło trzecia część w każdym razie i koniecznie przed upływem roku zginąć musi.

Jeżeliby nam chodziło o kwestyą kosztu bezużytecznego żywienia i utrzymania tych straconych niemowląt, to na uspokojenie zbyt skrupulatnych rachmistrzów, nadmienię, że na szczęście z pomiędzy niemowląt w ciągu piérwszego roku umiérających kończy życie już w piérwszych 4-rech tygodniach prawie połowa, bo przeszło 40%.

Tyle dla objaśnienia do pewnego stopnia wysokiéj śmiertelności niemowląt w domach dla podrzutków. Nie ma jednak wątpli-

wości, że jeżeli są, albo raczéj bywały zakłady, w których z pomiędzy 1.000 w piérwszym roku życia będących podrzutków umiérało rocznie 600 albo i 800, to przyczyna téj oburzającéj śmiertelności, leżała przeważnie w urządzeniu zakładów, a więc w sposobie przyjmowania niemowląt, ich żywienia, czystości, pomieszczenia i t.d. i t.d. Niemowlęta marły, bo brakło albo pieniędzy, albo umiejętności, albo dobréj woli by je od śmierci ocalić. Zakładać i utrzymywać instytucye, któreby jak kiedyś dom podrzutków w Paryżu zasłużyły sobie ze strony jakiegoś złośliwego satyryka na nadpis: „ici on tue les nouveau-nés au frais publique" tego istotnie sumienie doradzać nie pozwala. Tam gdzieby społeczeństwo, dla niewinnych ofiar nędzy lub błędu, nie potrafiło się zdobyć na odpowiednie fundusze, na opiekę kierowaną wymaganiami nowoczesnéj hygieny i na płynącą z serca troskliwość, tam najlepiéj będzie pójść za radą owego ekonomisty francuzkiego, który miał odwagę swéj opinii, wołając: „laisser faire, laisser passer, laisser mourir!" Do jakiego stopnia rodzaj opieki nad niemowlętami po za rodziną wychowywanemi stanowi o większéj lub mniejszéj ich śmiertelności, o tém świadczą następujące cyfry wzięte z pracy Bertillona. Na 1.000 niemowląt oddawanych z Paryża płatnym karmicielkom na prowincyi umiéra 710, zatém prawie $^3/_4$. Na 1.000 niemowląt pozbawionych opieki rodzinnéj, a wychowywanych pod kontrolą władzy departamentalnéj i odwiedzanych raz na kwartał przez właściwych inspektorów, umiéra rocznie 240, zatém $^1/_4$. Na koniec z 1.000 niemowląt zostających pod opieką Towarzystwa ochrony niemowląt, a mianowicie pod kontrolą członków komitetowych i inspektorów lekarskich umiéra rocznie od 90 do 120. Cyfry te przekonywują, że zmniejszenie śmiertelności niemowląt, a w szczególności niemowląt opuszczonych, jest możliwém i jedynie zależném od troskliwéj i nie zbyt skąpéj opieki.

Jakąby powinna być organizacya zakładów dla podrzutków, albo raczéj jaką być powinna organizacya opieki nad podrzutkami? Odpowiedź na to pytanie całkiem wyczerpująca dotknąćby musiała techniki hygienicznéj i za dalekoby nas zaprowadziła. W ogólnych więc tylko zarysach pozwolę sobie przedstawić warunki główne, którym rzeczona organizacya zdaniem mojém odpowiadać musi, jeżeli cel o który nam chodzi: ocalenie jak największéj liczby niemowląt, ma być dopiętym.

Przed 15-tu wiekami cesarz Konstanty ogłosił prawo, w którém spotykamy następujące zdanie: „jeżeli ojciec lub matka przyniesie wam dziecko, które nędza wychowywać im samym nie pozwala, to

obowiązkiem waszego urzędu będzie dostarczyć mu pożywienia i odzieży bez najmniejszéj zwłoki, *albowiem zaspokojenie potrzeb nowonarodzonego niemowlęcia odkładane być nie może;* skarb publiczny i mój własny bez różnicy dostarczy środków na te wydatki.“

Otóż w tych prostych słowach motywujących konieczność natychmiastowéj pomocy, doskonale wyrażonym jest piérwszy warunek dobréj organizacyi opieki nad podrzutkami. Żadna formalność, żadne śledztwo nie powinno wstrzymać ani na chwilę pomocy jaką instytucya opiekuńcza każdemu bez wyjątku dostającemu się jéj podrzutkowi nieść musi.

Drugim warunkiem jest bezwzględne uszanowanie tajemnicy matki czy osoby oddającéj lub podrzucającéj dziecko do zakładu czy do kółka. Nie potrzebuję, po tém co już wyżéj powiedziałem, objaśniać, że tajemnicę uważam za konieczną, nie ze względu na karygodną nieraz matkę lub jéj doradczynię, ale ze względu na niebezpieczeństwo dziecka. I znowu pozwolę sobie przytoczyć tu słowa rozkazu na początku XIII wieku wydanego przez papieża Inonocentego III, którego nie mamy prawa posądzać o chęć tolerowania występku. Otóż w rozkazie tym, podyktowanym niezawodnie czystém uczuciem miłosierdzia, powiedziano jasno i stanowczo: „obok szpitala jest kółko do wkładania podrzutków. Wkładać je tam można śmiało, w dzień jasny, albowiem zakazaném jest pod karą odpowiedzialności, a nawet pod karą cielesną, dowiadywać się kto są te osoby, które dziecko przynoszą, ani też wolno jest śledzić takowe.“ Zresztą składanie sekretne podrzutków tam gdzie jest kółko bynajmniéj nie jest rzeczą częstą, jeżeli przy przyjmowaniu jawném w biurze jest tajemnica składającego bezwzględnie uszanowaną. Dopóki w domu podrzutków w Paryżu biuro, trzymając się ściśle kodeksu szpitalnego, żadnego śledztwa nie wyprowadzało, zostawiając przynoszącemu dziecko do woli czy zechce lub nie podać swe nazwisko, mieszkanie i t. d., dopóty składano sekretnie do kółka zaledwie po 40 do 50 niemowląt rocznie. Ale od r. 1839, kiedy zaprowadzono pewne utrudnienia i wymagano pewnych zeznań w biurze, cyfra sekretnych podrzucań do kółka wzrosła do 776 rocznie. Nie ma wątpliwości, że dla bezpieczeństwa życia niemowlęcia lepszém jest jawne składanie w biurze. Aby je uczynić możliwém, trzeba przyjąć za zasadę absolutną tajemnicę, i to stanowi drugi warunek organizacyi opieki nad podrzutkami.

Trzecim warunkiem, zdaniem mojém piérwszorzędnéj wagi, być musi decentralizacya, to jest organizacya opieki nad podrzutkami taka, któraby pozwalała niemowlę nowonarodzone z łatwością w zakładzie pomieścić. Warunek ten czyni zadość dwóm wyma-

ganiom, raz chroni dziecko od zbyt długiéj podróży, a powtóre zapobiega skupieniu znacznéj liczby dzieci w jednym zakładzie. Centralizacya naraża zakład nieraz na przyjmowanie takiéj liczby dzieci, jakiéj ani pomieścić, ani stosownie wyżywić niepodobna. Małe, ale liczne przytułki dla podrzutków idąc za wzorem departamentalnych przytułków francuzkich według prawa z r. 1811 byłyby u nas najwłaściwszemi.

Nakoniec jak najwcześniejsze oddawanie zdrowych podrzutków na wykarmienie na wieś, dobrze uorganizowana, ciągła, peryodyczna kontrola nad niemi przez jak najczęstsze lekarskie i nielekarskie odwiedzanie dziecka w domu jego karmicielki, dobre wynagrodzenie karmicielek i dosyć wysokie premya dla karmicielek dobrych i szukających wcześnie pomocy lekarza w razie choroby niemowlęcia, oto szereg warunków, które, uzupełnione jeszcze innemi, stanowićby mogły i powinny programat obowiązków tak potrzebnego u nas stowarzyszenia opieki nad niemowlętami w ogólności.

Być może, że kto niechęć z jaką się wyrażam o systemie restrykcyj w opiece nad podrzutkami, o tyle źle zrozumié, iż krytykę moję odniesie do reformy, jaką zaprowadzono niedawno w naszym warszawskim domu podrzutków. Byłoby to podejrzenie nie słuszne. Trzebaby być bardzo zaślepionym, aby nie uznać, że ograniczając przyjmowanie niemowląt do naszego zakładu, postąpiono tak, jak nakazywał zdrowy rozsądek. Musiano się w przyjmowaniu zastosować do miejsca jakie zakład ma w swém rozporządzeniu i do środków piénię̇żnych, które posiada. Na tę liczbę niemowląt, którą w warszawskim zakładzie składano, było tam i piénię̇dzy i miejsca za mało. Niemowlęta marniały z braku posiłku, powietrza, posługi. Ograniczenie się było konieczném. Czy jednak na samém tylko ograniczeniu poprzestać należało? Pytanie to właśnie starałem się do pewnego stopnia wyjaśnić.

Wiemże pomiędzy licznemi zarzutami z którenmi spotkać się mogę, będzie niezawodnie i ten, że są społeczeństwa i to społeczeństwa politycznie dojrzałe, które żadnych wyjątkowych instytucyj dla dzieci opuszczonych, żadnych domów podrzutków nie mają i potrzeby ich wcale nie czują. I tak zakładów tych nie spotykamy w Anglii, w Prusach, w Bawaryi, w Szwecyi, w Szwajcaryi, w Stanach Zjednoczonych. Wprawdzie przykład niektórych z tych krajów, jako przekonywający argument służyć tu nie może, gdyż np. w Prusach i Bawaryi śmiertelność niemowląt jest okropna. Ale że się te kraje bez domów dla podrzutków jednak obchodzą, to pochodzi po pro-

stu z téj przyczyny, że w nich nie obowiązuje paragraf 340 kodeksu cywilnego francuzkiego (1). Los opuszczonych niemowląt jest tém samém w przeważnéj liczbie wypadków zabezpieczony. Czy i o ile, dobrodziejstwo, które ze zmiany przepisu rzeczonym paragrafem objętego wynika, nie jest równoważone niebezpieczeństwami grożącemi moralności publicznéj w skutek owéj zmiany, na to pytanie niechaj odpowiedzą prawnicy, ja tylko powiem, że w obec dziś obowiązujących u nas przepisów kodeksu cywilnego, jak najszersza pomoc dla podrzutków jest koniecznością prawną i jest moralnym obowiązkiem społeczeństwa.

Nie chciałbym, aby ktokolwiek poczytał mnie za fanatyka mych opinij, za ideologa, który wierzy, że pewną liczbą przytułków dla niemowląt opuszczonych, wytępić zdołamy wszystkie zbrodnie przeciw nim tak często dziś popełniane, że zmniejszymy zaraz do minimum stopę śmiertelności wieku dziecinnego i t. d. i t. d.

Sprawa reformy opieki nad podrzutkami tak u nas jak i gdzieindziéj jest sprawą medycyny publicznéj. Otóż w pracy na tém polu najwłaściwszém, jest postępować względem społeczeństwa, tak jak każe francuzki hygienista Fonsagrives, który w swém dziele o asenizacyi miasta, broniąc się przeciwko zarzutowi, ideologii, powiada: „Je réclame l' indispensable et je montre l' ideal, le progrès a de la marge outre ces deux termes.“ Zacznijmyż robić to co jest konieczném, to co nam nakazuje najprostsze uczucie miłosierdzia, ocalajmy jak najwięcéj zagrożonych niebezpieczeństwem niemowląt, a z pewnością dojść musimy stopniowo do tego idealnego rezultatu, jaki nam się przedstawia w zmniejszeniu dzieciobójstw, w zmniejszeniu śmiertelności niemowląt, w zwiększeniu przyrostu naszéj ludności i w konieczném przez to podniesieniu moralności publicznéj i publicznego bogactwa.

W pracy naszéj spotkamy się z bardzo poważną i pełną dobréj wiary opozycyą. Powiedzą nam, że w wieku naszym, w wieku cywilizacyi i naturalnéj harmonii ekonomicznéj, w wieku samopomocy każda jednostka powinna nosić sama ciężar odpowiedzialności za swe czyny. Powiedzą, że jeżeli domy dla podrzutków stanowią hamulec przeciw zbrodni opuszczonych, nędzą i rozpaczą pognębionych matek, to w naszych czasach ten średniowieczny hamulec jest niepotrzebnym, gdyż czas już nadszedł, by świat niewieści o własnéj jego pozostawić sile. Zapewnią nas, że usunięcie tego hamulca i wszelkiéj prewencyjnéj opieki wniesie do społeczeństwa cywilizacyjną siłę.

---

(1) Dochodzenie ojcowstwa jest wzbronioném.

Obliczą nam, że moglibyśmy zakłady dla podrzutków wszędzie gdzie one istnieją znieść śmiało, gdybyśmy jednocześnie budżet tych zakładów obrócili na powiększenie liczby i wynagrodzenie nauczycieli elementarnych i na podniesienie średnich zakładów naukowych szczególniéj dla dziewcząt. Usłyszymy daléj, że gdzie są szkoły ludowe w odpowiedniéj liczbie i odpowiednio urządzone, tam prócz zwykłéj policyi i kodeksu karnego żadnych innych urządzeń dla opieki nad dziećmi opuszczonemi nie potrzeba, że czego przy pomocy policyi i kodeksu, jako środków pomocniczych, nie zdziała główny środek prewencyjny, jakim jest oświata mas, to po prostu jest nie do zrobienia.

My na to odpowiemy, że są to teoretyczne desiderata, że zanim nędza i zepsucie znikną pod wpływem promieni oświaty, my w społeczeństwie chrześciańskiém obok szkoły, policyi i kodeksu żądamy miejsca dla miłosierdzia.

St. Markiewicz.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Balladyna Słowackiego. Dwa odczyty na dochód Osad Rolnych, miane w dniu 23 i 25 Marca r. 1879 przez Adama Bełcikowskiego (Odbitka z „Tygodnika Powszechnego") Warszawa. 1879, str. 74.

Balladyna należy do szczęśliwych „dzieciąt" ducha Słowackiego: ze wszystkich dramatów ona najpiérwéj stała się dostępna dla szerszego ogółu przez przedruk warszawski (1859); ze wszystkich utworów ona najwięcéj pobudziła umysłów krytycznych do zajęcia się jéj treścią: p. Małecki ukochał ją całém sercem i pragnął wykazać w niéj „filozofią" poety, a zamiłowanie swoje do téj tragedyi posunął tak daleko, że aż zaproponował zmiany i skrócenia, które jéj wstęp na deski teatralne ułatwiły; p. Tarnowski poświęcił jéj kilka pięknych kart w swym obszernym rozbiorze pracy p. Małeckiego; p. Jabłonowski starał się wytłómaczyć ją alegorycznie. Obecnie p. Bełcikowski powiększa szereg tych, co się nad znaczeniem i wartością utworu zastanawiali głębiéj i szczegółowiéj.

Występując po innych, p. Bełcikowski miał i utrudnione i ułatwione jednocześnie zadanie: utrudnione o tyle, że przed nim wypowiedziano już wiele myśli trafnych, ważnych, głębokich; ułatwione zaś pod tym względem, że mógł szerzéj rozpatrzyć się w tych stronach utworu, które poprzednicy jego więcéj zajęci całością niż szczegółami, pozostawili w cieniu a przynajmniéj na planie dalszym.

Jakoż istotnie to, co p. Bełcikowski mówi o Słowackim w ogóle, o jego umysłowości, o naturze jego uczucia i fantazyi, to że Słowacki najlepiéj da się określić jako „kochanek poezyi," że nawet uczucie miłości nigdy nie ogarnęło wszechwładnie jego serca, nie przeniknęło go do głębi; że on świetniéj może niż ktokolwiek inny przeprowadził tę paradoksalną teoryą, iż nie z życia i rzeczywistości wysnuwać należy poezyą, ale iż życie przeobrazić trzeba w poezyą i urzą-

dzić je według praw, które ona podyktuje: te i inne rysy są i być musiały powtórzeniem tylko tego, co już przed nim powiedziano. Są one prawdziwe a jako prawdziwe muszą się znaléźć w każdéj dobréj charakterystyce umysłu poety. Równie prawdziwém jest to, co p. Bełcikowski mówi o poezyi Słowackiego w ogóle, że jest to niby fata-morgana puszcz afrykańskich, powtarzająca rzeczywistość, ale tylko w złudnéj, rozpływającéj się za bliższém przystąpieniem, a blaskami słońca cudownie ukolorowanéj mgle; że jest to urocza, zachwycająca kraina, do któréj chętnie na pewien czas się podróżuje, ale którą żeby pokochać, trzebaby się w niéj jak poeta zrodzić i wychować, bo tak mało przypomina nam naszę ziemską ojczyznę, może mniéj piękną, nie mającą ani tego blasku świateł, ani przepychu kolorów, ale droższą nam i milszą sercu, bośmy się do niéj od dzieciństwa przywiązali i w niéj czujemy się jak w domu (str. 5, 6). Prawdą jest również to, co mówi późniéj o naturze fantazyi Słowackiego tak bogatéj, tak bujnéj, tak twórczéj a jednak tak łatwo ulegającéj wpływowi jakiegoś potężnego geniuszu czy to Byrona, czy Szekspira, czy Kalderona.

Przed laty trzynastu zastanawiał się nad tą kwestyą p. Tarnowski i orzekł, że wyobraźnia Juliusza miała naturę *bluszczu*. Z nadzwyczajną łatwością, bez trudu widocznego tworzyła ona tysiące kształtów i postaci; ale kiedy chodziło o to: by kształty te wiotkie i lotne zatrzymać i nadać im formę stałą, tam już siła saméj fantazyi nie wystarczała, trzeba było pomocy refleksyi, rozwagi, logiki, tych władz prozaicznych wprawdzie, lecz niezbędnych poecie: pomiędzy zaś temi a fantazyą u Słowackiego równowagi nie było nigdy. Cóż się więc działo? Oto znajdował się jakiś inny poeta, który pomysłowi Słowackiego napół skrystalizowanemu i gotowemu dostarczał czy to wyraźniejszéj fizyognomii, czy sytuacyi, czy wewnętrznego wreszcie szkieletu, na którym dopiéro fantazya jego, szczęśliwa, że nie potrzebuje się troszczyć temi powszedniemi, materyalnemi środkami tworzenia, rozwieszała wedle upodobania swoje tęcze i girlandy. Niezmiernie żywa, czynna i świetna, nie miała konieczněj zbitości i rdzenności, i dla tego musiała się wspierać na czémś, czepiała się jak bluszcz to Byrona, to Szekspira, to Kalderona i pożyczała od nich tego, co jest realnym w poezyi piérwiastkiem: sytuacyj, szczegółów a nieraz nawet ludzkich form i kształtów, dla swoich ideałów. Nie znaczy to bynajmniéj, żeby fantazya Słowackiego nie była samodzielną; tylko że fantazya ta „z prawa jakiegoś jego natury“ niekiedy nie szukała może pomocy obcéj, ale ją przyjmowała; nadzwyczajna zaś siła, z jaką na poetę naszego działały wrażenia zewnętrzne, zwłaszcza wrażenia tych rzeczy, które mu się podobały, które go za-

chwycały, sprawiała, że wrażenia te, silnie w duszę przejęte, równie silnie odbijały się i w tém, co z duszy wychodziło. Odbicie Szekspira lub Kalderona w dziełach Słowackiego było w porządku intelektualnym fenomenem tak naturalnym, jak w porządku fizycznym jest odblask tęczy na chmurach lub wierne odbicie brzegów na wodzie.

Tak myśl swą rozwijał p. Tarnowski. W całém przedstawieniu rzeczy kryła się ta słaba strona, że było w niém *określenie* tylko rodzaju fantazyi Słowackiego nie zaś jego wyjaśnienie; p. T. mówił jedynie, jaka to była wyobraźnia, ale gdy przyszło wytłómaczyć, *dla czego* była taka, powoływał się na „jakieś“ prawo jego natury. P. Bełcikowski, który w gruncie tak samo przedstawia nam fantazyą poety, zbliża się o krok do odkrycia tajemnicy, zawartéj w pytaniu: *dla czego*? „Życie fantastyczne w kole marzeń, *brak wielostronnéj obserwacyi* i refleksyi nad tém, co go otaczało, to była bez wątpienia najgłówniejsza przyczyna, że Słowacki tak łatwo przejmował się duchem innych poetów, że, nie umiejąc swych pomysłów ucieleśnić i urzeczywistnić, chwytał tak skoro gotowe formy, które inni wynaleźli i w nich skrystalizowali swoje natchnienie“ (str. 29). W tych słowach wypowiedział p. Bełcikowski spostrzeżenie bardzo trafne, które może zamienić owo „jakieś“ prawo natury Słowackiego, na prawo oznaczone i ściśle sformułowane, mające zastosowanie we wszystkich wypadkach podobnych do rozbiéranego tutaj. Słowacki unikał rzeczywistości, stronił od ludzi, lubił samotność, tęsknił do krewnych i znajomych, gdy byli daleko, a uciekał od nich, gdy z niemi kilka dni czy tygodni przeżył; zmysł jego obserwacyjny w stosunku do przedmiotów zewnętrznych nie był bystry; jeżeli więc nie zamknięta, to w każdym razie przesłonięta była dla niego nadzwyczaj bogata skarbnica, z któréj czerpali wszyscy, potężni, genialni poeci, skarbnica natury i społeczeństwa. A jednak Słowacki miał umysł wrażliwy i twórczy, czuł w sobie popęd niezwalczony do wyprowadzania na jaw poetyczny całego świata postaci samoistnych, domagających się życia. Dla takiego umysłu wrażliwego, ale wrażliwego bardziéj na to, co wewnątrz nas się dzieje, co w sercu lub głowie powstaje, rośnie, potęguje się, jeżeli przytém, lubi się zatapiać w arcydziełach poezyi, koniecznością jest przejąć się postaciami, uczuciami i myślami, które geniusz do bytu powołał. To co inni poeci zdobywali obserwacyą natury i życia, to Słowacki miał z głębokiego odczucia twórczości obcéj, którą na swój własny sposób, zgodnie z rodzajem fantazyi swojéj, przerabiał i zużytkowywał. Wrażliwość jego szukała karmi; nie umiejąc czy nie mogąc znaléźć jéj w świecie zewnętrznym, znajdowała bez trudu w świecie stworzonym przez poetów. „Jakieś“ odrębne prawo jego natury nie ma tu zastosowania; jest to prawo każdego

wrażliwego umysłu, który z jakichkolwiek powodów obserwować świata zewnętrznego nie umié; tylko że umysły wrażliwe a nie twórcze ulegają wpływowi książek lub obcych myśli wprost, stają się ich niewolnikami; a umysły wrażliwe i twórcze wpływ ten zużytkowują samodzielnie. Dla tego to w dramatach Słowackiego pisanych w epoce rozczytywania się w Szekspirze, uderza nas znaczne podobieństwo postaci Słowackiego do osobistości Szekspirowskich; p. Bełcikowski słusznie zestawia Szczęsnego w Horsztyńskim z Hamletem, Giani i Anzelma (Beatryks Cenci) z Romeo i Lorenzo, Kraka (we fragmencie pod tym napisem) z Henrykiem i Harmidra z Falstaffem. Ale nawet w naśladowaniach tych, jak równie słusznie powiada p. B., Słowacki jest sobą, każdy rys kreśli pewną ręką, z siłą i przekonaniem, że tak być powinno; w tym obcym świecie, do którego wszedł na chwilę, gospodaruje jak pan domu, któremu znany każdy kącik i który ma tu nieograniczoną władzę. „Słabsze talenta kiedy naśladują, to praca ich wygląda jak te kwiaty sztuczne, robione z papiéru i gazy, na wzór róż i lilij oddychających powietrzem pól i łąk; Słowacki inaczéj postępuje: on robi jak ogrodnik, który egzotyczne rośliny do swego kraju pod inną sferę przesiedla. To co w nowéj ojczyźnie wyrośnie, będzie to taż sama co dawniéj roślina a jednak będzie w niéj i pewna różnica; do pewnego stopnia odmieni ona swą naturę, bo będzie wypielęgnowaną w innych warunkach pod innym klimatem i w innéj ziemi; i od pracy i zdolności ogrodnika zależéć będzie, czy lepiéj czy gorzéj się uda: pozostanie jéj tylko jeden przymiot wspólny z piérwotną rośliną, przymiot nieoszacowany, życie“ (str. 33, 34).

Jak w określeniu natury talentu Słowackiego utorowały drogę p. Bełcikowskiemu poprzednie rozbiory, tak znów w rozbiorze kompozycyi nie znajdujemy wyczerpującéj analizy, zapewne z tego powodu, że już Małecki bardzo szczegółowo nad nią się zastanawiał; a w wykazywaniu pożyczek od Szekspira odwołuje się autor wprost do prac poprzedników. Światu fantastycznemu w Balladynie nie zdaje się autor przyznawać takiéj wartości jak Tarnowski, który odmawiając stanowczo nazwy arcydzieła saméj tragedyi, przyznaje ją w całości téj właśnie jéj cząstce. Upatruje on w tym świecie rażące nieprawdopodobieństwo zakochania się Goplany w gburowatym, ograniczonym i ciągle prawie podchmielonym Grabcu. A chcąc jako tako usprawiedliwić tę okoliczność, w tym jednym punkcie przypuszcza allegoryą. Wiadomo, że niektórzy widzą w Goplanie już to uroczą siłę przyrody, biorącéj udział w bycie społeczeństwa, już to geniusz opiekuńczy narodu. P. Bełcikowski zgadza się na to twierdzenie i sądzi, że Goplanę łączy z krajem ta miłość i przywiązanie,

jakie się ma dla jednéj tylko ziemi na świecie i dla tego to, gdy straszne wypadki, których ona „choć niewinnie“ piérwszą była sprężyną, zmuszają ją tę ziemię opuścić, tak ciężko jéj to przychodzi, tak tkliwie i serdecznie się z nią żegna. Takie nadając znaczenie Goplanie, trzebaby oczywiście uważać Grabca za wyobraziciela ludu, czy, jak Jabłonowski powiada, za pierwowzór szaraczkowéj szlachty. Wówczas pytanie, dla czego Goplana kocha Grabca byłoby zbytecznem. P. Bełcikowski sądzi, że taki pogląd na Goplanę „pogłębia“ jéj charakter. Mnie się zdaje, że to „pogłębienie“ nie tylkoby nie pomogło dramatowi, ale wprowadziłoby do niego nowy pierwiastek dysharmonii, jakieś bolesne szyderstwo. Jeżeli kapryśna, choć dobra, lekkomyślna, figlarna Goplana ma być duchem opiekuńczym narodu, a Grabiec gburowaty, głupi, wiecznie pijany, wyobrazicielem największéj jego warstwy; to doprawdy pomysł taki mógł się urodzić tylko w chwili nerwowego rozdraźnienia i takież samo rozdraźnienie w czytelnikachby wywoływał. Wstrętném mi jest w ogóle dopatrywanie się allegoryi tam, gdzie nie widzę wyraźnego zamiaru poety; allegorya bowiem każda zamiast postaci żywych, plastycznych stawia suche abstrakcye, które bynajmniéj wartości poezyi jako poezyi nie podnoszą; mogą mieć wartość historyczną lub filozoficzną lub polityczną, ale piękna utworowi nie dodają wcale; poezya stwarza ideały, a nie idee. I tu więc w świecie fantastycznym wolę widziéć przecudną, śliczną grę fantazyi, która nam dała urocze, świetlane postaci, aniżeli jakieś duchy opiekuńcze i przedstawicieli, z których tylko śmiać się można.

Ogólnéj kompozycyi robi p. B. jeden, ale nader ważny zarzut, że jest w nim za wiele rzeczy naraz nagromadzonych, a nie ma tego, co się ekonomią dramatyczną nazywa. Balladyna, zdaniem autora, rodziła się w duszy poety nie dość organicznie, nie dość samodzielnie, a oryginalne pomysły przerywane były co chwila obcemi reminiscencyami, naleciałościami zkądinąd: było wiele bardzo pięknych rzeczy w Szekspirze, które zachwycały Słowackiego, zbyt silnie zajęły jego fantazyą i gwałtem przelewały się w nowéj formie pod jego piórem; łatwość powstawania tych obrazów kopiowanych z mistrza zrodziła ich mnóstwo, a mnóstwo stało się przeładowaniem. Ze scen szczegółowych wytyka tę „niesmaczną sytuacyą,“ kiedy Balladyna z całą grozą tragiczną zabija Grabca, który popijanemu, przez cudaczne swe zachcenie i przez nadmierną powolność Goplany został na chwilę fantastycznym królem dzwonkowym. „Jakim sposobem,“ pyta słusznie autor, „inni mogli w nim widziéć jakiegokolwiek króla? Sam jego ubiór był tak dziwaczny i niedorzeczny, że ani Balladyna, ani żaden z jéj gości dostojnych panów nie mogli przecież brać

go na seryo, a prócz tego Grabiec pokazywał jak najwyraźniéj za każdém słowem, w każdym ruchu, kim jest na prawdę. Wszyscy ci ludzie, jeżeli widzieli w jego królewskości coś więcéj niż maskaradę, musieli chyba być zaczarowani; ale o tém nic a nic nie wiemy" (str. 54).

Najważniejszą atoli i najoryginalniejszą częścią pracy p. Bełcikowskiego jest szczegółowe skreślenie charakterów stanowiących dramat. I tu wprawdzie nie chodziło autorowi o wyczerpanie przedmiotu: świata fantastycznego dotyka zlekka, postaci Aliny, króla-pustelnika, Kostryna zbywa mimochodem, Filona opuszcza; ale natomiast bardzo głęboko wchodzi w rozbiór trzech osób: Balladyny, Kirkora i wdowy.

To, co mówi o Balladynie, nie jest nowém, ale jest trafném. Za przewodem Małeckiego zestawia ją z lady Macbeth i Gonerylą (z Króla Leara) i wykazuje przekonywająco, że połączenie i zjednoczenie w jednéj figurze różnorodnych okropności nie udało się poecie i nie uczyniło jéj tragiczną, jak zapewne zamierzał, ale—potworną. W Balladynie nie ma kobiéty, ale demon: szaleje ona i druzgocze wszystko, co spotka na drodze, jak huragan nie wiedzący co robi. Gdyby ta demoniczna strona w jéj charakterze była należycie usprawiedliwioną i wytłómaczoną; gdyby jasno postawiony był cel, do którego ostatecznie zmierzała i ta jakaś idea prawdopodobnie głęboka i potężna, choćby w gruncie fałszywa, która nią kierowała; wówczas postać ta zyskałaby wiele pod względem poetycznym, chociaż dla dramatu, lubiącego przestawać w granicach czystéj natury ludzkiéj, byłaby nazbyt gigantyczną, nazbyt kolosalnych rozmiarów. Ale my domyślać się tylko możemy, że w Balladynie po nad myślą, aby zostać żoną grafa, a nawet po nad żądzą panowania były jeszcze jakieś wyższe, niezrozumiałe dla tłumu i wyjątkowe chęci i cele, dla których można się było poświęcić na to, żeby na pewien czas z konieczności położenia zostać zbrodniarzem (str. 46). Ale domysły dla tragedyi nie wystarczają; tu potrzeba czynów i jasno wypowiedzianych myśli; tymczasem Balladyna przy pierwszém wystąpieniu na scenę niewiele nam zapowiada: widzimy w niéj dorodną, krewką z pospolitemi zachceniami i ze złém sercem dziewczynę; dopiéro w ciągu dalszéj akcyi charakter ten się rozrasta i nabiéra znaczenia, do którego nie widać było po nim zdolności, jakby tylko pod naciskiem zdarzeń, przypadkowo, a nie z tego zarodu moralnego, który każdy w sobie nosi i z którego się jego istota, jak roślina z nasienia, rozwija i wykształca. Całéj téj charakterystyce niepodobna zarzucić ważniejszego uchybienia; zauważyłbym tylko, że zdanie, jakoby poeta nie zostawił Balladynie nic właściwego jéj płci, nie jest zupeł-

nie ścisłém. Przypominam tę scenę, w któréj Balladyna idąc zabić Grabca, by dostać koronę, powiada:

> Nie mogłam spać; nóż leżał przy mnie, wzięłam.
> W *koszuli* — wstyd! — gdyby cię kto zobaczył
> W koszuli, z nożem w ręku?...

Prawda, rys ten potwornéj jakiéjś wstydliwości w rozpustnicy, w kochance Grabca, niewłaściwie przez poetę został wybrany; należało go jednak w charakterystyce jéj pomieścić, dla dokładności: nie ratuje on wprawdzie ludzkiéj natury Balladyny, ale owszem osłabia wrażenie, jakiém ponura jéj postać napełnia umysł czytelnika.

Odtworzenie postaci Kirkora i Wdowy uważam za najistotniejszy przyczynek do znajomości naszych wielkich poetów i za prawdziwie dodatni rezultat studyum p. Bełcikowskiego. Nietylko narysował je autor z całą możliwą starannością, ale i wycieniował w szczegółach i drobiazgach nawet. Co do Kirkora wprawdzie często za dużo pozwalał fantazyi swojéj nie trzymając się ściśle słów poety, ale domysły jego mogą być poczytane za trafne, pojęcie saméj postaci za udatne. Kirkor, wielki pan z rodu, zdaje się nie czuć swéj wielkości i nic o niéj nie wiedziéć: nie ma w nim żadnéj ambicyi; żyjąc w czasach smutnych, pragnie osiąść w swojém wiejskiém ustroniu i w jego zaciszy spokojny żywot prowadzić. Poślubia Balladynę, kocha ją i kochać będzie aż do śmierci, jak gdyby była mu równą stanem i urodzeniem, jakby mu wniosła skarby do domu, jakby przez nią wszedł w korzystne i świetne stosunki. A razem z żoną przygarnia i jéj matkę do serca; nie uważa na to, że to prostaczka, co ani mówić, ani zachować się popańsku nie potrafi; szanuje w niéj siwe jéj włosy, jéj serce, jéj godność macierzyńską. Ale ten cichy człowiek ma zarazem wielką duszę, a gdy potrzeba, wydobędzie z niéj hart i energią niezłomną; ma przytém głębokie poczucie swego obowiązku; wié, że jest rycerzem, że oręż ma na to przy boku, aby karać winnych; wié, że rycerz nie powinien gnuśnie przypatrywać się złemu, lecz stawać zawsze w obronie dobréj sprawy. To téż gdy dowiaduje się od pustelnika, że tenże jest prawym władcą, nie rozbiéra trudności, nie waha się, ale z całą energią, zapominając o sobie, postanawia położyć koniec bezprawiu i dopóty nie spocznie, póki postanowienia swego nie spełni, póki „całéj pańszczyzny“ nie odrobi. Wtedy dopiéro czuć się będzie godnym nagrody. A jakiéj? Nie zechce on skarbów i zaszczytów, zostawi je innym; sam osiądzie w swoim zamku, szczęśliwy, że dopełnił obowiązku, że zrobił dobrze. Ginie nie dokonawszy tego, co sobie zamierzył i w tém tragiczność jego losu. Szkoda tylko, że p. Bełcikowski zanadto idealnie wystawił

Kirkora, że nie zebrał z poematu Słowackiego tych rysów, które postać tę podobniejszą do ziemskich, rzeczywistych czynią, szkoda, że nie uwydatnił téj cechy charakteryzującéj umysłowość jego, że mając wybrać żonę radzi się pustelnika a potém zdaje rzecz tę na los szczęścia; że jest porywczy, że lud chamami zowie i t. p. Takie drobiazgi wpływają na pojęcie charakteru, który w przedstawieniu p. Bełcikowskiego jako zbyt wielka doskonałość się przedstawia, a przez to trochę nie pasuje do dramatu.

Rysunkowi postaci Wdowy nic zarzucić nie podobna. Autor z wielką przenikliwością wmyślił się w tę osobistość, odczuł ją nadzwyczaj trafnie i oddał wybornie. Wdowa jest, jak powiada p. B., niby figurą wyciętą z jakiegoś flamandzkiego obrazu i wstawiona między inne postaci z charakterem tragicznym lub fantastyczną eteryczności. Pomimo sympatyi, jaką dla jéj zacnego gruntu uczuwamy, widać w niéj pewne rzeczy, które wywołują na usta uśmiech pobłażania: jest w niéj i chęć wywyższenia się i próżność i naiwne adoracye dla wszystkiego, co się świeci i co jéj imponuje; i znowu z drugiéj strony, chęć pokazania, że to na niéj nie robi wrażenia, że to dla niéj chléb powszedni. Od piérwszéj chwili ukazania się Kirkora w chacie z zabiegliwém wyrachowaniem matki stara się zwrócić jego uwagę na córki; a jaka przy tém przyjęciu robi się z niéj światowa kobiéta, jak się sadzi na to, aby zabawić gościa rozmową, aby mu pokazać, że nie jest ot tak sobie swojego chowu, ale choć w chacie wiejskiéj coś przecie lepszego, jeśli nie zpańska, to zwaszecia przynajmniéj. Wielka miłość macierzyńska nadaje charakterowi jéj grozę tragiczną. Kocha ona obie córki, ale serce jéj więcéj się skłania ku téj, która ją dużo kłopotów i zmartwień kosztowała, ale która większemi darami natury została obdarzona. Długo uwierzyć nie może w jéj niewdzięczność, a uwierzywszy wybucha wprawdzie przekleństwem, ale my czujemy, że przekleństwo to usta tylko wymówiły, nie potwierdziło go jednak serce, bo to serce gotowe raczéj tysiąc męczarni i śmierć ponieść, aniżeliby miało oskarżyć córkę, aniżeliby zapragnęło pomsty. A jak umiejętnie poeta przeprowadził tę postać, jak trafnie czuł, że jéj idealizować nie można, pasując na jakąś heroinę romansową, ale raczéj wypada wystawić w całéj prostocie, z całą jéj naturą, która nawet w najstraszniejszéj chwili o bólu fizycznym, o deszczu i piorunach, mających być towarzyszami w jéj wygnaniu z domu córki. Ale napróżnobym się starał streszczać ten piękny obraz miłości macierzyńskiéj, jak go poeta pomyślał i wykonał; czytelników odsyłam do samego utworu i do tego wybornego studyum, jakie p. Bełcikowski napisał (str. 54—65).

Na zakończenie p. Bełcikowski rozbiera kwestyą, czy Balladyna jest dramatem narodowym. Na pytanie to po kilku ogólnikowych myślach o Szekspirze i Kalderonie, odpowiada autor, żeby było niesprawiedliwością żądać od jednego człowieka tego, co jest pracą milionów; że w Balladynie mamy bardzo piękny dramat, który na scenie największe ze wszystkich dramatów Słowackiego odnosi tryumfy; że Słowacki w wykończeniu formy, w historyozoficznéj głębokości ustępuje Schillerowi, choć przewyższa go żywością akcyi i gorącością uczucia, od Wiktora Hugo zaś jest bez wszelkiéj wątpliwości wyższy o całe niebo. Myśli te zapisujemy tylko bez rozbioru, gdyż sam autor nie umotywował ich, tylko rzucił jakby bukiet na zakończenie widowiska. Zresztą sądzę, że nie weźmie autor za złe krytykowi, iż wolał się zastanowić nad tém, co istotną rdzeń jego myśli stanowi, aniżeli nad zdaniami, do wypowiedzenia których wypadałoby wprzód dobrze przygotować czytelnika.

P. Chmielowski.

Zygmunta Krasińskiego Nieboska Komedya i Niedokończony poemat, studyum.—Napisał Wincenty Stroka, profesor gimnazyalny.—W Kołomyi r. 1878.—Nakładem autora.—Z drukarni M. Biłousa w Kołomyi, str. 116.

Książka polska drukowana w Kołomyi to taka rzadkość i taka niespodzianka, że warto o niéj pomówić choćby w dwa lata po jéj wyjściu na świat, tém bardziéj, że nasza księgarska komunikacya nietylko z Kołomyją, ale nawet z samym grodem Lwa nad Pełtwią swoim żółwim charakterem może usprawiedliwić większe nawet opóźnienie. Nie taimy téż wcale, że sam widok téj książki ucieszył nas wielce najprzód dla tego, że zapowiadał rozbiór jednego z najlepszych utworów poezyi naszéj, a powtóre że ten rozbiór dokonany został przez profesora gimnazyalnego, świadczył zatém, iż nauczyciele w Galicyi, nawet w takim zakątku jak Kołomyja, pojmują zadanie swoje szerzéj i głębiéj niż niejeden profesor uniwersytetu w stolicach, poprzestający na odczytywaniu wiecznie tegoż samego skryptu. Wczytanie się w samę treść téj książki nie umniejszyło naszéj radości: nie znaleźliśmy tam wprawdzie ani oryginalności poglądu, ani subtelności analizy krytycznéj; ale natomiast z przyjemnością odczytaliśmy sumienne i wierne streszczenie utworu wraz z mniéj lub więcéj trafnemi objaśnieniami, które są w znacznéj części powtórzeniem tylko tego, co inni wypowiedzieli.

Wiadomo, że *Nieboska komedya* szczęśliwego doznała losu pod względem krytycznym. W kilka lat po jéj ukazaniu się największy nasz

poeta w wykładach literatury słowiańskiéj mianych w *Collége de France* w Paryżu wziął utwór ten pod dokładną rozwagę i szeroko nad nim się zastanawiał. Zostawał on natenczas pod silnym wpływem doktryny Towiańskiego i czuł w sobie potężny popęd do reformowania społeczeństwa; był więc tak dobrze usposobiony jak mało kto do ocenienia poematu, który zapowiadał ruinę ostateczną wszystkich dotychczasowych porządków społecznych na świecie, a ogólnikowém powoływaniem do praktycznego zastosowania zasady miłości najdoskonaléj się nadawał do tłómaczenia go w takim sensie, jakiego poeta—reformator pragnął i żądał. Był on, zdaniém swojém, w lepszém położeniu od autora *Nieboskiéj komedyi*, gdyż mógł na zaradzenie nieszczęściom i chorobom społecznym podać jedyne skuteczne lekarstwo i to nie w ogólnikowéj tylko recepcie, ale w całym systemie terapeutycznym.

Odtąd późniejsze studya nad *Nieboską Komedyą* wykładane były pojęciami i słowami Mickiewicza z zarzuceniem tylko owego leczniczego środka, który starano się zastąpić innemi. Nikt nie usiłował nawet poddawać wątpliwości trafność saméj dyagnozy społecznéj dokonanéj przez Krasińskiego a stwierdzonéj przez Mickiewicza, chociaż w téj dziedzinie przynajmniéj można by było coś nowego a może i ważnego wypowiedziéć.

I p. Stroka nie wyszedł po za uświęcone powagą mistrza i czterdziestoletniém blisko trwaniem koło pojęć i poglądów. Wypowiedziawszy na samym wstępie zdanie nieprawdziwe a w każdym razie wielce jednostronne, że „stan literatury, przedewszystkiém poetycznéj, jest probierczym kamieniem *zdrowia* i *żywotności* narodu“, które umotywował tém równie niedowiedzionėm zdaniem, że „poezya płynąc z najgłębszych tajników duszy, najwierniéj odzwierciedla nam stan duszy autora a pośrednio stan ducha narodowego“ (str. 3); kreśli krótkiemi słowy przebieg życia Krasińskiego i daje ogólną charakterystykę jego ducha, co ma stanowić przygotowanie do streszczenia *Nieboskiéj Komedyi*. W streszczeniu tém, obszernėm (13—34) i wiernėm, zdąża komentator za przewodnią myślą poety, pochwalając ją w zupełności i dopełniając po swojemu tém, że do owéj walki, która stanowi treść *Nieboskiéj komedyi*, jako czynnik destrukcyjny wprowadza nielubione przez siebie teorye, mieszcząc w jednym szeregu: zasadę siły przed prawem, komunizm, darwinizm, pozytywizm i bezwyznaniowość, i podzielając najzupełniéj zdanie, że posady gmachu społeczeństwa europejskiego „trzeszczą.“ Streszczenia nie potrzebujemy za autorem powtarzać; postaramy się natomiast zaznaczyć to, co jest własném autora spostrzeżeniem. Zastanawia się p. Stroka nad tém, dla czego Krasiński za środek odciągnięcia hr. Hen-

ryka od żony użył postaci fantastycznéj, zamiast przedstawić stosunki realne; i odpowiada na postawione przez siebie pytanie, że znaczenie owéj dziewicy jest więcéj symboliczne, że jest ona niejako uosobieniem owych marzeń, tak czarownych napozór, kiedy sprowadzić nas usiłują z drogi obowiązku, a tak potwornie i trupio nagich, kiedyśmy rzuciwszy ciche, rzeczywiste szczęście, ulegli pokusie; a daléj, że przez takie przedstawienie napiętnować chciał poeta stosunek tego rodzaju jako bezbożny, szatański a nadto dał poznać głęboką swą wiarę w ścisły związek niewidomego świata duchów ze światem widomym i wpływ jego na losy i działanie ludzi, wpływ niewidzialny, ukrywający się po za zmysłowe, zwyczajne nieraz zjawiska, ale pomimo to nie mniéj rzeczywisty. Nie zaprzeczając wcale słuszności tym uwagom, należałoby je podciągnąć pod ogólniejsze spostrzeżenie: całość poematu nie jest realistyczna; zarysowanie zatém rzeczywistego stosunku pomiędzy Henrykiem a jaką miłośnicą byłoby rażącym motywem; całość ta posługuje się romantycznemi środkami i jest wynikiem powszechnego wtedy nastroju wyższych, podnioślejszych umysłów; a do przeprowadzenia takich ideałów realna plastyka nie nadawała się wcale i poeta musiał się posługiwać symboliką.

W kwestyi umiejscowienia sceneryi dramatu nie podziela autor w zupełności ani zdania Mickiewicza, który ją w Polsce osadzał, ani zdania Małeckiego, który ją do całéj Europy rozszerzał; a myśl swoję przedstawia w tych słowach, którym trafności trudno zaprzeczyć: „Owa straszliwa rewolucya przebiegła już przez zachód Europy i zwyciężyła tam wszędzie; a teraz ostatni jéj dramat rozgrywa się na ziemi polskiéj, gdzie schroniło się wielu niedobitków arystokracyi obcéj i dokąd pociągnęli za niemi zwycięzcy demokraci tak cudzoziemscy jak i polscy; że autor tak rzecz pojmował, dowodzi przedewszystkiém nazwa ostatniéj niepokonanéj warowni, w któréj się bronią arystokraci; znane są bowiem w historyi Okopy św. Trójcy na Podolu niedaleko Kamieńca“ (str. 45).

Potwierdzenie tego przypuszczenia znajduje autor w *Niedokończonym poemacie*, którego ścisły związek z *Nieboską komedyą* za innemi bardzo słusznie uznaje. W poemacie tym bowiem zarówno młodzieniec jak jego służące wyraźnie jako Polacy są przedstawieni. Treść tego utworu, podana równie szczegółowo (str. 47—109) jak i *Nieboskiéj komedyi* wypełnia resztę pracy p. Stroki, który kończy kilku uwagami o układzie *Niedokończonego poematu* i o doniosłości społecznéj obu rozbiéranych przez siebie poematów. Jak poprzednio tak i tu wszystkie myśli i poglądy Krasińskiego na przeszłość i teraźniejszość uznaje komentator za najzupełniéj uzasadnione; roli więc

krytyka nie przybiéra wcale, stara się tylko o jasne i dobitne przedstawienie głównych pomysłów poety. Takie stanowisko autora zmusza i nas do zamknięcia się w tym szczupłym, ale ważnym bądź co bądź obrębie.

Niewątpliwą zdaje się być rzeczą to, co p. Stroka mówi, że w obrazie żony księcia Rahogi wystawił poeta pomnik swemu osobistemu stosunkowi z lat przedślubnych z kobiétą „równie zamężną, równie sponiewieraną przez męża.“ Słuszném jest także spostrzeżenie autora, że pod względem dokładności i zupełności tego stosunku poemat Krasińskiego jest istotnie „niedokończonym.“ W obu bowiem poematach Krasiński oprócz zagadnień historyozoficznych ogólnego znaczenia zamierzał jeszcze przedstawić zagadnienie tyczące się życia jednostki. Osobistość młodzieńca w *Niedokończonym poemacie* a męża w *Nieboskiéj komedyi* miała być piastunem téj idei: w jéj życiu, w jéj losach chciał nam poeta pokazać, jak człowiek żyć, co czynić, jak duchem swym i sercem kierować powinien, ażeby cel ostateczny osiągnął. Krasiński uczynił to nie wprost, ale w sposób ujemny; nie przedstawia bowiem w Henryku ideału człowieka, który rzeczywiście do celu tego dochodzi; ale daje nam w nim obraz zmarnowanego żywota; Henryk posiadając najlepsze po temu środki: wysokie stanowisko społeczne i obfitość dóbr materyalnych, talent niepośledni i najzupełniejsze poznanie tego, co dobre a co złe; mija się przecież z celem swoim i ginie z rozpaczą w duszy, pochodzącą nietylko ze świadomości, że celów swych ziemskich nie osiągnął, ale oraz i ze świadomości zatracenia wiecznego. Otóż obraz ten, przerażający swą grozą, nie jest zupełny; w rozwoju bowiem charakteru Henryka daje się czuć pewien brak a raczéj luka niewypełniona. Odskok w charakterze hr. Henryka z *Nieboskiéj komedyi*, a niewinnego młodzieńca w *Niedokończonym poemacie* jest zbyt znaczny; widzieliśmy już wprawdzie w młodzieńcu tym rozstrój pewien i zaniepokojenie od chwili poznania przezeń owéj żony księcia Rahogi; ale rozstrój ten był dopiéro w zaczątku i mógł przybrać jakiś odmienny obrót zwłaszcza po owém widzeniu czarownem w Podziemiach Weneckich. Ciekawém przeto pod względem psychologicznym byłoby rozwinięcie dalsze stosunku jego z żoną Rahogi i doprowadzenie charakteru młodzieńca do tego stadyum, w którém zastajemy go w *Nieboskiéj komedyi*. Jeżeli jednak pod względem rozwoju indywidualnego czujemy brak pewien ważny, to natomiast pod względem rozwoju idei oba poematy zlewają się z sobą harmonijnie. Ostateczną ich myśl p. Stroka streszcza w ten sposób: „Życie wyłącznie cielesne, równające nas ze zwierzęty, tylko płytkie umysły zadowolnić zdoła i to nie na długo, bo pogwałcone prawa ducha prędzéj lub późniéj

odezwać się muszą w sumieniu. Natomiast życie czysto duchowe, któremu potrzeby cielesne podporządkowane być winny, daje człowiekowi prawdziwe zadowolnienie i wolność prawdziwą. Kto potrafi obyć się bez wszystkiego jako trup, a przytém panuje nad swemi namiętnościami jako żywy duch i jako żywy wiecznie ma się do czynu, a nieograniczoną wiarę w Boga żywych, nadzieję i miłość uczynił zasadą swego postępowania: ten żyje prawdziwie po ludzku, ten stoi na drodze, wiodącéj do prawdziwego szczęścia, do ostatecznego celu naszego życia" (str. 114, 115). P. Stroka uznaje ten wynik za zupełnie zadawalniający; nam on się wydaje jednostronnym, bo cechą ascetyzmu nie zaś harmonijnego rozwoju wszystkich zdolności i wszystkich usposobień człowieka naznaczonym.

Ani ogólnemi poglądami, wśród których niezbyt swobodnie autor się porusza, ani stylem niezaradnym i rozwlekłym nie może pociągać studyum a raczéj komentarz p. Stroki; zasługą natomiast jego niezaprzeczoną jest, że przez jasne i dobrze ułożone sprawozdanie uprzystępnił dla ogółu zoryentowanie się w poematach naszego eterycznego wieszcza; zasługa ta mianowicie wybitnieje w streszczeniu *Niedokończonego Poematu* który dotychczas nader pobieżnie przez wszystkich był traktowany. Kto pojmuje potrzebę uprzystępniania pomysłów naszéj wielkiéj poezyi, ten zasługę tę należycie oceni.

P. Chmielowski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Emigracya włościan, nieusprawiedliwiona emigracya z Płockiego, miejscowe przyczyny, namowy obcych agentów, środki przeciwko wychodztwu, powody dla których należy zapobiegać emigracyi na wschód. – Lichwa jako przyczyna wychodztwa.—Środki przeciwko niéj na zachodzie, brak instytucyj kredytowych dla mniéjszéj posiadłości ziemskiéj, gdzie są fundusze na założenie takich instytucyj, na czém polega bezpieczeństwo kredytu włościanom, spółki zaliczkowo-wkładowe, czyim obowiązkiem jest początkowanie w założeniu takich spółek w królestwie.—Ceny mięsa wołowego w Warszawie, przyczyny drożyzny, co wywołał w tym kierunku fiskalizm, potrzeba rozwoju handlu miejscowém opasowém bydłem.—Wystawa koni w Warszawie, o ile jako wystawa przyczynia się do rozwoju hodowli koni w kraju. —Remanent do następnéj kroniki.

Emigracya włościan, chęci do emigracyi pośród włościan, nieszczęścia emigrantów z Poznańskiego i Galicyi; oto przedmiot dający się prawie codzień spotykać w rozmaitych organach prasy naszéj. W jednych dziennikach spotykamy się z tém, że włościanie zamierzają emigrować do Ameryki, w drugich, że wybiérają się do gub. zachodnio-południowych—a najbardziéj zdumiewającą wiadomość w tym kierunku zakomunikował nam p. Ujazdowski w liście pisanym do „Korespondenta Płockiego", w którym wspomina, że chęć do emigracyi zjawiła się pośród włościan wsi Bodzanowa i Bieżynia, położonych niedaleko od miasteczka Drobina, w Płockiém.

Smutne te szczegóły skłoniły nas do bliższego przyjrzenia się powodom tego, do pewnego stopnia anormalnego u nas zjawiska. Jeżeli bowiem stałe emigracye rozmaitych klas z Prus, Holandii, Belgii i Anglii dają się usprawiedliwić: przeludnieniem, brakiem pracy, nieodpowiednim podziałem ziemi, nadmiernem wyzyskiwaniem zresztą; to u nas wszystkie te przyczyny nie dotykają jeszcze włościan w takim stopniu, żebyśmy w nich właśnie znaléźć mieli odpowiedź na nasze wątpliwości.

Pisma wskazują, że powstawanie pośród włościan chęci do emigracyi nie należy uważać za płód wyobraźni samych włościan, lecz że przypisywać je wypada agitacyi ukrywających się spekulantów, oszustów, którzy rozszerzyli na nasz grunt zabiegi swoje z Galicyi i księstwa Poznańskiego, ku pozyskaniu łatwowiernych skierowane.

Takie ogólnikowe twierdzenie nie wyjaśnia kwestyi bynajmniej. Jakkolwiek agenci mogli się zjawić i u nas, to wszakże trudno przypuścić, żeby same namowy, nie znajdując poparcia w miejscowych warunkach, mogły wywołać pożądany dla namawiających rezultat.

Miejscowych jednak przyczyn zwłaszcza dla gubernii Płockiéj napróżnośmy szukali w podręcznikach statystycznych.

Według ostatniéj statystyki dla Królestwa Polskiego za lata 1874, 1875 i 1876, wydanéj przez p. Poznańskiego w Petersburgu w roku bieżącym, szczegóły o gubernii Płockiéj nie przedstawiają zgoła materyału do usprawiedliwienia emigracyi.

Przejdźmy niektóre cyfry wspomnianéj statystyki.

Najprzód pod względem ludności. Otóż w gubernii Płockiéj przypadało w roku 1876—47 mieszkańców na kilometr kw.

Takie zaludnienie nie jest wcale nadmierném i nie dosięga nawet połowy zaludnienia wskazanych wyżéj Państw Europy. W Anglii nap. w roku 1876 przypadało 101 mieszkańców na kilom. kw. w Holandii 109 a w Belgii 181.

Zaludnienie gubernii Płockiéj przewyższa zaludnienie tylko trzech gubernij wchodzących w skład Królestwa Polskiego mianowicie: Suwalskiéj (44 mieszk. na kil. kw.), Łomżyńskiéj (44) i Siedleckiéj (40),—od wszystkich zaś pozostałych gubernij jest mniejsze.

Naturalnie, że w obecnéj chwili musi być ono cokolwiek wyższém niż w roku 1876 ze względu na naturalny przyrost ludności, w każdym jednak razie nie można go porównywać nawet z zaludnieniem wyliczonych przez nas państw zachodnich i z téj racyi przeludnienia nie możemy stawić w rzędzie przyczyn wywołujących emigracyą.

Wartość produkcyi rolnéj w gubernii Płockiéj, według obliczeń Russische Revue, przedstawia się w następujących cyfrach: 50 rubli na jednego mieszkańca a 2.187 rubli na kilometr kw., co daje najwyższą cyfrę produkcyi rolnéj nietylko w Królestwie, ale nawet i w całém Cesarstwie. Z najbardziéj zbliżonych, pod tym względem, do gubernii Płockiéj miejscowości, należą w Królestwie: Suwalska 37 rub. na jednego mieszkańca i 1.272 rub. na kilom. kw. i Kaliska 30 rub. i 1.799 rub. w Cesarstwie: Kurska 45 rub. i 1.905 rub. Tambowska 42 rub. i 1.384 rub. Tulska 35 rub. i 1.362 rub. wszystkie zaś pozostałe gubernie Cesarstwa i Królestwa albo nie dochodzą połowy produkcyi rolnéj gubernii Płockiéj, albo też o bardzo niewiele tę połowę przewyższają.

Urodzaje w gub. Płockiéj także są znacznie lepsze niż w innych guberniach Królestwa. Według statystyki Poznańskiego zboże przy-

nosiło w roku 1874—5,8 ziaren, w r. 1875—5,5 a w 1876—6,2 ziarna. Kartofle w roku 1874—5,5 ziaren w r. 1875—7,7, w 1876—7,3 ziarna, gdy w innych guberniach chwiały się co do zboża między 4 i 5,3 ziarna, a kartofli między 4 a 6,4 ziar.

Tylko pod względem ogólnego fabrycznego i rękodzielniczego przemysłu, Płocka gubernia stoi niżéj od innych gubernij i zajmuje 8 miejsce w ich rzędzie, przewyższając w niektórych gałęziach tylko Suwalską i Łomżyńską gubernie.

Mniejsze rozwinięcie przemysłu w guber. Płockiéj mogłoby służyć za podstawę do przypuszczenia, że ono właśnie wywołuje zachcianki emigracyjne, témbardziéj że własność ziemska najbardziéj jest rozdrobnioną w gub. Płockiéj i lichwa drogą zastawu ziemi najwięcéj była w téj gubernii rozwinięta. Według statystyki p. Załęskiego stosownie do obliczeń Ministerium Skarbu, osad włościańskich mających mniéj niż 3 morgi gruntu było w roku 1868 w gubernii Płockiéj 19.560 czyli 17,41% ogólnéj liczby osad, co stanowi najwyższą sumę drobnych osad w całém Królestwie.

Że zaś dużo takich osad jest w ręku włościan lichwiarzy użytkujących z nich na prawie zastawu, przeto moglibyśmy wnioskować, że włościanie pozbawieni w ten sposób gruntu, przy nierozwiniętym przemyśle, nie mając gdzie się udać, zamyślają o emigracyi. Tymczasem tak nie jest, a powzięte szczegóły u źródła pouczają nas, że zachcianki emigracyjne spotykają się głównie nie pośród biédniejszéj ludności, przechodzącéj na parobków lub wyrobników u bogatszéj, lecz przeciwnie właśnie wśród bogatszych włościan.

Cóż więc wywołuje to smutne zjawisko? Chyba miejscowe przyczyny.

Pragnąc miéć o nich dokładne szczegóły udaliśmy się wprost do p. Ujazdowskiego, który zakomunikował nam, że miejscowe przyczyny nie dają się ściśle zformułować, gdyż przytoczone wyżéj statystyczne dane znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w ogólnéj zamożności włościan. Dodał wszakże, że źródła zachcianek emigracyjnych w guber. Płockiéj szukać trzeba, z jednéj strony w podszeptach agentów z zewnątrz, znajdujących przygotowany grunt dla siebie przez gorączkę posiadania jak największych obszarów ziemi, a z drugiéj w wyzyskującéj włościan lichwie tak w gub. Płockiéj jako też i w innych miejscowościach Królestwa.

Ruch emigracyjny w Płockiém istnieje już od lat kilku, są nawet tacy, którzy pod wpływem tęsknoty powrócili napowrót do kraju. Opowiadania ich o przebytych złych i dobrych kolejach nie wstrzymują naszych włościan, przeciwnie nawet, rozbudzając wyobraźnią potęgują ufność w namowy obcych. Nieszczęśliwy ten objaw wywo-

łuje konieczność zwrócenia nań pilnéj uwagi tak w obec ekonomicznego i narodowego znaczenia emigracyi jako téż i w obec bolesnych rezultatów w Galicyi i księstwie Poznańskiém. Oddziaływać na to powinni dobréj woli obywatele miejscowi i nietylko pod wpływem filantropijnego uczucia uratowania łatwowiernych od zaguby, lecz wprost z pobudek czysto utylitarnych przez dobrze pojęty interes kraju i ich własny.

Bierne zachowywanie się w obec emigracyi zwłaszcza tam gdzie ona nie ma uzasadnionych podstaw, pomijając kwestyą usuwania się od etycznych obowiązków człowieka, pozwalałoby wnioskować o lekceważeniu obowiązku obywatela. Wszakże tą drogą sami dobrowolnie otwiéralibyśmy pole nowemu napływowi kulturträgerów, sami dobrowolnie wspiéralibyśmy zasadę naszych sąsiadów Drang nach Osten, sami pozbywalibyśmy się swojskiego żywiołu, swojego robotnika; a wiemy dobrze jak trudno nam porać się z kolonistami osiadającemi albo na stałe, albo po nieracyonalném wyeksploatowaniu zasobów ziemi, udającymi się w dalszą po kraju wędrówkę jak tego świeże mamy przykłady w Kaliskiém i Lubartowskiém.

Naszém zdaniem oddziaływanie przeciwko namowom jest jednym z piérwszych obowiązków obywateli miejscowych, jak pojmujemy ten obowiązek, tośmy już wypowiedzieli wyżéj.

Do rzędu zaś obywateli zaliczamy, właścicieli większych posiadłości ziemskich, sędziów gminnych i księży; powaga ich słowa, przy ciągłém zetknięciu się z ludem, niewątpliwie zdoła zachwiać złudne namowy przybyszów i przekonać łatwowiernych, że przenoszenie się do Ameryki tylko o zagubę przyprawić ich może.

Aptekarze mogliby tu także odegrać poważną rolę, mając ciągle do czynienia z ludem i ciesząc się jego zaufaniem mają tém samém otwarte pole do wyświadczenia jeszcze jednéj usługi krajowi.

Drugi środek ratunku widzimy w naszych pismach ludowych, przytaczaniem znanych szczegółów o losach emigrantów galicyjskich i poznańskich, nie pozostaną one bez wpływu na umysły naszych włościan.

Trzeci zaś spoczywa w ręku władz rządowych, które mają prawo, moc i obowiązek zarządzić usunięcie oszustów i pociągnąć ich do odpowiedzialności.

Przypuszczamy, że powyższe trzy środki, razem wzięte, zdołają powstrzymać emigracyą. Nie wątpimy o dobrych chęciach pism ludowych i obywateli, poczucie zaś obywatelskiego obowiązku z jednéj strony i osobisty ich interes z drugiéj dają nam rękojmię, że wezmą się oni do dzieła i tam nawet, gdzie wypełnienie społecznego zadania większéj własności ziemskiéj, to jest wyjaśnienie drobnym właściciele-

lom ich obywatelskich obowiązków i gospodarczych potrzeb może być z jakichkolwiekbądź innych doraźnych względów sparaliżowane.

Co się zaś tyczy władz rządowych, to nie możemy nic stanowczego o ich zachowaniu się powiedziéć, zdaje się wszakże, że można tu zastosować ogólne prawidło, że gdzie interes osobisty nie jest dotknięty, tam trudno liczyć na energiczną działalność. Zachodzi więc potrzeba pewnego wpływania, które powinni wywrzéć ciż sami obywatele. Wskazanie jeżeli nie samego przybysza to przynajmniéj miejscowości w któréj agitacya szerzyć się zaczyna skłonić może władze nietylko do czujności, ale i działania.

Oprócz tych środków czy nie dałby się zastosować środek używany w księstwie Poznańskiém. Według słów miejscowéj prasy widzimy, że i tam jedną z przyczyn wywołujących emigracyą, jest chęć posiadania ziemi, lecz nieco w odmiennéj formie, gdyż tam chodzi chociażby o najmniejszy jéj kawałek. Korzystając z tego niektórzy obywatele Krobskiego powiatu początkowo powydzierżawiali małe parcelki od 3,14 do 5 morgów mające, które następnie po uzbieraniu przez takich dzierżawców odpowiednich zasobów przeszły na ich własność. W ten sposób emigracya z Krobskiego została zupełnie wstrzymaną. Możeby ten środek mógł znaléźć i u nas zastosowanie przynajmniéj względem tych, którzy nie posiadając ziemi dają się pociągnąć obietnicami, że w Ameryce darmo ją dostaną.

W ten sposób zformułowaliśmy nasz progam przeciwko emigracyi zamorskiéj, pozostaje więc jeszcze lichwa i chęć posiadania większych obszarów. O piérwszéj powiemy niżéj, mówiąc o spółkach wkładowo-zaliczkowych, a teraz przypatrzmy się drugiéj przyczynie.

Gorączka nabywania większych obszarów ziemi, jak się wyraził „Korespondent,“ już jako gorączka jeżeli nią jest nie może być uważana za rzecz pożądaną. W téj gorączce jest jednak i dobra strona, gdyż chęć posiadania własności jest objawem zdrowym i całkiem uprawnionym, jakoż widzimy, że nie wszędzie wywołuje ona tylko ujemne rezultaty. W Płockiém wprawdzie ma obudzać chęć do emigracyi na Wołyń, Ukrainę i Podole; za to w Kaliskiém i Lubartowskiém, według słów korespondencyi do „Kaliszanina“ N. 36, i do „Gazety Polskiéj“ N. 126, stała się przyczyną tego pocieszającego faktu, że ziemie pozostałe po usuwających się osadnikach Niemcach przeszły w ręce, nie obcych przybyszów, lecz włościan miejscowych. Jedném słowem powtarza się tu znana dobrze stara prawda, że każda rzecz ma swoje dodatnie i ujemne strony.

W takiéj formie w jakiéj się ujawniły w Kaliskiém i Lubartowskiém dodatnie strony nie potrzebują komentarzy. Chłop dobrze robi gdy dąży do nabycia ziemi na własność, byleby naturalnie szedł

do tego właściwemi środkami, nie opuszczał stron rodzinnych i nie kupował bez dostatecznych zasobów.

Słyszeliśmy naprzykład o fakcie, jaki miał miejsce w tamtych stronach, że pewien zamożny włościanin, pragnąc powiększyć swoję posiadłość, nabył sąsiednie grunta w części za swoje uzbiérane a w znacznéj części za pożyczone piéniądze i nie mając potrzebnego kapitału, do prowadzenia większéj gospodarki, znajduje się obecnie w ręku usłużnych w danéj chwili wierzycieli Niemców, żydów i włościan, czyhających na spuściznę. Obecnie pozostała mu jedyna droga sprzedaży, ale i ta nie wyratuje go od ruiny, bo lichwiarskie długi przewyższają wartość posiadłości.

Jakkolwiek fakt ten zdaje się być pojedynczym w Płockiém, to jednak przytoczyliśmy go dla tego, że doskonale ilustruje ujemne strony gorączki posiadania większych obszarów i sam przez się zakreśla granice jakich chęć włościan nie powinna *przechodzić* przynajmniéj do chwili, w któréj specyalne instytucye kredytowe będą im przychodziły z pomocą. Tymczasem dopóki takich instytucyi nie mamy a oświata ludowa nie jest na takim stopniu, żeby mogła powstrzymywać włościan od podobnie nierozważnych nabytków, musimy sporadycznie spotykać się z podobnemi faktami. Cieszmy się jednak nadzieją, że zbyt licznymi nie będą, gdyż sam przykład powstrzymać zdoła innych od zbytecznego rozszerzenia swych posiadłości. Musimy jednak zaznaczyć, że i takie pojedyńcze fakty nie miałyby miejsca gdybyśmy sami, zapominając o swoich mniejszych lub większych urazach lub niechęciach, zawczasu wzięli pod uwagę i pamiętali na każdym kroku o tymczasowym naszym społecznym ideale, polegającym na osiągnięciu solidarności stanów i klas społecznych i ufności we wzajemnych stosunkach.

Ale wróćmy do emigracyi skierowanéj na wschód, to jest w strony Ukrainy i Podola.

Choćbyśmy przypuścili nawet, że emigranci nasi nabędą obszary większe niż tutaj ze względu na niższą cenę ziemi, to i w takim nawet razie, nie możemy w sobie zbyt pomyślnego dla nich horoskopu wytworzyć.

Inne urządzenia administracyjne, obce otoczenie, przewaga obcego wyznania i języka, wszystko to stawiąc ich w bardzo odmiennych warunkach pozwala nam wnioskować, że zwłaszcza na razie mogliby się znaléźć w wielce kłopotliwém położeniu. Lecz zaprzestając tych pesymistycznych wniosków, zwróćmy uwagę i na nasz interes wiążący się z emigracyą, policzmy się, czyż nas w ogóle za dużo? czy mamy choć jednego na zbyciu? czy przypuszczając nawet, że tym naszym emigrantom materyalnie dobrze się wieść będzie, mo-

żemy z całym spokojem powiedziéć, że gdyby ktokolwiek z nas znalazł się po kilku latach w ich siedzibach, to będzie się czuł, że jest w Płockiém, Siedleckiém i Kaliskiém? Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy samym czytelnikom, zdaje się nam, że każdy co zechce nad nią pomyśléć dojdzie z nami do przekonania, że chociaż Ukraina i Podole są nam tak bliskie, to wszakże warunki tam bardzo odmienne w których się tylko inteligentne umysły zoryentować potrafią. Że zatém najprostszym naszym obowiązkiem jest oddziaływać na zachcianki emigracyjne i starać się użyć całego wpływu, żeby nieoświeconych włościan od tych projektów odwrócić.

Jeżeli zaś koniecznie mielibyśmy corocznie zapisać do rubryki emigrantów pewną ilość naszych włościan, to naturalnie, że lepiéj ich skierować na wschód, jak radzi p. Sienkiewicz w Nr. 111 „Gazety Polskiéj.“ W każdym jednak razie, do takiéj działalności winniśmy się zwrócić dopiéro w ostatecznym wypadku, po wyczerpaniu wszystkich środków ku powstrzymaniu wychodztwa.

Wskazaliśmy wyżéj, że w rzędzie przyczyn, wywołujących pośród włościan chęć do emigracyi, jest i wyzyskująca ich lichwa i brak taniego kredytu mogącego albo zupełnie ich uchronić od zgubnych następstw lichwy, albo przynajmniéj te następstwa osłabić.

Pod względem lichwy nie stanowimy zgoła wyjątku, tak samo trapiła ona starożytne społeczeństwa jak i współczesnym nam nie przestaje dotkliwie dawać się we znaki. Co się zaś tyczy instytucyi taniego kredytu dla mniejszéj posiadłości ziemskiéj, to królestwo Polskie stanowi rzeczywisty wyjątek i nietylko z pomiędzy państw zachodniéj Europy, ale świeci brakiem takich instytucyj nawet w porównaniu z poduralskiemi prowincyami Cesarstwa. Istnienie bowiem trzech spółek zaliczkowych na całe Królestwo: w Grojcu, Wiskitkach i Kutnie nie ma wcale znaczenia, tak samo jak nie możemy przypisywać większéj doniosłości istniejącym w gminach kasom pożyczkowym, gdyż one, w większości wypadków, miejscowym nawet potrzebom nie czynią zadość.

Gdy zaś tylko spółkom zaliczkowo-wkładowym możemy przyznać bardzo poważną rolę w kwestyi zmniejszenia lichwy, przeto postanowiliśmy o nich powiedziéć tu słów kilka. Zanim zaś do tego wrócimy, przejdźmy choć pobieżnie środki przeciwko lichwie zużyte.

Przedsiębrane na zachodzie drogą prawodawczą środki te przechodziły rozmaite fazy: widzieliśmy zniesienie określonéj przez prawo stopy procentowéj, tworzenie dzięki prywatnéj inicyatywie banków i spółek kredytowych, nareszcie pociąganie do kryminalnéj odpowiedzialności spekulantów, wyzyskujących prostaków lub zrozpa-

czonych. Jakkolwiek wszystkie te środki stanowczo jeszcze nie usunęły złego, to jednak zdołały je znacznie zmodyfikować. Dla przykładu możemy wskazać Galicyą, w któréj po wprowadzeniu w życie uchwalonéj 19 Lipca roku 1877 ustawy „O środkach zaradczych przeciwko nieuczciwemu postępowaniu przy umowach o pożyczki,“ nadzieja swobodniejszego odetchnięcia zajaśniała nad rolnictwem i przemysłem.

U nas lichwa, w pojęciu wyzyskiwania, panuje dotąd samowładnie. Trzymając w swych szponach drobny przemysł i większe posiadłości, sięga do mniejszych i powoduje dobrze znane fakty nędzy i wywłaszczenia i z kolei rzeczy ułatwia posłuch namowom do wychodźtwa, albo chęć do niego sama wytwarza.

Szerzenie się lichwy pośród włościan dziwić nas nie może; określając w najogólniejszy sposób przyczyny tego zjawiska, musimy zatrzymać się na tém, że wywołuje je głównie brak taniego kredytu, a przytém i wzrost potrzeb zestawiony z ogólném podniesieniem się cen, a często sama niezaradność i niewstrzemięźliwość włościan.

Na ostatnią przyczynę doraźnie oddziaływać nie jesteśmy w stanie, pozostaje więc piérwsza, o któréj wprawdzie dużo mówiono i pisano, lecz ostatecznie zatrzymano się na tém, że brak kapitału uniemożliwia utworzenie instytucyi, zapewniającéj względnie tani kredyt drobnym posiadaczom ziemskim.

Ostatnie to orzeczenie wydaje nam się zbyt ogólnikowém i jak wszystkie ogólniki grzeszyć pominięciem szczegółów. Niemożność utworzenia instytucyi, zapewniajacéj tani kredyt włościanom, nie jest dla nas tak widoczną, zastrzedz wszakże winniśmi, że nie mamy na myśli wielkich centralnych instytucyj kredytowych, lecz przeciwnie te same spółki zaliczkowo-wkładowe o których napomknęliśmy wyżéj. One najdzielniéj i najwszechstronniéj walczą z lichwą, chociaż i innym środkom nie możemy odmówić pewnéj doniosłości. W Królestwie nawet były one przedsiębrane i dostarczają przykładów, że przy dobrze zrozumianym obowiązku obywatelskim tani stosunkowo kredyt daje się pozyskać.

Dość przytoczyć spółkę obywateli ziemskich powiatu Janowskiego, utworzoną w roku 1879 przez pp. Łempickiego, Przanowskiego i Piaseckiego w celu wyjednania za ich poręczeniem w warszawskiém Towarzystwie Wzajemnego kredytu, taniego kredytu dla mniéj zamożnych obywateli tegoż powiatu w wysokości na początek 15.000 rs. Spółka ta przyniosła rzeczywiste korzyści, obywatele Janowskiego powiatu żądali kredytu w wysokości sięgającéj połowy poręczonego kredytu, używali zaś w ogólnéj sumie 4 tysięcy rubli, i w ten sposób zdołali uchronić się od lichwy. Fakt ten przekona

może, że i dla włościan najskuteczniejszy środek ratunku polega właśnie na ułatwieniu im taniego kredytu. Niech nikt jednak nie myśli, że ułatwienia tego zamierzamy szukać wyłącznie w funduszach lub poręczeniach właścicieli większych posiadłości ziemskich, bynajmniéj, potrzebujemy tylko i wymagamy ich inicyatywy i czynnego poparcia, przed wskazaniem zaś w jakiéj formie inicyatywa ta i poparcie jest potrzebne postaramy się zformułować myśl naszę.

Najprzód winniśmy uzasadnić wątpliwość, co do słuszności twierdzenia o braku kapitału na utworzenie instytucyi kredytowéj dla mniejszéj posiadłości ziemskiéj.

Ze wszystkich stron dochodzą do nas wieści, że włościanie rozszerzają swoje posiadłości i zakupują kawałki dworskie. Fundusze ich stanęły do pomyślnego współzawodnictwa z piénię dzmi niemieckich kolonistów i nie dały się odstraszyć nawet wygórowanemi cenami ziemi; wskazaliśmy wyżéj, że przykłady takie były w Kaliskiém, Lubartowskiém a dały się widziéć w Siedleckiém, Płockiém i innych jeszcze miejscowościach Królestwa, a ileż to funduszów pozostało jeszcze ukrytych, nie procentujących a nawet butwiejących.

Wszystko to powinno przekonać, że zasoby potrzebne do założenia instytucyj kredytowych spoczywają w ręku samych włościan. Ale to jedna strona tylko, oprócz materyalnych zasobów, każda instytucya na zasadach kredytowych oparta musi mieć zapewnione bezpieczeństwo wypożyczanych kapitałów, czyli pewność, że zaciągnięte zobowiązania spłacone w terminie zostaną.

Tych także szukać daleko nie potrzebujemy, polegają one na rzeczowém bezpieczeństwie w samych posiadłościach, a nawet w sumienności, dobroduszności i religijności naszych włościan.

W tych dwu podstawach: kapitale i pewności spłaty, tkwią dostateczne dane do utworzenia instytucyi kredytowéj dla mniéjszéj posiadłości ziemskiéj, lecz nie doczekamy się jéj z pewnością bez czynnego poparcia, ze strony większych właścicieli. Przedsiebierczość nie jest ogólną zaletą naszych włościan, uzbiérane piéniądze chowają oni skrzętnie, bo boją się i nie znają sposobów korzystania z nagromadzonych oszczędności, przeczące temu przykłady rzadko tylko spotykać się dają.

W tém właśnie miejscu otwiéra się pole działania dla miejscowych obywateli ziemskich. Istnienie kapitału i pewność spłaty, spotęgowana w danym razie przez prawo i łatwość egzekucyi, powinna im posłużyć za punkt wyjścia do założenia miejscowych kas zaliczkowo-wkładowych o których umieściliśmy już artykuł p. Jana Karłowicza w październikowym zeszycie „Ateneum“ z roku 1877.

Nie będziemy powtarzali szczegółów o celu i zasadach takich spółek, a odsyłając czytelników do rzeczonego artykułu dodamy tylko, że jakkolwiek stowarzyszenia takie same przez się kapitału nie powiększą, i trudno przypuścić, żeby zachęcić mogły dalsze okolice do powierzania im swoich funduszów, to jednak miejscowe zgromadzą. Powierzając zaś szafowanie niemi w ręce ludzi znających stopień zamożności lub moralne przymioty pożyczającego, uregulują kredyt, uwolnią od lichwy i zgubnych jéj następstw, a wskazując dobrodziéjstwa stowarzyszenia i udzielając zaliczek tym tylko, którzy używają dobréj opinii, wywrą zbawienny moralny wpływ na włościan.

Spółki takie istniejące na Żmujdzi i w innych guberniach litewskich zdołały już zapewnić bardzo poważne korzyści stowarzyszonym i wejść na drogę stałego i pomyślnego rozwoju.

Dla przekonania czytelników, podamy w streszczeniu szczegóły o kilku takich spółkach, znajdujące się w pracy p. Karłowicza, drukowanéj w „Upominku Wileńskim" roku 1880 poświęconym Józefowi Ign. Kraszewskiemu.

Piérwszą spółką zaliczkowo-wkładową w dziewięciu tak zwanych guberniach zachodnich, była Niemireniecka, w powiecie Berdyczowskim gub. Kijowskiéj, założona 18 Lutego roku 1873, po czém bardzo licznie zaczęły one powstawać i w innych guberniach, tak że po upływie niespełna sześciu lat z dniem 1 Września roku 1878 było już czynnych: w gub. Kowieńskiéj 30, Wileńskiéj i Witebskiéj po 7, Podolskiéj i Kijowskiéj po 4, Mohilewskiéj 3, Mińskiéj i Grodzińskiéj po 1. Tak co do ilości w gubernii jak i co do liczby spółek w jednym powiecie piérwszeństwo należy się Kowieńskiéj gubernii. Nowoaleksandrowski powiat posiada 10 spółek, Poniewiezki, Szawelski i Wiłkomierski po 6, Telszewski i Rosieński po 1, następnie pod względem ilości spółek w jednym powiecie, idzie Witebska gub. mająca w powiecie Witebskim 5 spółek i Wileńska w Wileńskim pow. 4.

Co się zaś tyczy liczby członków, ich udziałów, udzielonych pożyczek i sumy ogólnego obrotu, to piérwsze miejsce należy się Konstantynowskiéj istniejącéj w Poniewiezkim pow., Kowieńskiéj gub. założonéj za staraniem p. Puzyny i otwartéj 19 Lutego roku 1874. Według nadesłanego nam sprawozdania za rok 1879, miała ona 1.109 członków, udziały ich wynosiły 64.241 rs., udzieliła pożyczek 351.341 rs. a obrót ogólny wynosił 1.461.741 rs., obroty spółki przyniosły czystego zysku 19.531 rs. Następnie idzie Podbirżańska w téjże gubernii i powiecie, otwarta 7 Listopada roku 1874, miała w roku 1878, 850 członków, których udziały wynosiły 22.081 rs., wydano pożyczek 74.143 rs., obrót ogólny 174.961 rs. Daléj Kijowska otwarta 20 Sierpnia roku 1876, a więc prawie we dwa lata później

od poprzedzającéj. Pomimo to jednak w roku 1878, miała ona tylko liczbę członków mniejszą od Podbirżańskiéj a udziały i obrót ogólny wyższe mianowicie: 813 członków, pożyczek udzielono 71.167 rs., udziały członków 30.166 rs. a obrót ogólny wynosił 255.975 rs.

Niepodobna nam powtarzać całego wykazu podanego przez p. Karłowicza, wskazaliśmy tylko kilka szczegółów, chcąc poprzéć cyframi twierdzenie o pomyślném rozwijaniu się spółek. P. Karłowicz dodaje, na podstawie doświadczenia czerpanego z osobistéj praktyki, że spółki powstające drogą prywatnéj inicyatywy cieszą się większém powodzeniem, niż otwiérane pod naciskiem administracyjnym, piérwsze bowiem w założycielach samych znajdują odrazu odpowiednich i chętnych ludzi do zarządu.

To jedno powinno przekonać miejscową inteligencyą, że starania o zawiązanie spółek zaliczkowo-wkładowych winny być przez nią podjęte. W naszych stosunkach, dość jest przypomniéć nie arcy pomyślną praktykę istniejących obecnie w Królestwie kas pożyczkowych gminnych, dla uzasadnienia twierdzenia, że tam gdzie na czele zarządu kasy nie stoją ludzie związani z włościanami węzłem moralnéj natury, tam na rozwój i pożyteczność instytucyi niewiele liczyć można.

Trudności przeprowadzenia i sankcyonowania inicyatywy przez władze administracyjne nie powinny odstraszać, tém bardziéj, że nie są nadmierne, „trochę dobréj woli, wytrwałości i kilka godzin przyjemnéj pracy na tydzień, oto wszystko, czego wymaga drobna na pozór, ale w gruncie niezmiernie pożyteczna instytucya,“ jak mówi p. Karłowicz.

Formy jakie trzeba zachować są następujące:

Spółka nie może być założoną na podstawach różniących się od wymaganych przez szematyczną ustawę dla spółek wkładowo-zaliczkowych. Szemat takiéj ustawy otrzymuje się od petersburskiego komitetu spółek. Z żądaniami zwracać się należy do sekretarza wydziału rzeczy. rad. stanu Wasila Michałowicza Chitrowo w Petersburgu (adres Nabiereżnaja Mojki Nr. 93 mieszkania 17). Następnie prawo wymaga, żeby w zaprojektowaniu spółki wzięło udział przynajmniéj 20 osób; po napisaniu i podpisaniu ustawy wysyła się ją do ministra skarbu z prośbą o zatwierdzenie, po uzyskaniu którego, zbiérają się założyciele i kandydaci na członków i stowarzyszenie rozpoczyna czynności.

Brak na razie dostatecznego kapitału może być usunięty przez zaciągnięcie pożyczki na umiarkowany procent, po roku spółka może się udać o pożyczkę do Banku Państwa.

Zasada takich spółek polega na tém, że każdy z uczestników, wnosi pewną sumę do kasy spółki jako swój osobisty udział i może korzystać z dziesięć razy większego kredytu, chociaż otrzymanie pożyczki warunkuje się jeszcze nietylko faktem złożenią udziału, lecz i decyzyą zarządu, mającego moc udzielić, albo odmówić kredytu, *nie tłómacząc się wcale z powodów odmowy.*

Ostatnie to orzeczenie wprowadzone jest do ustawy tylko w celu zabezpieczenia członków zarządu od przekomarzań się z tymi, którym kredyt został odmówiony. Dla spotęgowania jednak moralnego znaczenia spółek zaliczkowo-wkładowych zdaje się być bardzo pożądaném zmodyfikowanie go w ten sposób, żeby cała surowość tego przepisu stosowaną była tylko w takich wypadkach, w których zarząd przewidywać może owe przekomarzania się, w innych zaś razach bezstronne wytłómaczenie przyczyn odmowy mogłoby właśnie wpłynąć na rozwój moralnego poczucia żądającego kredytu i obudzenie w nim chęci do wytworzenia w sobie lub swéj posiadłości większego, w oczach zarządu, bezpieczeństwa kredytu.

Nie można się łudzić, że przez sam fakt powstania spółka zdoła sobie zjednać zaufanie u włościan; przykłady istniejących spółek nie są dla nich dostępne, potrzeba koniecznie dotykalnych, a ponieważ w każdéj miejscowości są właściciele większych posiadłości ziemskich odkładający oszczędności na kapitał, przeto powierzając część ich spółce, chociażby na niewielki procent, najsnadniéj przełamać zdołają obawy i niewiarę włościan. Témbardziéj, że nie potrzeba tu wcale wielkich funduszów. Przypuśćmy, że spółka zakłada się dla dwóch gmin, na takiéj przestrzeni łatwo będzie zawsze znaléźć dwunastu średnio zamożnych obywateli, którzy składając po 50 rs. stworzą od razu kapitał rubli 600 wynoszący i dostateczny do rozpoczęcia czynności spółki zaliczkowo-wkładowéj.

Dodać jeszcze winniśmy, że słyszeliśmy powstających przeciwko zakładaniu spółek zaliczkowych.

Przeciwnicy ci opiérali swe wnioski na praktyce galicyjskiego banku włościańskiego, który w wielu wypadkach musiał uciekać się do środków przymusowo-licytacyjnych z racyi niewypłatności dłużników.

Rrzeczywiście tak jest, bank galicyjski w wielu razach uciekał się do licytacyi. Ze sprawozdania banku za rok 1878 widzimy, że w ciągu 10 lat swego istnienia użył on środków przymusowo-licytacyjnych przeciwko 3.726 dłużnikom, z ogólnéj liczby 59.738 członkom (przeszło 16%), z liczby licytowanych dłużników 1.376 zgodziło się na sprzedaż. Z liczby majętności wystawionych na licytacyą bank zatrzymał na rzecz swoję 997.

Prawda, smutny jest pod tym względem rezultat działalności banku galicyjskiego, lecz czujemy się w obowiązku uprzedzić przeciwników spółek zaliczkowych, że nie powinni go brać w rachubę przy ocenianiu działalności tych ostatnich. Sposób postępowania spółek różni się najzupełniéj od sposobów przez bank używanych, tak jak wielka zachodzi różnica między myślą obywatelską, która skłaniać winna do zakładania spółek zaliczkowo-wkładowych, od zwykłych spekulacyjnych celów jakie założeniu banku galicyjskiego przyświecały.

Przedewszystkiém spółki nie uciekają się wcale do pośrednictwa osób trzecich w zamiarach pozyskania uczestników, bank zaś galicyjski udzielał początkowo pożyczek przez swoich agentów, którym zapewniał komisowe. Taki sposób postępowania musiał wpływać na to, że agenci w widokach własnego interesu starali się wciągać do liczby uczestników i takich, którzyby się bez pożyczki obejść mogli. Następnie bank udzielał pożyczek tylko w sumach okrągłych, podzielnych przez setki, zaczém idzie, że częstokroć brane były pożyczki w wysokości przewyższającéj nietylko rzeczywistą potrzebę, ale i bezpieczeństwo kredytu. Spółki zaś udzielają wprawdzie pożyczek dziesięć razy większych od wniesionych udziałów, ale nie wciągają nikogo a pożyczki wydają najbardziéj oględnie; bo chociaż uczestnikowi służy prawo żądać pożyczki, to jednak nie każdy może ją otrzymać, gdyż, jakeśmy powiedzieli wyżéj, udzielenie kredytu zależy od zarządu, który przed przyznaniem pożyczki bada opinią i stan zamożności żądającego.

Ograniczenie powyższe wpływa na to, że środki przymusowe w bardzo nie wielu wypadkach były stosowane w praktyce spółek zaliczkowych. Z artykułu p. Karłowicza („Ateneum“ tom IV str. 160) widzimy, że przymusowe odbiéranie pożyczek udzielonych przez istniejące w guberniach zachodnich spółki zaliczkowe przytrafiło się w spółce Konstantynowskiéj w roku 1874, raz jeden tylko, w roku 1875 pięć razy, w roku 1876 siedm, co na ówczesnych 696 członków stanowi tylko jeden procent. W Podbierzeńskiéj spółce, ośmnastu dłużników zmuszono przez prawo do zwrotu pożyczek, w innych zaś spółkach istniejących z końcem roku 1876 nie było ani jednego takiego wypadku. Przytém pobiérany przez bank galicyjski procent od udzielanych pożyczek, po włączeniu wszystkich opłat, dochodził prawie do 20, kiedy istniejące dotąd spółki pobierając od 10—12% mogą jeszcze udzielić dywidendę, wynoszącą od 10 do 16% od każdego rubla udziału.

Na zakończenie przytoczymy pełne znaczenia słowa p. Karłowicza, że „w obecnéj chwili u nas, człowiek uczciwy a myślący nie

może większéj usługi oddać swojemu zakątkowi jak zakładając stowarzyszenie zaliczkowo-wkładowe, przyniesie ono wielkie, nieobliczone, niespodziewane korzyści ekonomiczno-społeczne.“

Zakładajmy spółki a przekonamy się o prawdzie słów powyższych, dodajmy jeszcze, że kredyt w spółce znajdują nietylko włościanie, lecz zarówno miejscowi urzędnicy, mniejsi przemysłowcy jak i większe posiadłości ziemskie. Liczba członków spółki Konstantynowskiéj w roku 1879 rozpada się według stanów na następujące kategorye: szlachty i urzędników 304, włościan 647 i żydów 158.

Przyczyny i ich skutki tak są częstokroć odległe od siebie, że niepodobna na piérwszy rzut oba dopatrzéć się zachodzącego pomiędzy niemi związku.

Odległość tych dwu czynników składających się na wytworzenie zjawiska z życia społecznego obserwować się daje w większości wypadków z téj sfery zaczerpniętych, i nic w tém dziwnego, w tak zawiłym organizmie jakim jest społeczeństwo, samo życie zawiłém być musi i składać się z masy powikłanych z sobą przyczyn i skutków.

Ale nietylko w téj sferze odległość przyczyny od skutku daje się zauważać, spotykamy się z nią także w gospodarstwie narodowém i państwowém z racyi wzajemnego oddziaływania ich na siebie i w innych blizko nas obchodzących faktach i zjawiskach. W téj chwili weźmy naprzykład dotkliwie dające się nam uczuwać wygórowane ceny mięsa wołowego w Warszawie, gdzietakże twierdzenie w odległości przyczyny od skutku znajduje zastosowanie.

Do zastanowienia się nad kwestyą drożyzny mięsa z teoretycznego punktu widzenia, zachęciły nas prace, drukujące się obecnie w różny organach prasy naszéj a rozstrzygające ją praktycznie.

Podskoczenie cen zwyczajnego mięsa wołowego do 16½, 17 a nawet 18 kop. za funt, kiedy przed dziesięciu laty nie płaciliśmy więcéj jak 12 kop. a przed piętnastu 8 a nawet mniéj jeszcze nie może być usprawiedliwione samym zwiększonym popytem z racyi zwiększenia się ludności Warszawy.

Bez wątpienia i ta okoliczność oddziaływać tu musi koniecznie, lecz nie w takim stopniu, żeby w niespełna półtora dziesiątka lat ceny pod jéj wpływem zdwoić się miały.

Oprócz innych przyczyn, jak monopol i zmowy handlujących i rzeźników, brak ścisłego dozoru ze strony służby policyjnéj i ogólnego podniesienia się cen z racyi upadku kursu rubla, wpływa tu jeszcze zarówno hodowla bydła w Królestwie prawie wyłącznie dla potrzeb rolnicznych prowadzona, bez uwzględnienia możności handlu

bydłem opasowém a także fiskalizm stale od pewnego czasu stosowany w finansowém gospodarstwie państwowém, bez względu na straty jakie narodowemu gospodarstwu przynosi.

Że handel miejscowém bydłem mało jest u nas rozwinięty, o tém najlepiéj świadczą statystyczne dane, znajdujące się w statystyce p. Poznańskiego.

Opiérając się na cyfrach urzędowéj statystyki autor podaje, że w ciągu czterech lat 1870—1873, przeciętna liczba wołów będących do nabycia w całém Królestwie wynosiła tylko 16.710 wołów rocznie.

Suma ta przedstawia niespełna trzecią część liczby wołów przywożonych do Królestwa z południowych okolic Cesarstwa. Według danych p. Blocha, zawartych w pracy jego o Handlu bydłem, przywieziono do Królestwa w roku 1874 53.459 wołów, w roku 1875, według sprawozdań dróg żelaznych petersburskiéj i terespolskiéj, 50.413 wołów, a w roku 1876—56.099. Wywóz zaś wołów do Cesarstwa jest tak małym, że w żadnym z tych lat dwustu głów nie przeszedł. Jakkolwiek liczbę krajowych wołów wystawionych na sprzedaż podaliśmy, dla braku późniejszych danych, tylko za okres lat 1870—1873 a liczbę przywiezionych przytoczyliśmy za następujące po nich trzy lata, to jednak nie zdaje się nam, żeby stosunek ten znacznéj uległ zmianie na korzyść wołów krajowych.

Gdybyśmy nawet przypuścili, że hodowla wołów opasowych wzrosła w biegu 1874, 1875 i 1876 lat o połowę, to i tak jeszcze ilość miejscowego bydła sięgałaby zaledwie połowy przywożonego.

Z téj przeto racyi, uważamy powyższe cyfry za dostateczne do potwierdzenia naszego założenia, że handel miejscowém bydłem nie jest praktykowany na szerszą skalę.

Przyczyn tego szukać podług nas należy po części w tém, że sama hodowla bydła nie może się dostatecznie rozwijać z racyi ciągłych obaw o księgosusz przywożony przez bydło stepowe.

Pomimo bowiem środków zaradczych i kwarantanny, księgosusz bardzo znacznie daje się częstokroć we znaki, głównie w guberniach graniczących z miejscowościami zkąd woły przywożone bywają. W gubernii Lubelskiéj naprzykład, suma wypłaconego wynagrodzenia za zabite bydło, dotknięte zarazą, stanowiła w roku 1874 24% ogólnéj sumy wypłaconéj w całém Królestwie, w roku 1875 52,5% a w 1876 32%. W Siedleckiéj jeszcze więcéj, gdyż w roku 1874 47,3%, w r. 1875 26,4% a w roku 1876 32,6%.

Drugą przyczynę widzimy w tém, że z upadkiem gorzelni, tuczenie wołów na rzeź upaść musiało. Tuczenie suchą paszą nie jest stosowne z obawy, że wydatki ponoszone w tym kierunku nie przyniosą odpowiednich zysków, dla tego też w bardzo niewielu tylko miej-

scach woły opasowe służą za źródło dochodu gospodarstw wiejskich.

W tym właśnie punkcie upatrujemy związek cen mięsa z fiskalizmem państwowym. W akcyzie od wódki stanowiącéj od dawna jednę ze znacznych pozycyi dochodowego budżetu, upatrywano źródło niewyczerpane i nie przestawano normę jéj stale podwyższać, nie zwracając uwagi na szkody, jakie zbyteczne opodatkowanie tego przemysłu wywołać musiało.

W miarę podnoszenia normy akcyzy, liczba istniejących w kraju gorzelni stale zmniéjszać się zaczęła. Z 2.904 gorzelni czynnych w kadencyi r. 1844/5 spadła do 1.769, w r. 1854/5, do 1.675, w 1866/7 a nareszcie w r. 1875 widzimy już tylko 722 gorzelń a w r. 1876, 618. Produkcya wódki także znacznemu uległa obniżeniu. W ciągu ostatniego dziesiątka lat od r. 1867 do 1876 zmniéjszyła się o 60%. W r. 1867 wyprodukowano 400.281.106 gradusów a w r. 1876 tylko 184.927.812 gradusów. Ze zmniejszeniem się gorzelni, produkcyi wódki i wywaru nastąpiło zmniejszenie inwentarza, zwiększył się koszt uprawy ziemi, bo rolnicy zmuszeni zostali uciekać się do sztucznych kompostów i zaniechane zostało tuczenie wołów na rzeź, że pominiemy inne straty, przyniesione rolnictwu przez zbytecznie wygórowaną wysokość podatku akcyzy.

Dodajmy jeszcze, że ilość wołów stepowych na sprzedaż znacznie się zmniéjsza. Kiedy bowiem przed niedawnemi czasy przywożono ich do Warszawy przeszło tysiąc tygodniowo, to obecnie dowóz ten dochodzi zaledwie do kilkuset sztuk, na co wpływa księgosusz grasujący w tamtych stronach i zwiększony popyt do większych miast Cesarstwa.

Okoliczność ta zestawiona z zatamowaną u nas hodowlą i nierozwiniętym handlem miejsowém bydłem opasowém pozwala nam twierdzić, że wnioski wyżéj przez nas sformułowane nie są pozbawione podstawy i same przez się zmuszają do wyszukiwania środków zaradczych.

Tych ostatnich zdaniem naszém szukać należy nietylko w zamierzonych komisyach, mających zająć się urządzeniem i kontrolą dowozu mięsa do Warszawy, lecz i w rozwinięciu krajowéj hodowli bydła opasowego. Cena mięsa jest tak wygórowaną, że trudno przypuścić, żeby wydatki łożone na hodowlę nie przyniosły odpowiednich zysków. (1).

---

(1) Staraliśmy sie ułożyć przybliżony rachunek. Przypuśćmy, że cena wołu mającego być postawionym na opas wynosić będzie 50 rs.; tuczenie trwać musi od 3 do 4 miesięcy. Kost tuczenia obliczony według wskazówek podanych przez „Encyklopedyą

Dotknęliśmy téj kwestyi, ponieważ chodziło nam o zanotowanie w naszéj kronice grożącego niebezpieczeństwa i o dodanie kilku myśli do dyskusyi zajmującéj innych.

Zamykając kronikę dzisiejszą nie możemy przemilczéć o nastąpioném 12 Czerwca otwarciu wystawy koni w Warszawie. Wystawców jest 119 a koni według katalogu wystawy 326. Na placu Ujazdowskim na którym pobudowano stajnie, oprócz ogólnych, widzimy ładnie urządzone oddzielne pawilony ze specyalnie uprzywilejowanemi, majętnością właściciela, końmi hr. Ludwika Krasińskiego; bo chociaż przez sam fakt znajdowania się na wystawie i inne przyprowadzone konie zaliczyć wypada do uprzywilejowanych z pomiędzy wszystkich koni znajdujących się w kraju, to konie p. hr. Krasińskiego dumniéj wyglądają od innych w gustownie urządzonych stanowiskach i wyłącznych zagrodach.

P. Krasiński Ludwik wystawił najwięcéj koni, bo 24, następnie p. Antoni Bobrowski ze Snopkowa 20 koni, August hr. Potocki 7, p. Kronenberg Władysław z Szymanowa 7, i wielu innych, których szczegółowo wyliczać nie możemy, chociażby dla tego, że krytyczno-specyalnego opisu wystawy podjąć się nie jesteśmy w stanie i poprzestajemy na odesłaniu czytelników po te szczegóły do „Gazety Rolniczéj,“ „Echa“ i „Wieku.“ Chcieliśmy się tylko podzielić wiadomością i wrażeniem wyniesionéｍ z wystawy. Lecz i temu ostatniemu nie damy zbytecznéj folgi, bo mogłoby ono zaprowadzić nas za daleko. Piszący te słowa jest wielkim lubownikiem koni, ale dyletantem, gdyby sobie pozwolił na szeroki opis wystawy, to szczegółów mogłoby być za dużo a treści za mało. W każdym jednak razie pozwalamy sobie powiedziéć, że oko ma się czemu przypatrzéć i prawdziwie zabawić, obok pełnéj krwi i pół krwi arabów, pełnéj krwi i pół krwi anglików, perszeronow, rasy rosyjskich kłusaków i t. d., widzimy niektóre okazy tureckich i perskich koni, żmudzkich i miejscowych roboczych.

Rolnictwa“, dajmy na to przez trzy miesiące i pół wynosić może 30 rs., zatém całkowity wydatek na utuczonego wołu wyniesie 80 rs. Jeżeli teraz przypuścimy, że cena sprzedażna równać się będzie 100 rs., co nie jest wcale wygórowaném, otrzymamy, że każden wół opasowy przynieść winien minimum 20 rs. czystego zysku. Na pozór nie jest to wiele, w rzeczywistości zaś daje 25% rocznie i nie zapominajmy, że właściciel opasając woły zużywa na miejscu produkty rolnictwa i otrzymuje nawóz konieczny dla zwiększenia wydajności ziemi. Za hodowlą zaś przemawiać się zdaje, nietylko obawa, że z czasem możemy być pozbawieni mięsa, albo opłacać je na wagę złota, lecz i interes rolników, potrzebujących jaknajwiększéj ilości nawozu dla zwiększenia wydajności ziemi i wytrzymania konkurencyi w handlu zbożowym z Ameryką i Australią.

Oprócz przyglądania się koniom widz ma sposobność oglądać je w zaprzęgu i pod siodłem popisujące się chodami naturalnemi i stucznemi, właściwemi tak zwanéj wyższéj szkole jazdy.

Pomimo to jednak, żeśmy będąc na wystawie ulegali wrażeniu osobistego doraźnego zadowolenia, to wszakże patrząc na te wszystkie zbytkowe okazy nie mogliśmy się otrząsnąć od natarczywie powracających pytań, co robią na wystawie konie, urodzone nie w kraju? i czy obecna wystawa oprócz instrukcyjnych korzyści przez urządzenie konkursu jezdźców i stangretów może mieć znaczenie w rozwoju hodowli koni w kraju? i czy dostarcza odpowiednio ku temu skierowanéj zachęty?

Piérwsze pytanie wypada chyba rozstrzygnąć w ten sposób, że konie obce znalazły miejsce na wystawie, tylko dzięki chęci właścicieli pokazać je szerszemu kołu ciekawych. Inaczéj nie możemy sobie tego wytłómaczyć, bo zdaje nam się, że wystawa urządzoną być miała wyłącznie dla krajowéj produkcyi.

Na drugie pytanie nie zdołaliśmy znaléźć przychylnych odpowiedzi. Zdaje nam się bowiem, że teraźniejsza wystawa koni stwierdza ogólny wniosek, że takie centralne wystawy nie mogą mieć doniosłego znaczenia w rozwoju krajowéj hodowli, raz dla tego, że tych hodowców, którzy mają chęć po temu i odpowiednie fundusze, tak samo do dalszéj hodowli nie zachęcą nagrody jakie im przez sędziów przyznane będą, jak nie powstrzyma od niéj brak takich nagród; powtóre i to głównie, że koszta przywiezienia i utrzymania koni zawsze powstrzymają mniéjszych właścicieli od wzięcia udziału w wystawie, chociażby nawet mieli się czém pochwalić, pomimo to, że koni tak wysokich ras nie są w stanie ani posiadać, ani utrzymać; po trzecie, że włościanie od udziału w wystawie zupełnie usunąć się muszą bo dla nich koszta, jakie wystawa za sobą pociąga, są zbyt uciążliwe. Zachęty nareszcie udziela wystawa nie tym, którzyby jéj potrzebować mogli, lecz tym tylko co konie wystawili. Nagrody więc i listy pochwalne rozchodzą się w téj sferze w któréj zdają się być zbytecznemi z pominięciem tych w których właśnie byłyby pożądane. Cóż tedy pozostaje? to, że my warszawiacy i przybyli z dalszych stron ciekawi przekonamy się, że mamy w kraju kilkudziesięciu zamożnych obywateli, posiadających piękne i rasowe konie, którzy przez udzielanie reproduktorów mogą wpływać na poprawę ras koni i mniéj zamożnych właścicieli ziemskich i włościan.

Zapewne—i to coś znaczy.

Wyjaśnienie, podane w zeszycie czerwcowym „Ateneum“ („O co nam chodzi“), posłużyło za temat do polemicznego ustępu

w „Niwie“ (zeszyt 132, str. 946—948), ustępu, którego nie możemy stawiać na równi z artykułem poprzednio w témże piśmie ogłoszonym. Ustęp ów „oczyszcza“ „Niwę“ z zarzutu, który nie temu pismu, lecz artykułowi zamieszczonemu w „Wieku“ był uczyniony.

Ustęp ów przypomniał nam słowa Onufrego Kopczyńskiego: „nie wszyscy ludzie rozumieją mówiących,“ i obudził wątpliwość, czy autor nie mógł, czy téż nie chciał nas zrozumiéć. Wątpliwość to przelotna. Nie mamy powodu podejrzéwać antagonisty naszego o brak dobréj woli. W tém położeniu prowadzenie polemiki *in merito* byłoby całkiem bezużyteczne. Spełnimy tylko jeszcze to, co katechizm w liczbie „obowiązków miłosiernych względem duszy“ na piérwszém miejscu kładzie.

Autor wzmiankowanego ustępu nie zupełnie rozróżnia nienawiść ku *grzesznikowi*, któréj się strzedz należy, od nienawiści ku *grzechowi*, która jest wcale zbawienną. Doczytać się o tém można, między innemi, np. w liście św. Pawła do Rzymian, choćby tylko z nadpisu nad piérwszym rozdziałem tegoż listu, który we lwowskiéj edycyi Wujka z roku 1839 znaléźć łatwo na stronie 236.

Przekazując jako remament do następnéj kroniki zdanie sprawy z odbywającego się w téj chwili jarmarku wełnianego, w kilku tylko słowach wspominamy o tém, że projekt kanalizacyi m. Warszawy według planów Lindleya doczekał się zatwierdzenia p. Ministra, a niemniéj, że sankcyonowane przezeń zostały częściowe plany robót około wodociągów miejskich i że budowa tramwajów w Warszawie przyznaną została belgijskiemu towarzystwu.

Otrzymaliśmy od Dra Estreichera list następujący.

Na emigracyi w Paryżu przebywa od roku 1832 Henryk *Niewęgłowski*. Nie znają go stronnictwa polityczne, ni spory koteryjne, ale go znały sfery naukowe, bo był przez długie lata profesorem Analizy w szkole wyższéj polskiéj (Montparnasse) i egzaminatorem w Liceum cesar. św. Ludwika. Zna go świat matematyczny jako najgłośniejszego pracownika, który wydał znamienity poczet odznaczających się uczniów i znamienity poczet dzieł naukowych.

Jego to pracą wyszły:

1) Arytmetyka z teoryą przybliżeń liczebnych, 1866, stron 352.

2) Geometrya, Poznań 1854, stron 431.

3) Geometrya płaska i przestrzeni, Paryż 1869, stron 436 i 344,

4) Mechanika rozumowa, Statyka, Dynamika. Paryż 1873. stron 544.

5) Trygonometrya, Paryż 1870, stron 407.

6) Algebra elementarna, Paryż 1879, stron 896.

7) Kurs mechaniki rozumowéj. Cynematyka, hydrostatyka, hydrodynamika. Paryż 1876, str. 885.

Ma nadto prace matematyczne, które były zamówione przez śp. Działyńskiego, na ukończeniu. Dzieła te wychodziły hojnością śp. Jana Działyńskiego, a zacny ich autor miał zapewnioną przyszłość w swych sędziwych latach, mając poparcie dostojnego mecenasa. Ze śmiercią hr. Działyńskiego wszystko się urwało. Niezmordowany pracownik na niwie matematycznéj, ujrzał się odrazu bez utrzymania i mogłaby rychło przyjść chwila, że jeden z najuczeńszych mężów, jakich kraj posiada, mrzéć będzie z niedostatku. Zapobiedz temu trzeba skoro i stanowczo. Trzeba przyjść autorowi z pomocą jużto przez zakupno dzieł jego bezpośrednio od autora (*Paris 9 rue du Depart, Gare Montparnasse*) jużto przez zawiązanie grona osób dobréj woli, któreby obmyśliły utrzymanie zasłużonego starca. Polskie pisma zechcą to ogłoszenie powtórzyć.

Karol Estreicher.

Administracya „CZASU“ chętnie pośredniczy w przesyłaniu datków, jakie na jéj ręce wpłyną.
